

KRONIKA MIASTA ŁODZI

Ł Ó D Ź W LITERATURZE



Wydawca:

Urząd Miasta Łodzi

Redaktor naczelny:

Mariusz Goss

Redakcja:

Dorota Ceran

Arkadiusz Grzegorzczak

Kronika Miasta Łodzi, ul. Tuwima 10

90-430, tel. (42) 638-40-10

e-mail: d.ceran@uml.lodz.pl

Projekt okładki:

Dorota Ceran

(fot. Dorota Ceran – Plan Łodzi Oskara Flatta)

Layout:

Marek Sitkiewicz

Skład i projekt numeru:

Soft Vision

Druk:

Soft Vision

Wykorzystano zdjęcia:

Prywatne zbiory autorów, domena publiczna,

zdjęcia ilustracyjne/MotionLeap

ISSN 1231-5354

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

W tekstach przeznaczonych do publikacji zastrzegamy sobie prawo do zmian i skrótów.

Kronika miasta Łodzi jest pismem bezpłatnym i nie jest przeznaczona do sprzedaży.

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	3
ZACHWYT NAD ŁODZIĄ – OPIS MIASTA ŁODZI OSKARA FLATTA	9
NIM ŁÓDŹ STAŁA SIĘ ZIEMIĄ OBIECANĄ. O PRZEDREYMONTOWSKICH POWIEŚCIACH O PRZEMYSŁOWYM MIEŚCIE	21
ŁÓDŹ. MIASTO ZACHWYTU I PRZEKLEŃSTWA	31
SIEDEM PIĘTER „HOTELU SAVOY”	47
CHAWA ROSENFARB, ZENIA LARSSON I ŁÓDŹ ICH PAMIĘCI	61
ZAPISY KU PAMIĘCI. TWÓRCZOŚĆ LITERACKA W GETCIE ŁÓDZKIM	73
ZOSTAŁEM TUTAJ, MAJĄC KILKA SZANS ŻYCIOWYCH WYWIAD Z PAWŁEM SPODENKIEWICZEM	85
WYKRZYCHAŁEM TO, CO MNIE BOLAŁO WYWIAD Z TOMASZEM PIĄTKIEM	93
ŁÓDŹ W KRYMINALE – PRZEGLĄD LITERATURY KRYMINALNEJ POŚWIĘCONEJ ŁODZI	101
SPACERY NIE TYLKO Z ŁÓDZKIMI SPACEROWNIKAMI	111
MARIAN PIECHAL – PIEWCA MOJEGO MIASTA	121
SPOSÓB NA NUDE WEDŁUG JULIANA TUWIMA	127
ZIEMIA OBIECANA, ZIEMIA NAWRÓCONA – INSPIRACJE CZYLI OD REYMONTA DO MAKOWIECKIEGO	139
AMERYKAŃSKIE OBLICZE MIASTA WYWIAD Z RYSZARDEM BONISŁAWSKIM	151

OD
REDAKCJI



Literatura poświęcona Łodzi to zbiór przebogaty. Czytelnikom tego wydania Kroniki Miasta Łodzi zapewniamy wędrówkę po kartach tego zbioru, wędrówkę pełną emocji, niespodzianek i... zawodu. Tak, zawiedziemy Państwa. Ponieważ nie jesteśmy w stanie przywołać wszystkich znakomitych publikacji poświęconych Łodzi, przedstawić wszystkich pisarzy, pójść wszystkimi tropami.

Zatem, jakim posłużyliśmy się kluczem? Otóż, zaufaliśmy naszym autorom, podążyliśmy ich ścieżkami, zajrzeliśmy wszędzie tam, gdzie nas zaprowadzili.

Oczywiście, nie sposób było nie zacząć opowieści od „Opisu miasta Łodzi” Oskara Flatta pierwszej w dziejach książki poświęconej Łodzi, co zrobiliśmy za sprawą znakomitego artykułu dr Karoliny Kołodziej. Tekst Flatta otwierając dzieje „łodziopisarstwa” naturalną kolejną rzeczy otwiera ten numer Kroniki, który w żadnym stopniu jednak nie pretenduje do miana antologii. Takowa powstała w 2020 roku, pt. „Budzi się Łódź”, a w składzie redakcyjnym znajdujemy takie znakomitości nauki, jak prof. Krystyna Pietrych, profesor Krystyna Radziszewska, prof. Tomasz Cieślak, dr hab. Piotr Pietrych, dr Katarzyna Badowska, wszyscy związani z Uniwersytetem Łódzkim. A wśród autorów – same autorytety i znakomite nazwiska. Jesteśmy dumni, że są wśród nich także ci, którzy wyrazili zgodę na współpracę przy tym wydaniu Kroniki Miasta Łodzi.

Obecnie przygotowywany jest przez łódzkich uczonych, pod kierownictwem profesor Krystyny Radziszewskiej, grant pod nazwą – KULTURA LITERACKA ŁODZI DO 1939 ROKU finansowany przez Narodowy Program Rozwoju Humanistyki. Na stronie projektu czytamy „Celem (...) jest zintegrowany opis wielojęzycznej i wieloetnicznej kultury literackiej Łodzi od drugiej połowy XIX wieku, kiedy zaczął się dynamiczny rozwój przemysłu, a wraz z nim także kultury, po wybuch II wojny światowej, gdy swobodny rozwój kulturalny miasta został przerwany i nie odrodził się już w tej postaci. Efektem prac będzie m.in. monumentalny wieloautorski słownik tematyczny”.

Literatura Łodzi i o Łodzi to także historia wielokulturowości. Tu najmocniej zarysowują się dzieje łódzkich judaiców literackich, jakże mocno zakorzenionych w intelektualnej materii miasta. Także tych związanych z tragiczną kartą historii Łodzi, jaką są dzieje łódzkiego getta. Tu mogliśmy liczyć i na autorów uniwersyteckich (niezrównana Ewa Wiatr), jak również na Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w osobie Joanny Podolskiej.

Ale w Kronice podążamy nie tylko za głosem uczonych. Swoje literackie szlaki zaprezentowali nam bowiem pisarze, jak Agnieszka Lis, koszalinianka z urodzenia i warszawianka z wyboru, potrafiąca na Łódź, także tę literacką, spojrzeć z pewnego dystansu, zatem z obiektywizmem, którego nam, lodzermenschom, z pewnością brakuje.

Podążyliśmy także za publicystami, dziennikarzami, zajrzeliśmy przez ramię jednemu z najznamienitszych łódzkich przewodników – Ryszardowi Bonisławskiemu, by podejrzeć, co czyta i do jakich lektur najchętniej sięga (przez ramię zajrzał Piotr Wesołowski).

Nie sposób pominąć literaturę sensacyjną, kryminalną, dla której Łódź okazuje się znakomitą scenerią, bogatą w różnorodność klimatów, meandry ludzkich losów wpisanych w arterie i zaułki miasta. Te wątki również znajdują Państwo na łamach naszej kroniki. I wiele jeszcze innych, fascynujących, bogatych w symbole wątków („i ten sterczący głupio Savoy...”).

Pozostaje już tylko zaprosić Państwa do lektury, bo przecież, cytując Mariana Piechała:

Cóż mi więcej pięknego nad miasto przedstawisz?

ZACHWYT ŁODZIĄ – *OPIS MIASTA ŁODZI* OSKARA FLATTA

dr Karolina Kołodziej

Uniwersytet Łódzki

OPIS
MIASTA ŁODZI

POD WZGLĘDEM
HISTORYCZNYM, STATYSTYCZNYM
I PRZEMYSŁOWYM.

przez
OSKARA FLATT.



WARSZAWA,
W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ.
—
1853.

Lektura książki Oskara Flatta skłania czytelnika do refleksji, że jest to dzieło pisane z zachwytem, swego rodzaju miłością i podziwem dla miasta przemysłowego i samego przemysłu:

„Nie mamy w całym kraju miasta, które by tyle co Łódź zawdzięczało przemysłowi, miasta które by przez przemysł z zupełnego zapomnienia, z zupełnej nicości, podniosło się na ten stopień zamożności i rozwoju; miasta, w którym by wydatniej przejawiało się życie fabryczne – słowem, miasta więcej typowo-fabrycznego”.

Oskar Flatt z zawodu był urzędnikiem carskim, a z zamiłowania – podróżnikiem i krajoznawcą. Urodził się 6 listopada 1828 roku w Siedlcach. Gdy jego ojciec, Bogumił Flatt, został profesorem w Gimnazjum Wojewódzkim, rodzina przeniosła się do Piotrkowa Trybunalskiego. W tej szkole Oskar Flatt rozpoczął naukę w 1837 roku. Ukończył ją z bardzo dobrymi wynikami i odznaczeniem, co otworzyło mu drzwi do kariery urzędniczej. Odbił aplikację w Komisji Rządowej Wojny, po rozwiązaniu której pracował na stanowisku kancelisty Rządu Gubernialnego Warszawskiego. Był pomocnikiem archiwisty Wydziału Policyjnego, rachmistrzem i adiunktem; kierował oddziałem interesów włościańskich przy Wydziale Administracji. Pracował także jako urzędnik kolejowy, pełnił funkcję dyrektora Kolei Żelaznej Libawskiej. W 1863 aresztowano go pod zarzutem wysyłania do zagranicznych periodyków informacji o wydarzeniach krajowych. Pomimo oczyszczenia z zarzutów, został zesłany do guberni nowogrodzkiej. Po powrocie do Warszawy podjął pracę jako naczelnik kancelarii Rady Zarządzającej Towarzystwa Drogi Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej (od 1865 r.). Zmarł 3 września 1872 roku w Warszawie, gdzie został pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Warszawie przy ulicy Młynarskiej.

Pracę urzędnika umiejętnie łączył z aktywnością dziennikarską, literacką i – przede wszystkim – podróżniczą. Odzwierciedleniem pasji do poznawania kraju były relacje i korespondencje z podróży drukowane m.in. na łamach „Gazety Codziennej”, której od debiutu w lutym 1848 roku był stałym współpracownikiem. Jego artykuły ukazywały się również w innych popularnych periodykach: „Tygodniku Ilustrowanym”, „Bibliotece Warszawskiej”, „Kurierze Warszawskim”, a także w tych mniej znanych, jak: „Rocznikach Gospodarstwa Krajowego”, „Księżde Świata”, czy „Zwiastunie Ewangelicznym”. Artykuły Flatta podejmowały tematy współczesne, czasem także polityczne. Publikował relacje

z wydarzeń kulturalnych i naukowych, w których uczestniczył. Przybliżał czytelnikom obyczaje, wierzenia i sposób życia mieszkańców różnych terenów – Mazowsza, Gór Świętokrzyskich, Lubelszczyzny, Podlasia, Pomorza, Tatr i Wielkopolski. Podróżował do Austrii, Prus, Rosji, Francji i Anglii.

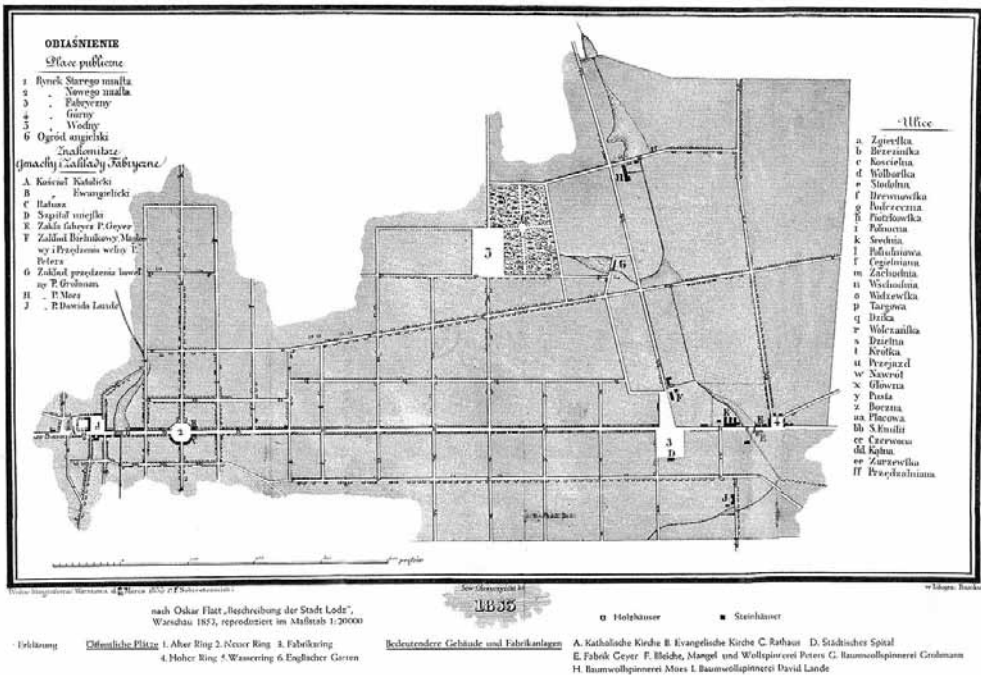
Flatt był wielkim entuzjastą i rzecznikiem techniki i przemysłu. Fascynował go świat nowoczesnych technologii oraz postęp w nauce. I to właśnie te zainteresowania przywiodły go do Łodzi. Pisał o niej już wcześniej, od roku 1852 ukazywał się w odcinkach *Opis miasta Łodzi*, który wydrukowano osobno rok później (1853). Na blisko 150 stronach tekstu Flatt uwiecznił obraz miasta bez historii, którego dynamiczny i wyraźnie ukierunkowany rozwój intrygował piszącego.

Oskar Flatt na podstawie dostępnych dokumentów odtworzył historię Łodzi i wydarzenia, które uczyniły z niewielkiej, zapomnianej miejscowości przodujący ośrodek przemysłowy.

Opis... powstał w bardzo charakterystycznym momencie – w latach pięćdziesiątych XIX stulecia Łódź była miastem, mającym za sobą pierwszą fazę rozwoju. Stała się miastem przemysłowym, które kształtowali przybywający z zewnątrz rękodzielnicy. Była jeszcze prawdziwą „ziemią obiecaną” nagradzającą pracowitych fachowców. Czasy drapieżnego, bezwzględnego kapitalizmu wciąż miała przed sobą.

Szkic jest złożony z trzech części: historycznej, statystycznej i przemysłowej. Tekst uzupełnia plan miasta z czytelnym rysunkiem nienazwanych ulic i naniesionymi na nie „Placami publicznymi” (Rynek Starego Miasta, Rynek Nowego Miasta, Rynek Fabryczny, Rynek Górny, Rynek Wodny i Ogród angielski) oraz „Znakomitszymi gmachami i zakładami fabrycznymi” (kościół katolicki, kościół ewangelicki, ratusz, szpital miejski, Zakład Bielnikowy, Maglowsy i Przędzenie Wełny P. Peters, Zakład Przędzenia Bawełny P. Grohmana, Zakład Przędzenia Bawełny P. Moes, Zakład Przędzenia Bawełny Dawid Lande).

PLAN MIASTA ŁODZI



W narracji Flatta przeplata się spojrzenie dziennikarza i entuzjasty. Przygotowanie *Opisu* poprzedził nie tylko obserwacją (pisał we *Wstępie*, że kilkakrotnie zwiedzał miasto), ale i gruntowną kwerendą dostępnych źródeł. Sięgnął do zasobów Archiwum Akt Dawnych Guberni Mazowieckiej i akt urzędowych. Na podstawie dostępnych dokumentów odtworzył historię Łodzi i wydarzenia, które uczyniły z niewielkiej, zapomnianej miejscowości przodujący ośrodek przemysłowy. Oskar Flatt zdawał sobie sprawę z pionierskiego charakteru swojej pracy. Miał nadzieję, że stanie się ona zachętą dla kolejnych badaczy, gotowych odkrywać tajemnice Łodzi. Chciał też, aby stała się ona początkiem badań nad historią przemysłu i handlu, spychanego do tej pory na marginalia. Rozumiał, że „upotężniając żyły narodowego przemysłu, niemniej korzystnie służy interesom kraju, jak pracując na widowni służby publicznej, lub pługiem podnosząc bogactwo swej ziemi”. A dostrzeżenie znaczenia przemysłu wpłynęłoby korzystnie na postrzeganie Łodzi.

Warto zwrócić uwagę na baśniową stylizację *Wstępu*. Opowieść o Łodzi Flatt rozpoczyna tak, jakby wprowadzał czytelnika w świat zupełnie obcy i tajemniczy, jakby nie opisywał miasta leżącego 120 km od Warszawy, ale jakąś odległą krainę „za górami za lasami” z baśni Andersena lub braci Grimm. Porównuje miasto sprzed trzydziestu lat (około 1820 roku) i Łódź współczesną. „Przed laty trzydziestu” było to miasteczko „rolniczo-żydowskie” z małym, brudnym rynkiem, z którego wychodziło kilka uliczek, zabudowanym „biednie i rzadko”. Ludność miasta, licząca ledwie kilkaset osób, trudniła się głównie rolnictwem. Gdy patrzy się na to samo miejsce po trzech dekadach, trudno je rozpoznać – szerokie trakty, nowoczesna, imponująca zabudowa, aż wreszcie rozległość miasta pokazują, jak wiele Łódź osiągnęła dzięki przemysłowi. Przemysł był demiurgiem – tworzącym, wydobywającym z niebytu.

„W tym ubiegłym trzydziestoleciu Łódź przeżyła wszystkie epoki: było naprzód zapomnienie,



ubóstwo, padła potem iskra życia, bujnie wschodzący krzew przemysłu coraz więcej rozrastać się zaczął, wzmagala się pomyślność, i po kilku wątpliwych krokach, stanęła u szczytu; niebawem nadeszła chwila przesilenia, słabnąć zaczęła działalność fabryk, ale nim się do upadku nachyliły, znowu dźwignięte, ruszyły torem postępu i postawiły Łódź na dzisiejszej stopie zamożności i ustalonego bytu”.

Wydaje się, że z całego *Opisu miasta Łodzi* to właśnie rozpoczynająca część historyczna najbardziej się zdezaktualizowała, ponieważ udało się dotrzeć do dokumentów niedostępnych dla Flatta, np. „o początkach i założeniu Łodzi”. W tej części autor przytacza po łacinie w całości, znaleziony w Archiwum Akt Dawnych Guberni Warszawskiej, dokument z 1331 roku o nadaniu Łodzi w wieczyste posiadanie biskupom kujawskim (dokument sygnowany przez Władysława Garbatego, księcia ziemi łęczyckiej i dobrzyńskiej, nadawał kilka wsi, w tym wieś Łodzia, biskupom kujawskim). Wspomina uchwałę z 1459 roku, na mocy której miasto miało wydelegować jednego zbrojnego żołnierza na wojnę pruską. Warto zaznaczyć, że autorowi nie udało się dotrzeć do dokumentów, ani nawet do wzmianki o nadaniu Łodzi w Przedborzu 29 lipca 1423 roku praw miejskich. Kolejne dokumenty, jakie omawia Flatt pochodzą z 1793 roku, kiedy to Łódź (po drugim rozbiórze Polski) została włączona do zaboru pruskiego. W *Opisie* przytoczono szczegółowe dane: 190 mieszkańców, 1 kościół katolicki, 44 domy zamieszkałe, 11 – niezamieszkałych, 18 pustych placów i 44 stodoły, jeden areszt policyjny, 4 studnie publiczne i 4 prywatne, jeden młyn wodny i dwa szynki. Flatt wylicza pogłowie zwierzyny (18 koni, 97 wołów, 58 krów, 63 sztuki trzody chlewnej), informuje również o skromnej liczbie miejskich rzemieślników: dwóch garbarzy, jednego ślusarza, krawca, szewca i stolarza, ośmiu stelmachów. Miasto utrzymywało się głównie z rolnictwa i chowu bydła. W 1807 (Flatt podaje rok 1806) Łódź znalazła się w obrębie Księstwa Warszawskiego, od tego czasu „gwiazda lepszej doli zabłysła nad Łodzią”, choć rozwój miasta odbywał się powoli. Pisarz informuje, że w 1820 (od 1815 miasto należało do Królestwa Polskiego) Łódź liczyła 112 domów i blisko 800 mieszkańców. Oskar Flatt celnie puentuje ten etap rozwoju miasta:

„Był to postęp, ale dopiero zaledwie zwiastowanie tej świetnej kolei, jaką wkrótce Łódź przebyć miała.

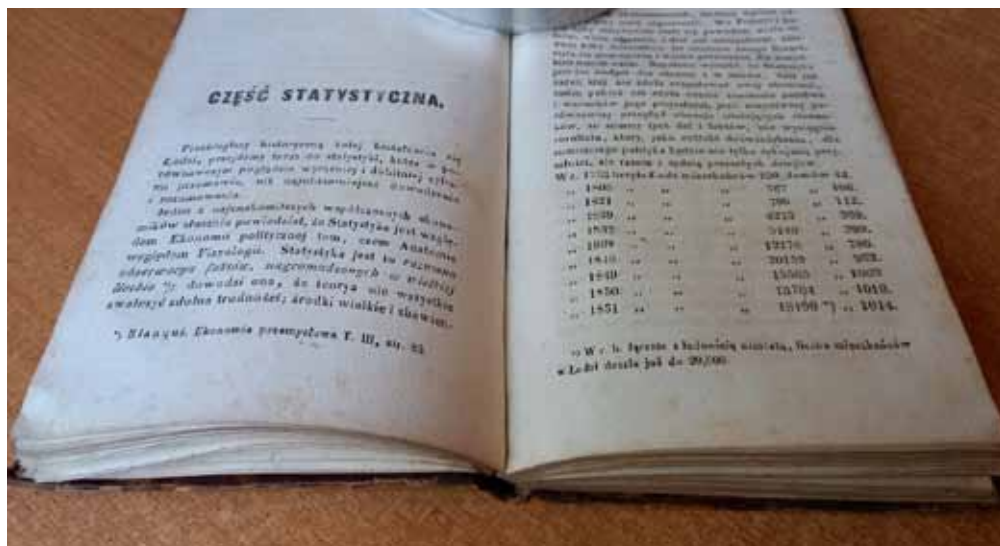
Pasma lat kilku z lichwą miało wynagrodzić zaniedbanie wieków”.

Wynagrodzenie, o którym wspomina Flatt, to decyzja o powołaniu Łodzi w poczet osad fabrycznych. Temu okresowi historii Łodzi poświęcono najwięcej miejsca. Pisarz wymienia wszystkich ojców przyszłych sukcesów miasta: namiestnika Królestwa Polskiego – Józefa Zajączka, Lubeckiego, Mostowskiego, wreszcie – Rajmunda Rembielińskiego. Entuzjastycznie opisuje wszystkie aspekty rozwoju miasta i podkreśla, że gwałtowny rozwój Łódź zawdzięcza przemysłowi. Pokazuje, że rozwijające się miasto przemysłowe jest najlepszym dowodem na to, że pokładanie nadziei na rozwój poprzez przemysł i realizację koncepcji industrializacji są słuszne. W *Opisie...* znajdziemy informację, że Łódź powstała z kilku oddzielnych części: Starego Miasta, Osady Sukienniczej (Nowego Miasta), ułożonych wzdłuż Piotrkowskiej Osady Tkackiej i Osady Przędzalniczej, a także osady Szlęzaki i znajdującej się w okolicach dzisiejszego Placu Zwycięstwa – Nowej Dzielnicy. Pokazano także położenie miasta i sąsiadujące z nim osady, które dziś są autonomicznymi częściami Łodzi – od północy: Radoszcz i Łagiewniki, od wschodu Stoki, Widzew i Zarzew, od południa Chojny i Rokicie oraz Brus na zachodzie.

W części statystycznej przeplatają się zestawienia liczbowe (np. dotyczące liczby mieszkańców czy dochodów miasta) z tekstem ciągłym. Flatt z zachwytem przygląda się zestawieniu liczb, które dobitnie pokazuje imponujące tempo rozwoju każdej dziedziny życia miasta. Spośród łódzkich budynków autor odnotowuje m.in. kościół ewangelicki i katolicki, ratusz, szpital miejski, dom posiedzeń Zgromadzenia Tkaczy oraz imponujące zakłady Geyera. Pisarz reje-struje plany rozwoju miasta, wymieniając projektowane budynki: szkołę powiatową realną, kościół parafii rzymskokatolickiej oraz „obwiedzenie bulwarkiem wybrzeża rzeki Łódki”.

Opisując łódzki handel, zwraca uwagę na jego rozwój i skumulowanie na Starym Mieście, na terenie zamieszkałym przez ludność żydowską. Wymienia przywileje, z jakich korzystają kupcy i terminy miejskich jarmarków. Tego typu wzmianki dowodzą dużej wartości dokumentacyjnej tekstu Flatta.

Kolejnym aspektem łódzkiego życia, opisanym w dziele, jest szkolnictwo. Pisarz notuje, że od 1806 r. utrzymywano w mieście jednego nauczyciela elementarnego, od 1815 – szkołę powiatową Realną Niemiecko-Rosyjską, zatrudniającą w roku 1849/1850 ośmiu nauczycieli, edukujących 102 uczniów. W tym



czasie funkcjonowały także trzy szkoły elementarne męskie, trzy szkoły prywatne, w których uczyło się łącznie 750 uczniów.

Najobszerniejsza część *Opisu*... stanowi opis łódzkiego przemysłu. Flatt podzielił ten fragment na trzy mniejsze części, poświęcone kolejno przemysłowi wełnianemu, bawełnianemu oraz lnianemu i konopnemu. W tej części swojej pracy Flatt po raz kolejny podkreślił znaczenie przemysłu i handlu w rozwoju Łodzi, a także wskazał, że jest to droga, którą powinien podążać cały kraj. Odrzucenie dawnych przesądów i pójście drogą postępu, wyznaczoną przez Łódź, mogłoby odmienić oblicze całego kraju. Podkreśla także, że do osiągnięcia sukcesu potrzebny jest też łut szczęścia:

„A zresztą, nie jest że ta historia kształtowania się Łodzi zarazem historią przemysłu naszego, w paśmie ostatniego trzydziestolecia? Z tą tylko różnicą, że Łódź przetrwawszy zwycięsko wszelkie zmienne i niekorzystne częstokroć koleje, stoi już dziś samodzielnie na znakomitej stopie rozwoju fabrycznego, a inne jej siostry przemysłowe, w jednymże czasie, ale widać nie pod jedną gwiazdą zrodzone, częścią zrodzone, częścią zamarły, częścią osłabły, a żadna Łodzi skorolotnej nie dotrzymała kroku na drodze postępu”.

Na sukces Łodzi złożyło się wiele czynników: korzystne położenie geograficzne, odważne i trafne decyzje władz, poziom i pracowitość przybywających do miasta fachowców, mądre inwestycje, jak np. połączenie miasta z linią kolei warszawsko-wiedeńskiej. To wszystko zagwarantowało Łodzi rozwój w iście amerykańskim stylu.

Pisząc o rozwoju przemysłu wełnianego, Flatt podkreślał jego dynamizm: w miejscu, gdzie w czerwcu 1823 roku była pusta przestrzeń, na której w lipcu rosło zboże, w grudniu stało już sześć dwurodzinnych domów tkaczy. Pod koniec 1851 roku

Opisując łódzki handel, zwraca uwagę na jego rozwój i skumulowanie na Starym Mieście, na terenie zamieszkałym przez ludność żydowską. Wymienia przywileje, z jakich korzystają kupcy i terminy miejskich jarmarków.

w mieście były 23 fabryki wyrobów wełnianych i półwełnianych, 196 warsztatów, przy których pracowały 422 osoby. Symptomatyczne, że spośród wymienionych nazwisk fabrykantów zajmujących się wełną, żadne nie jest bliżej znane Łodzianom: Henryk Vorverk, Julia Hentsch, Abram Prusak, Franciszek Pitschmann, Karol Raetting, Karol Queitsch,

Florian Pfeifer, Franciszek Müller, Edward Braun, Markus Elbinger. Tę część uzupełnia, zebrany w tabeli, „Wykaz porównawczy przedstawiający rozwój i postęp fabryk wełnianych w Łodzi od roku 1824 do 1851 włącznie”.

Najobszerniejszą część opisu poświęcono rozwojowi przemysłu bawełnianego. Flatt wymienił jego ojców: Wendischa, Lange i Geyera. Ten ostatni był w ocenie Flatta największym i najważniejszym fabrykantem, który „wszystkich innych przedsiębiorców zaćmił już w tym czasie”. W opisach jego fabryki widać autentyczny zachwyt potęgą, jaką zbudował Geyer:

„Wszedłszy do fabryki, odurzenie ogarnie nieprzywykły umysł; ten ruch, ta, że tak powiem, atmosfera przemysłowa, a przy całym pośpiechu, przy całej skrętności ten porządek, ten takt, ta harmonia; każdy z robotników jest tylko kółkiem, sprężyną, cząstką wielkiej całości fabrycznej”.

Tę część uzupełnia tabela „Obraz statystyczno-porównawczy rozwoju zakładów bawełnianych Ludwika Geyera od roku 1832”. Autor wymienia także innych fabrykantów bawełny: Traugota, Grohmana, Samuela Lande, Jakuba Petersa, Fryderyka Karola Moesa, Adolfa Freimunda i Władysława Müllera.

Opisując fabrykę Geyera, autor posługuje się liczbą mnogą – taki zakład „zasługuje na całą naszą sympatię”. To ciekawy zabieg, ponieważ pokazuje, że pisarzowi chodziło nie tylko o opisanie miasta, ale także o przekonanie innych, że jest to miasto warte uwagi i poznania.

W *Opisie...* przedstawiono rozwój przemysłu lnianego, a także wskazano profile innych łódzkich fabryk. W Łodzi była jedna fabryka octu, dwie fabryki oleju, 5 fabryk noży, fabryka instrumentów muzycznych, dwie fabryki szpilek i osiem kopalni torfu.

Ostatnią część opisu stanowi „Pogląd ogólny”, który jest uzupełnieniem wcześniejszych spostrzeżeń na temat Łodzi. W tej części Flatt zebrał informacje o rozwoju terytorialnym i zabudowie, szpitalach, organizacjach i stowarzyszeniach. W opisie najbliższych okolic Łodzi skupił się na Łagiewnikach i Chojnach (opowieść o Mulinowiczu). Załączył także obszerny opis Towarzystwa Strzeleckiego w Łodzi z nazwiskami wszystkich królów kurkowych.

Wydaje się, że Flatt, który nie krył swego zachwytu fabrykantami i rolą, jaką odegrali w historii Łodzi, nie

do końca rozumiał położenie robotników. Poświęcił im niewiele miejsca, skupiając się raczej na sposobach spędzania przez nich wolnego czasu, niż na pracy w fabryce.

Oskar Flatt, pierwszy badacz dziejów Łodzi, pokusił się o spojrzenie w przyszłość miasta. Jego zdaniem wszystko, co działo się współcześnie w przemysłowym mieście dowodziło tego, że plany władz miasta były ambitne – rozwój terytorialny, zabudowa itp. Autor zauważa, że „przy paśmie pomyślnych lat, mogłyby się kiedyś ziścić śmiałe przypuszczenia założycieli”.

Dzięki *Opisowi miasta Łodzi* pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym Oskar Flatt zyskał miano pierwszego kronikarza miasta. Wydaje się, że był kimś więcej. Był entuzjastą Łodzi, bo ucieleśniała sny o potęgzie, którą daje postęp, przemysł i handel. Patrzył na miasto oczami romantyka i idealisty, co odbiło się na jego obrazie. W życiu łodzian nie widział żadnych mankamentów, nadmieniając jedynie, że bolączką mieszkańców jest drożyzna. Jakby nie zauważał wielogodzinnej pracy, złych warunków panujących w fabrykach itp. Umiejętnie przedstawił obyczaje robotników – święta kościelne, sposób spędzania wolnego czasu, wybór króla kurkowego. Zauważył, że Łódź jest miastem, w którym przeważa żywioł niemiecki, a jego zwyczaje i sposób życia wypierały rodzime. Unikał angażowania się w politykę – pochwalał rząd, przemilczał wszystkie zrywy narodowe Polaków.

Opis miasta Łodzi... Oskara Flatta urzeka czytelnika mariażem dziennikarskiej rzetelności i literackiego, pełnego poetyckich obrazów, urozmaiconego epitetami i metaforami opisu. Jest i tekstem reportażowym, i literackim. Najcenniejszym świadectwem czasów, w których powstał.

NIM ŁÓDŹ STAŁA SIĘ
ZIEMIĄ OBIECANĄ.
O PRZEDREYMONTOWSKICH
POWIEŚCIACH
O PRZEMYSŁOWYM MIEŚCIE

dr Karolina Kołodziej

Uniwersytet Łódzki

BAWEŁNA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Wincentego Kosiakiewicza.



Petersburg.

Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego.

1895.

Waleria
Marrené-Morzkowska

Wśród kąkolów

Pierwsza powieść o Łodzi

Łódź weszła do literatury niejako kuchennymi drzwiami.

Gdy czytelnicy poznawali Petersburg, Paryż, Londyn z kart powieści, Łódź wciąż była niewielką, stale rozwijającą się miejscowością. Wraz z rosnącym znaczeniem miasta, wzrastało zainteresowanie nim. Przejawiało się to m.in. w zwiększonej ilości korespondencji z Łodzi, drukowanych w prasie warszawskiej. Włókiennicze miasto zaczęło interesować czytelników, chętnie sięgających po relacje z wielokulturowego tygla, którego życie toczyło się wokół bawełny i którego rytm życia wybijały syreny fabryczne. Na podstawie korespondencji czytelnicy budowali swoje wyobrażenie o Łodzi. Prezentowany na łamach gazet obraz był często nieprawdziwy, jednowymiarowy i niejako „skażony” spojrzeniem człowieka z zewnątrz, nierozumiejącego specyfiki miasta przemysłowego. Doprowadziło to do powszechnego postrzegania Łodzi jako miasta wyzysku i drapieżnego kapitalizmu, co było początkiem budowania jego czarnej legendy. Łodzianie zrozumieli, że jeśli chcą mieć wpływ na to, jak jest postrzegane ich miasto, muszą pokazać je ze swojej perspektywy. Tę możliwość najwcześniej dostrzegli ludzie związani z „Dziennikiem Łódzkim” – Edward Herbst (któremu zawdzięczamy powstanie gazety) i Henryk Elzenberg (warszawski prawnik, długoletni współpracownik dziennika). Elzenberg próbował zainteresować tematem łódzkim swoją wieloletnią znajomą, Elizę Orzeszkową. Zależało mu na napisaniu opiniotwórczej powieści lub noweli. Istnieje prawdopodobieństwo, że z taką samą prośbą zwrócił się do Walerii Marrene-Morzkowskiej, warszawskiej pisarki, popularyzatorki, feministki, spokrewnionej dalekimi więzami z autorką *Nad Niemnem*. Morzkowska współpracowała z łódzką prasą od 1881 roku, pisząc początkowo do „Gazety Łódzkiej” (tygodniowym dodatku do „Lodzer Zeitung”). Od 1884 roku przez pięć lat dostarczała korespondencje z Warszawy, artykuły o życiu literackim i artystycznym stolicy, a także analityczne szkice o literaturze polskiej i zagranicznej. Jej bliskie związki z gazetą trwały do 1889 r., gdy pismo zmieniło swój charakter. I choć temat miasta przemysłowego podjęła pisarka ciesząca się w swoich czasach dużą popularnością i znająca temat, o którym miała traktować powieść (Morzkowska odwiedziła Łódź i miała możliwość zwiedzania fabryk włókienniczych), dzieła Walerii Marrene-Morzkowskiej próżno szukać na łamach „Dziennika Łódzkiego”. Pierwsza łódzka powieść *Wśród kąkol* była drukowana w odcinkach w warszawskiej „Biesiadzie Literackiej”, piśmie „Ilustrowanym Poświęconym Literaturze, Sztuce, Kwestiom Społecznym, Wynalazkom, Polityce i Gospodarstwu Krajowemu” w 1890 roku. Odpowiedź na pytanie, dlaczego łódzka gazeta nie zdecydowała się publiko-

wać powieści Morzkowskiej wydaje się oczywista dla każdego, kto poznał treść utworu. Elzenberg oczekiwał, że dzieło, pisane niejako na zamówienie środowiska związanego z „Dziennikiem Łódzkim”, stanie się narzędziem w walce o spolonizowanie Łodzi, rozumianej jako asymilację licznej społeczności żydowskiej. Autorka *Wśród kąkolu* uznała, że może się ono dokonać, gdy zostanie przezwyciężona dominacja Niemców w Łodzi. Powieść Morzkowskiej uderzała w środowisko niemieckich fabrykantów i wyższego personelu fabrycznego, pokazując ich w bardzo niekorzystnym świetle, co musiało wpłynąć na decyzję mocodawców „Dziennika Łódzkiego” – rodziny Scheiblerów i Herbstów. Po roku 1889 pisarka zaprzestała współpracy z gazetą.

Wśród kąkolu Walerii Marrene-Morzkowskiej ma wiele cech powieści tendencyjnej, tak bliskiej estetycznie pisarce. Tworząc powieść autorka założyła tezę, której podporządkowała pozostałe elementy konstrukcyjne – kreacje bohaterów, rozwój fabuły, sposób prezentacji. Postawiona teza i dążenie do jej udowodnienia zaważyły na wiarygodności utworu i obniżyły jego wartość artystyczną.

Zgodnie z przyjętą tezą, pisarka w powieści pokazała tylko dwie narodowości, co zaprzeczało nie tylko rzeczywistości, ale i ogólnemu wyobrażeniu o mieście, postrzeganym jako wielonarodowy i wielokulturowy tygiel. Polaków i Niemców zaprezentowano w sposób stereotypowy – bohaterowie są przeważnie jednowymiarowi i przewidywalni. Taka kreacja miała ułatwić czytelnikowi właściwy (zgodny z autorską intencją) odbiór utworu.

Głównym bohaterem powieści jest lekarz Jan Krzesławski, który po podniesieniu swoich kwalifikacji za granicą, postanowił prowadzić badania medyczne w Łodzi. Jego celem było zbadanie wpływu przemysłu na zdrowie mieszkańców, dlatego Łódź wydawała się idealnym miejscem jego praktyki. Krzesławski jest typowym bohaterem pozytywistycznym – rzetelnie wykształconym entuzjastą i filantropem, chętnie manifestującym swój patriotyzm. Można odnieść wrażenie, że większą troskę przykładą do walki o polskość miasta, próbując przezwyciężyć dominację Niemców, niż do badania chorób cywilizacyjnych. Na przeciwnym biegunie Morzkowska sytuuje zgermanizowanego Polaka, pracującego w szpitalu przyfabrycznym największego łódzkiego fabrykanta Hermana Piffkego, Fromlicha. Wydaje się, że to najbardziej krytycznie oceniany przez autorkę bohater powieści. Sprzeniewierzył się zawodowi, porzucając sa-

modoskonalenie i otwartość na postęp medycyny na rzecz wygodnej i intratnej posady. Sprzeniewierzył się polskości, zmieniając nazwisko z Fromek na Fromlich, okazując podległość niemieckim mocodawcom i pogardliwie wypowiadając się o rodakach („bydło”). Kolejnym antagonistą głównego bohatera jest powieściowy krezus – Herman Piffke, wszechwładca przemysłowej Łodzi, przekonany o swojej potędze i potędze nacji, jaką reprezentuje. Pomiedzy tą trójką bohaterów rozciąga się galeria schematycznych postaci, uwikłanych w łódzkie życie. Ta trójka staje się też osią konstrukcyjną fabuły. Akcja powieści nie jest skomplikowana – Jan Krzesławski ratuje życie robotnikowi, który – stając w obronie czci swojej żony – został zraniony przez majstra. Ten incydent połączył powieściowe losy polskiego lekarza i niemieckiego fabrykanta. Pozwoliło to też na rozwinięcie wątku romansowego, bowiem wychowana w zagranicznych pensjach bowarystka, Amalia, córka Piffkego zakochuje się w polskim lekarzu. Wkrótce okazuje się, że prawdziwym powodem przyjazdu Krzesławskiego do Łodzi była chęć pomocy zbankrutowanemu ziemianinowi Bossowiczowi, który został pozbawiony majątku na skutek działań niemieckiego fabrykanta. Bohater postanawia odzyskać dokumenty świadczące o winie Piffkego, w czym pomaga mu Brzeziński. Mężczyźni docierają do sprawcy kradzieży, odzyskują bezcenne dokumenty, ale prawnicy bogacza grają na zwłokę, opóźniając wydanie wyroku. Zdesperowany Bossowicz, straciwszy nadzieję na odzyskanie majątku, w szale zabija Hermana Piffkego, który był sprawcą wszystkich jego nieszczęść.

W pierwszej łódzkiej powieści niewiele jest Łodzi, akcja utworu rozgrywa się w przestrzeni niedookreślonej, brakuje nazw topograficznych lub opisu konkretnych elementów miejskiego krajobrazu (kościółów, budynków użyteczności publicznej, parków). Na szczęście można znaleźć w *Wśród kąkol* kilka wyjątków. Krzesławski przyjeżdża do Łodzi pociągiem kolei warszawsko-wiedeńskiej, co stwarza pretekst do przyjrzenia się ludziom przybywającym do miasta. Bohater zauważa, że wśród podróżujących znajdują się Polacy, Niemcy i Żydzi, ale brakowało „rozmaitości, jaką zwykle spostrzec można na innych liniach kolejowych”. Pierwsze powieściowe opisy Łodzi prezentują spojrzenie przybywającego z zewnątrz, który nim dojechał do miasta, mógł przyglądać się mu z pewnej perspektywy. O zbliżaniu się do niego świadczyły majaczące na horyzoncie wysokie, smukłe kominy fabryk, dominujące nad okolicznym lasami. Z zielonej gęstwiny stopniowo wyłaniały się krwistoczerwone mury fabryk, kontrastujące z szarością tynków domów mieszkalnych. Opisuja łódzkie

fabryki, Morzkowska akcentowała ich monumentalność, podkreślaną jaskrawą czerwienią nietynkowanych cegieł. Powieść pozwoliła czytelnikowi „zajrzeć” do ich wnętrza, przyjrzeć się pracy robotników w tkalni, którzy wskutek wielogodzinnej, monotonnej pracy ulegali swego rodzaju odczłowieczeniu, stając się częściami dobrze funkcjonującej maszyny. Pokazanie wnętrza fabryk i życia robotników stało się też pretekstem do prezentacji ich największych bolączek: pracy dzieci, seksualnego wykorzystywania robotnic przez wyższy personel fabryczny, niskich zarobków i przeciążenia wysiłkiem fizycznym. Odwaga, z jaką warszawska pisarka-feministka przedstawia sytuację kobiet w fabryce, jest warta podkreślenia. Czytelnicy poznają bliżej losy dwóch robotnic – Marysi Gruszkowej i Jadwigi. Pierwsza z nich jest szantażowana przez majstra fabrycznego Hafnera, pragnącego wymóc na niej uległość groźbami wydalenia z fabryki. Gdy stający w obronie czci żony Karol Gruszkowski zostaje raniony przez majstra, zastraszeni robotnicy zeznają, że to Polak zawinił. Ranny powracał do zdrowia w domu, a jego żona, pomimo traumatycznych przeżyć, musiała wrócić do pracy. Symptomatyczne jest to, że Gruszkowa nie znajdowała oparcia w innych robotnicach, które były przekonane, że triumf majstra jest tylko kwestią czasu. Może to świadczyć o powszechności takich praktyk, stosowanych przez majstrów wobec podległych im kobiet. Obdarzona niezwykłą urodą robotnica Jadwiga stała się obiektem zainteresowań jednego z podmajstrzych, Fritza. Odrzuciwszy jego nachalne zaloty, została wyrzucona z fabryki, a solidarność urzędników sprawiła, że nigdzie nie mogła znaleźć pracy. Bezrobocie spychało ją w coraz większą biedę, a głód i rezygnacja zmniejszały upór dziewczyny. Żydówka Rubinka (jedyna przedstawicielka tej nacji w powieści) rysowała przed pełną rozterek Jadwigą wizję dostatniego życia u boku niemieckiego męża. Zakończenie powieści można odczytywać jako triumf perswazji Rubinki nad cnotą Jadwigi: dziewczyna wyróżnia się na tle robotników zgromadzonych przy rezydencji rodziny Piffke nowym strojem, ale także bladością i zawstydzeniem...

Kolejnym bulwersującym aspektem życia w przemysłowym mieście była praca dzieci w fabrykach. Wstrząsający opis wychodzących z fabryki dzieci, na których cielesności odbija się trud wielogodzinnej pracy, uderza plastycznością. Dzieci wyglądają staro, są pozbawione jędrności, mają ziemistą skórę, podkrążone oczy, „a na bladych obliczach wielu widać było zupełne stępienie umysłu”. Niemieccy fabrykanci i urzędnicy potrafili obejść przepisy, ograniczające czas pracy nieletnich do ośmiu godzin. Dyrektor fabryki Piffkego wpadł na pomysł, aby w przypadku kontroli inspektora fabrycznego, pracujące dzieci wypuszczać

na dziedziniec, gdzie miałyby udawać, że się bawią. Zapytane, miały deklamować wyuczoną formułkę, mając świadomość, że każde nieposłuszeństwo byłoby karane „wilczym biletem”. Fromlich przekonywał, że dzieci pracują, ponieważ mają chciwych rodziców, a dyrektor Zwin utyskiwał na nowe porządki:

To niesłychane rzeczy (...) tego nigdy nie było, żeby nie można w swojej własnej fabryce urządzać się jak potrzeba. Dzieci pracowały zawsze dopóki szły maszyny i było dobrze. Czy to my ich gwałtem brali? Czyśmy im nie płacili? A teraz dzieci mają tylko ósm godzin pracować, dzieci mają się uczyć. Czego? Na co? Czy na to, żeby im się w głowach poprzewracało?

Kolejną przestrzeń pokazaną bliżej przez Morzkowską są Bałuty. Bohaterowie docierają tam w poszukiwaniu złodzieja dokumentów. Pisarka stworzyła przejmujący obraz królestwa nędzy i kolebki występku. Może dziwić, że Krzesławski, lekarz-idealista, przygląda się wegetującym mieszkańcom Bałut i nie robi nic, aby im pomóc: interes, który go sprowadził, okazał się ważniejszy od głoszonych ideałów... Pisarka trafnie zdiagnozowała przyczyny szybkiego przyrostu liczby najbardziej potrzebujących; pojawiają się „przy każdym upadku fabrycznego ruchu, przy zmniejszaniu obrotów, stagnacji lub innej przyczynie tamującej rozwój przemysłu”. Opis Bałut przywołuje na myśl naturalistyczne prezentacje przedmieść innych wielkich miast:

Teraz znaleźli się wśród niskich, w ziemię zapadłych, drewnianych domków, podobnych do chat opuszczonych, stojących rzędem przy wilgotnej, przemarzniętej kałużami ulicy. Można było zapomnieć, że o kilkadziesiąt kroków stąd miasto fabryczne wrzało gorączkowym ruchem. Tutaj ruch ten był innego rodzaju: przed domami, korzystając z bladego jesienno słońca, wiło się mrowisko istot, na których nędza położyła swe piętno. Były to kobiety karmiące żółte jak wosk niemowlęta, suchotnicze dzieci, mężczyźni wstrętnej powierzchowności.

Wśród rzeszy szpitalników bez pomocy, bez dachu, bez chleba, widocznie napiętnowanych chorobą, wśród tych, którzy nosili na twarzy cechę kalectwa, rozpusty, zbrodni, idiotyzmu, znajdowała się i ludność do pracy zdolna, której ręce były bezczynne, bo albo pracy nie znalazły, albo jej nie chciały.

Toteż na twarzach można było wyczytać wszystkie stopnie nieszczęścia, od ponurej rozpacz, aż do sztucznego pobudzenia i zupełnej obojętności. Byli i tacy, którzy walczyli jeszcze z ostateczną nędzą, gdy inni poddawali się jej bezspornie, nie próbowali nawet utrzymać się na powierzchni i szli na dno, jak martwe ciała pozbawione możliwości obrony.

W powieści pojawiają się nazwy autentycznych łódzkich hoteli: Manteuffel, Wiktorja, Hamburski, nazwiska prawdziwych fabrykantów – Poznańskiego, Scheiblera, Heinzla, Meyera oraz tytuły gazet „Dziennik Łódzki”, „Lodzer Tageblatt” i „Lodzer Zeitung”.

Obraz miasta w *Wśród kąkolu* nie jest opisem miasta rzeczywistego. Narrację zdominowała przyjęta przez pisarkę teza o dominacji niemieckiej w mieście. Wydaje się, że pozytywistka nie potrafiła oddać dynamizmu łódzkiego życia, że nie do końca zrozumiała jego fenomen.

Cztery lata po ukazaniu się *Wśród kąkolu*, w 1894 roku, w „Gazecie Polskiej” drukowano powieść Wincentego Kosiakiewicza pt. *Bawełna*, uznawaną przez długi czas za pierwszą powieść o Łodzi. Dopiero badania Heleny Karwackiej i seria jej publikacji z lat 70-tych XX wieku uznały pionierstwo Walerii Marrene-Morzkowskiej. O *Bawełnie* wspominał Władysław Stanisław Reymont w pisanym w czerwcu 1896 r. liście do Jana Lenartowicza:

Przystąpiłem do tej pracy z entuzjazmem prawie i z wielką sumiennością – jużci, że tego nie starczy na usprawiedliwienie, jeśli stworzę coś w rodzaju „Bawełny”, ale wystarczy dla mnie na uświadomienie własnego niedołęstwa.

Cóż mógł zarzucać noblista powieści Kosiakiewicza? Jakiej jej braku dostrzeże współczesny czytelnik? Podobnie jak *Wśród kąkolu*, *Bawełna* jest słabo osadzona w rzeczywistości dziewiętnastowiecznej Łodzi, a fabuła w wielu miejscach okazuje się banalna, rozciągnięta w czasie i odcięta od spraw „typowo łódzkich”. Kosiakiewicz, podobnie jak Morzkowska, stworzył bohatera, który przybywa do Łodzi z zewnątrz. Dla Juliana Rumińskiego przeprowadzka do przemysłowego miasta była okazją do odmieniania wcześniejszego, próżniaczego życia, które w zaledwie kilka lat po powrocie ze studiów, doprowadziło tego wykształconego na politechnice w Karlsruhe arystokratę i chemika do bankructwa. Chęć zmiany dotychczasowego życia pchnęła go do Łodzi, gdzie dzięki dawnemu przyjacielowi z politechniki, Kańskiemu, znalazł pracę jako kolorysta, wchodząc w spółkę ze Steinem. Ciekawie zapowiadająca się powieść z czasem przeradza się w romans, w którym młodsza siostra Rumińskiego i jej przyjaciółka z pensji grają pierwsze skrzypce. Gdy po latach koniunktury do Łodzi dociera kryzys a nad firmą głównego bohatera wisi widmo bankructwa, w jego fabryce wybucha pożar, a wysokie sumy z odszkodowania pozwoliły przeczekać złe czasy. Podejrzenie o podpalenie zakładów spadło na właścicieli, ale w wyniku

błyskawicznego śledztwa prowadzonego przez Rumińskiego i Kańskiego, ten pierwszy został oczyszczony z zarzutów. Winę udowodniono współnikowi Rumińskiego, Steinowi. Uczciwość Rumińskiego sprawiła, że zyskał on zaufanie i kredyt od największego łódzkiego fabrykanta – Krotmana, co pozwoliło mu założyć nową spółkę, tym razem z dawnym przyjacielem Kańskim.

Niewiele w *Bawełnie* rzeczywistego miasta. Ukonkretyzowaniu przestrzeni, w jakiej rozgrywa się akcja powieści, miało służyć użycie nazw topograficznych. W powieści pojawiają się nazwy łódzkich ulic – Piotrkowska, Pasaż Meyera, Promenada, ale większość akcji rozgrywa się w nienazwanej przestrzeni. Pisarz uwiecznił pewne cechy charakterystyczne przemysłowego miasta – jego uzależnienie od bawełny, następujące przemiennie kryzysy i okresy prosperity, pożary wysoko asekurowanych fabryk w celu pozyskania ubezpieczenia:

Bankructwa właśnie szerzyły się jak zaraza. Co dzień nowe nazwiska wypływały na wody ruin, co dzień któryś z bogaczy zmieniał się w nędzarza, co dzień do tylu domów nie wchodziły inne wieści, tylko głoszące klęski i straty. Wieczorami zaś i nocami niespodziewanie zabarwiała się w którejś stronie miasta niebo łuną różową, a na ulice wylaływały straże ogniowe i lud dążył podając z ust do ust „pali się”.

Największą wartością powieści Kosiakiewicza jest interesujące upersonifikowanie bawełny, która pełni rolę demiurga tworzącego miasto, przetwarzającego pola w fabryki a małą miejscinę w przemysłowego molocha. Pisarz porównał bawełnę do kobiety o wielu twarzach, zmienną i kapryśną. Była dobrą i wymagającą władczynią, dbającą o swój dwór (fabrykantów i robotników) i hojnie go wynagradzającą. Dla części przemysłowców była niczym najlepsza matka – zapewniała spokój i dobrobyt, przytulała i obdarzała milionami. Czasem kaprysiła, niczym chimeryczna kokietka, wówczas łódzki świat trząsł się w posadach, upadały jedne i powstawały inne fortuny. Każdy pożył jej, marząc o bawełnie, jak marzy się o najpiękniejszej kochance: *wydzierano ją sobie, walczone o nią, zazdroszczono jej sobie*.

Błogosławieństwem miasta była bawełna. Ona to zbudowała pola i place i wsi kilkanaście pochłonawszy, przerobiła je na miasto, niby fabryka surową roślinę na sztuczny materiał do ubrania. Ona dawała chleb robotnikom i miliony fabrykantom; ona utrzymywała doktorów, adwokatów, aptekarzy, urzędników, ona co roku obalała domki drewniane, aby postawić na ich miejsce wille i pałace; ona niszczyła ogrody, aby wznosić mury fabryczne; ona budowała gmachy wspaniałe, ona tworzyła

naokoło miasta pierścień kominami nasadzony. Ona karmiła ludzi, ona dawała im dobrobyt, ona opłacała ich zbytek.

Kolejną interesującą rzeczą, jaką można odnaleźć w *Bawełnie* jest wyodrębnienie specyficznej grupy bohaterów, określanych słowem „złodzieni”. „Złodzieni” ludzie poddają się prawom rządzącym w „zbawełniałym” mieście, żyją zgodnie z regułami, jakie ono narzuca, idą na kompromis z wyznawanymi wartościami, a wszystko po to, aby osiągnąć sukces. Najszybciej miliony wyszarpią „niewyraźni”, lodzermensche (pisarz posługiwał się oboma sformułowaniami). To osoby, których nieokreśla język, jakim się posługują, ani nazwisko, ponieważ przede wszystkim są „miejscowi”, tutejsi, łódzcy... Chętnie epatowali majątkiem, który nie tylko miał świadczyć o zamożności, ale służył budowaniu solidnego wizerunku, na który mogliby się nabrać pożyczkodawcy. Co ciekawe, poglądy „niewyraźnego” również były „niewyraźne” – unikał wygłaszania swoich myśli, dostosowując własne przekonania do przekonań rozmówcy.

Fabula powieści Wincentego Kosiakiewicza w znikomym stopniu pokazuje fenomen miasta przemysłowego. Kulminacyjnym punktem powieści jest pożar fabryki Rumińskiego i Steina, jest to też najbardziej łódzki epizod utworu, zdominowanego przez wątek romansowy. Pisarz, jak wspomniano, nie tylko umiejscowił akcję w anonimowej przestrzeni, ale też pominął opis najbardziej charakterystycznych grup – robotników i fabrykantów. Rumiński jest współwłaścicielem fabryki barwników do tkanin, pozostaje więc poza orbitą spraw zajmujących przemysłowców przetwarzających wełnę i bawełnę.

Obie przedreymontowskie powieści o Łodzi korzystają z podobnych schematów. Główny bohater przyjeżdża do przemysłowego miasta z zewnątrz, w adaptacji i zrozumieniu stosunków panujących w mieście pomaga mu przyjaciel, który od jakiegoś czasu mieszka w Łodzi. Stwarza to pretekst do zaprezentowania miasta nowoprzybyłym i zapoznania z panującymi w nim obyczajami. Konfrontacja wyobrażeń i rzeczywistości mówi wiele o tym, jak postrzegano polski Manchester, patrząc na niego „z zewnątrz”.

Morzkowska, Kosiakiewicz, a także korespondenci prasowi utorowali Reymontowi drogę do sukcesu. Choć obie powieści przeszły niemal niezauważone przez krytykę (tylko *Bawełna* doczekała się prasowych recenzji) i nie zyskały popularności wśród czytelników, pokazały coś ważnego – że ich temat – Łódź – zaczyna zyskiwać coraz większe znaczenie.

ŁÓDŹ. MIASTO ZACHWYTU I PRZEKLEŃSTWA

Agnieszka Lis

pisarka



Łódź – miasto sukcesu i porażki.

Miasto parków, zachwycających kamienic, bajecznych pałaców i biedy, odpadających płatów farby, miejsc zapomnianych, nie do odnalezienia przez turystów.

Łódź. Kiedy spacerujesz Piotrkowską, zobaczysz odnowione fasady, wieczorem elegancko podświetlone. Doświadczysz zapachów z restauracji, obiecujących rozkosze podniebienia, usłyszysz wiele języków. Zachwycisz się szykownym miastem, którego wizerunek udatnie cię omami. Bo to nie jest prawda.

Prawdziwa Łódź – być może – pokaże ci swoje prawdziwe oblicze, gdy wejdziesz niespodziewanie w bramę, najlepiej lekko nieświeżą. W podwórzu poczujesz stary tłuszcz, trochę moczu, może świeżo skoszoną trawę, której spłachetek zieleni się na środku podwórza. Tylko tam zobaczysz stuletni witraż na klatce schodowej, przykurzony wprawdzie, za to ożywiający kolorem pośpieszne życie mieszkańców. Tylko tu dostrzeżesz ozdobne gzymsy, fascynujące, choć już odrobinę sypiące zwietrzałym tynkiem. I schody, wydeptane tysiącami kroków, barierki ręcznie rzeźbione, wygłaskane przez dziesięciolecia.

Wszystko to znajdziesz też gdzie indziej – zwykle odremontowane, odmalowane, odnowione. Tutaj jednak będzie prawdziwe.

W Łodzi od zawsze mieszały się bogactwo z nędzą, szlachetność z podłością, kultury znane i tajemnicze, języki obce i zrozumiałe. Lekko charczący żydowski, twardy niemiecki, rosyjski zaśpiew. I polski, oczywiście. W tym mieście codzienność pulsuje. Dzieje się tak w każdym działaniu mieszkańców, ale także, a może przede wszystkim, w słowach.

Literatura, ta dobra, zawsze opowiada o ludziach. Zbliża się do nich. Zaczepia każdym słowem o prawdę.

Jak w Ziemi obiecanej.

Kiedy myślę o literaturze w Łodzi, lub o Łodzi w literaturze, jako pierwszy na myśl przychodzi mi oczywiście Władysław Stanisław Reymont. Wiadomo: *Ja nie mam nic, ty nie masz nic...* Ewentualnie: *Łódź wyznaje wszystkie przykazania prócz jednego – nie kradnij.* No i *My nie mamy nic do stracenia prócz honoru, a przecież tym towarem w Łodzi się nie operuje.*

Szybka kwerenda wśród znajomych literatów i cóż się okazuje? Dla nich także Łódź to *Ziemia obiecana*. Czyż to jednak nie nazbyt proste?

Drugi pomysł na literacką Łódź? Tuwim, oczywiście.

Tak pisał w wierszu zatytułowanym po prostu *Łódź*:

Niechaj potomni przestaną snuć
Domysły „w sprawie Tuwima”,
Bo sam oświadczam: mój gród – to Łódź,
To moja kolebka rodzima!

Niech sobie Ganges, Sorrento, Krym
Pod niebo inni wynoszą,
A ja Łódź wolę! Jej brud i dym
Szczęściem mi są i rozkoszą!

Tu, jako tyci od ziemi brzdąc,
Zdzierałem portki i buty,
Tu belfer, na czym świat stoi klnąc,
Krzyczał: „Ty leniu zakuty!”

Nawet mizerne wiersze me
Łódź oceniła najpierwsza,
Bo jakiś Książek drukował mnie
Po dwie kopiejki od wiersza.

Więc kocham twą „urodę złą”,
Jak matkę niedobłą – dziecię,
Kocham twych ulic szarzynę mdłą,
Najdroższe miasto na świecie!

Zaszwargotanych zaułków twych
Kurz, zaduch, błoto i gwary
Piękniejsze są mi niż stolic szych
I niż paryskie bulwary!

ZBRODNIA I (CZASEM) KARA

Literackich tropów w Łodzi jest oczywiście więcej. Z każdą chwilą łatwiej mi je odnaleźć. Przede wszystkim kryminał. Wydaje się gatunkiem stworzonym dla Łodzi!

Przyznam się, trzecią moją myślą (odruchową zupełnie) o literackiej Łodzi były *Lampiony* Katarzyny Bondy. *Jeśli chcesz pokonać swój strach, stań z nim twarzą w twarz. Zmierz się z nim.* W innym fragmencie zaś Bonda napisała:

Załuska zawsze sądziła, że Łódź jest szara. Tak zresztą zapamiętała ją z wycieczki szkolnej. Taka zdawała się jej na zdjęciach w książkach. I tak ją też pokazywano w telewizji. Może to przez wszechobecny dym wydobywający się z fabrycznych kominów, który przez całe wieki przysłaniał urodę tego miasta w czasach jego świetności.

Akcję *Niebezpiecznej gry* Joanna Opiat-Bojarska także osadziła w Łodzi. W powieści do szpitala trafia mężczyzna cierpiący na amnezję. Pamięta jedynie imię i nazwisko Aleksandry Wilk, poznańskiej psycholog. Opiat-Bojarska prowadzi czytelnika przez teraźniejszość i historię, budując most między morderstwem znanej aktorki sprzed lat a współczesnym NN.

Po czternastu dniach spędzonych na ulicy wiedziała już, że człowieka od zwierzęcia nie różni nic, poza przekonaniem, że jest lepszy... Na ulicy zamiast dziesięciu przykazań bożych obowiązywał kodeks ginącej piątki: kradnij lub zgiń, oszukuj lub zgiń, miej refleks lub zgiń, myśl tylko o sobie lub zgiń, w najgorszym wypadku zabij lub zgiń (Joanna Opiat-Bojarska, *Niebezpieczna gra*).

Czy to opis Łodzi? Naprawdę?

Mieszanie teraźniejszości z przeszłością w „łódzkim” kryminale jest bardzo częste. To historia tego miasta, tak żywa, tak skomplikowana, wciąż pulsująca nie pozwala o sobie zapomnieć. Zresztą, retro kryminał jest gatunkiem całkiem popularnym i często w Łodzi osadzonym.

Na przykład Krzysztof Beśka i jego *Trzeci brzeg Styksu*. W thrillerze wydanym w 2012 roku akcja osadzona została w końcu XIX wieku, w Łodzi, oczywiście. W czasie, gdy kominy fabryk włókienniczych zasnuwały miasto gęstą mgłą, a fortuny powstawały w okamgnieniu. Znikają dzieci i dorośli, ich śladem podążają detektywi Riepin i Racyński...

**Kiedy myślę o literaturze
w Łodzi, lub o Łodzi
w literaturze, jako pierwszy na
myśl przychodzi mi oczywiście
Władysław Stanisław Reymont.
Wiadomo:
Ja nie mam nic, ty nie
masz nic...**

Albo *Dolina popiołów*, tegoż samego autora. Kolejny retro kryminał, i znów osadzony w Łodzi. Skomplikowana historia tego miasta jest tu nie tyle tłem dla opowieści, ile właściwie jednym z jej bohaterów. Po powstaniu styczniowym dwory z okolic Łodzi zostają przekazane rosyjskim urzędnikom. W roku 1893 roku – te domostwa płoną. Detektyw Stanisław Berg musi sięgnąć do własnej historii, by zbliżyć się do rozwiązania zagadki.

A *Blondynka z miasta Łodzi* Andrzeja Kwietniewskiego? Kolejny kryminał, tym razem prowadzący nas pomiędzy latami siedemdziesiątymi dwudziestego wieku i rokiem 2003. Zamordowana zostaje blondynka. Straszne, ale jeszcze straszniejsze jest to, że historia do złudzenia przypomina tę sprzed trzydziestu lat.

Kryminałów z akcją osadzoną w Łodzi jest całkiem sporo. Wyraźnie dusza tego miasta pasuje autorom gatunku. Ale przecież miejsce akcji może być – i częstokroć jest – dobrze i efektownie opisane. A Łódź to miasto arcyciekawej architektury.

– Pan nadkomisarz popatrz – zatoczył ręką wokoło – Te wszystkie gzymsy, fitifluszki... a w środku stolarka, klamki, piece... Niczego tu normalnie, po bożemu nie zrobili, prostego ze świecą szukać. Wszystko powykrzywane jak w pijanym widzie! Od samego patrzenia we łbie ćmi. Nie daj, Panie Boże, zobaczyć takie coś na bani, bo rzyg gotowy albo inna morska choroba. No, a skoro ludziom wódkę aż tak bardzo obrzydzą, to musi być robota tych od propagandy trzeźwości!

– To się, Maciewicz, nazywa secesja.

Trudno odmówić wdzięku dialogowi autorstwa Konrada T. Lewandowskiego z kryminału *Perkalowy dybug*. To czwarty tom retro kryminału, i znów klimat powieści trafnie oddaje łódzką wielokulturowość – w śledztwie w sprawie rytualnego, kabalistycznego mordu na policjancie nadkomisarzowi Jerzemu Drwęckiemu pomagają żydowska nastolatka Bajle (która chciałby zostać... rabinem), żydowski policjant Froim Breslauer, całkiem rezolutna babcia Irena, miesza się do akcji Frau Pasztelan, u której Drwęcki mieszka, swoje trzy grosze dorzuca także rosyjski mądrała Biłyk. Dla dopełnienia obrazu pomocny jest także Julian Tuwim, w tle przewija się Ślepy Maks (o którym jeszcze wspomnimy)... a przeszkadza niedawno powiększona rodzina.

Z łódzkich kryminałów warto też wspomnieć o *Strzale na dansingu* Jerzego Edigeya. Akcja toczy się w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Na

wieczorze tanecznym słyhać strzał, a zaraz potem pada martwy Mieczysław Romski, syn bogatego notariusza. Oczywiście, rzecz dzieje się w Łodzi, a dzielny porucznik Żytnicki, który szczęśliwym trafem bawi się na tymże dansingu, natychmiast przystępuje do śledztwa. Na podstawie tej powieści nakręcono jeden z odcinków „07 zgłoś się” z jeszcze dzielniejszym porucznikiem Borewiczem.

I jeszcze Andrzej Makowiecki, *Piotrkowska 147*, kolejny retro kryminał pełen łódzkich zakamarków i nawiązań do historii. Zaangażowana komunistka, córka polskiej arystokratki i ortodoksyjnego Żyda, która została wygnana z Polski na fali antysemickich prześladowań wróciła i zadaje szyku od rana spacerując po Piotrkowskiej w koronkowych rękawiczkach. Dopiero potem dowiadujemy się, że to nie elegancja ją ku temu skłania... a zmiażdżone młotkiem palce. On zaś to przedstawiciel artystycznej bohemy, szpanujący wielkimi cygarami, przesiadujący w znanej Honoratce. Kiedyś uciekł z Polski na kradzionym paszporcie, a teraz... właśnie, co robi tu teraz?

Trudno nie wspomnieć też o popularnym młodzieżowym pisarzu, choć nie wiem doprawdy – książek przygodowych czy kryminałów dla nastolatków? W czasach, gdy książka zastępowała telewizję (naprawdę kiedyś były tylko dwa programy), na telefon (stacjonarny!) czekało się dekadę i nie było internetu (w ogóle, nie tylko przez godzinę) proza Zbigniewa Nienackiego była jak połączenie thrillera, sensacji, kryminału, powieści akcji, przygodowej i przewodnika geograficznego. Jedną ze swoich powieści, *Laseczka i tajemnica*, Zbigniew Nienacki wiąże z Łodzią. To tutaj główny bohater, Henryk, w Desie na ulicy Piotrkowskiej 113 dostrzega leżącą na perskim dywanie, sąsiadującą z chińską wazą i kilkoma szerniałymi ikonami – tytułową laseczkę. Ciemnowisniową, wysmukłą, z posrebrzaną rękojeścią w kształcie walca. I zaczynają się kłopoty... ale przy okazji spacerujemy po Łodzi i okolicach (można znaleźć nawet w Internecie mapę takiego proponowanego spaceru!), zwiedzamy także łódzkie cmentarze. No przecież! Nienacki słynął z dokładnych opisów miejsc akcji swoich powieści.

HISTORIA KOMPLETNIE BEZ CENZURY

Burzliwe dzieje historii Łodzi to apetyczny kąsek dla pisarzy. Zanim jednak ludzie pióra zabrali się za te historie, one powstawały oddolnie. Jako miejskie legendy, gloryfikujące przestępczy półświatek, potem dopiero zostały twórczo przetworzone. Tak powstała na przykład *Ballada o Ślepym Maksie* Arnolda Mostowicza. To opowieść o Maksie Borsztajnie, przedwojennym królu łódzkich Bałut. Ich mieszkańcy, żydowska biedota traktowali Borsztajna jak cudotwór-

cę, bez mała Mesjasza, który miał zaradzić wszelkim niesprawiedliwościom okrutnego świata. Mówili na niego – Al Capone. Inni: Robin Hood.

„Na Bałutach w swoim domu
Kamienicznik zwykły drań
Wdowę krzywdzi, dzieci krzywdzi,
Czy nie będzie siły nań?

Czekaj ty, Kamieniczniku,
Krótka będzie władza twa,
Idzie właśnie Ślepy Maks
I ci dobrze w dupę da!...

Wdowa już w swoim mieszkaniu,
Wszyscy w koło cieszą się,
Ślepy Maks już swoje zrobił,
Jak to zrobił – każdy wie.

Kamienicznik czołga się,
Ślepy Maks mu mordę skwaślił,
Oko podbił, zęby wybił.
Morał z pieśni: nie czynź zła!”

O Ślepym Maksie pisał nie tylko Mostowicz. Jeszcze przed wojną pojawiało się wiele prasowych artykułów na jego temat. *Tajemnice Bałut. Napad rabunkowy czy zemsta osobista* (1931), *Niesamowite przygody Ślepego Maksa. Łódzki Rinaldo-Rinaldini...* (1936), *Zbrodnia Ślepego Maksa herszta szajki złodziejskiej Dardanele i prezesa stowarzyszenia Dusicieli* (1929), *Proszę o rehabilitację i uniewinnienie* (1936), *Sensacje na procesie Ślepego Maksa* (1935), *Ślepy Maks – Anioł Pokoju* (1935), *Ślepy Maks – król podziemi Łodzi* (1935), *Zza kulis roboty Ślepego Maksa w Łodzi* (1936), *Skąd się wzięła*

Kryminałów z akcją osadzoną w Łodzi jest całkiem sporo. Wyraźnie dusza tego miasta pasuje autorom gatunku.

przyjaźń inspektora policji z hersztem bandy (1936)¹. A i po wojnie jego osoba pojawiała się w literackich opisach, na przykład w *Szczurach ze złego miasta* Jacka Indelaka (1990) czy publikacji Adama Ochockiego (2004) *Reporter przed konfesonalem, czyli jak się w Łodzi przed wojną robiło gazetę*.

Kim był Menachem Bornsztajn? Nazwijmy to po imieniu – przestępcą. Na cmentarzu żydowskim przy ulicy Brackiej zachował się pomnik nagrobny w miejscu, gdzie został pochowany. Był – z całą pewnością – łakomym kąskiem dla UB. Czy się skusił na współpracę? Tego nie wiemy, podobnie jak nie znamy wielu innych szczegółów z jego życia. Z tego powodu jest postacią tajemniczą, a tajemnice... się sprzedają.

Choć Ślepy Maks jest już dzisiaj postacią odrobinę zapomnianą, czyż nie stworzył fantastycznego podłoża dla ludzkiej wyobraźni? Czy nie dlatego Łódź jest wdzięcznym miejscem do osadzania kryminalnych intryg?

Poza tym same Bałuty są miejscem niezwykle inspirującym. *Bałuty. Powieść o przedmieściu* Isroela Rabona, uważanego za jednego z najlepszych przedwojennych pisarzy żydowskich to zaledwie pierwsza część, Rabon nie zdążył napisać drugiej, zginął w 1941 roku w Ponarach. Jednak to, co zdołał napisać, pozostaje jednym z najlepszych portretów bałuckiej, żydowskiej biedoty.

Dzieje żydowskich mieszkańców Łodzi były zresztą wielokrotnie opisywane. Choć *Drzewo życia* Chavy Rosenfarb wydano w 1972 roku, akcja toczy się w 1939 roku i oparta jest na faktach. Znowu mamy żydowską społeczność na początku II wojny światowej. Znowu słyszymy tę lekko kanciastą mowę i śledzimy nieistniejące już obyczaje. Powstałe potem *Bociany* i *Między miasteczkiem a Łodzią* są swoistym prequelem losów bohaterów *Drzewa życia*. Rosenfarb odmalowuje tam Łódź, której już nie ma, miesza kulturę jidysz z polskością, pokazuje tradycje, które zaginęły, nadaje im nowy kontekst. Uczciwość, lojalność, oszustwo, religia, polityka, obyczaje. Na kartach tej książki czas jakby się zatrzymał... Ale przecież się nie zatrzymał.

Wojna to czas okrucieństwa, którego nie sposób sobie wyobrazić. Ludzkich zachowań, które przekraczały wszelkie granice dobra i zła tak jak czasy, w których przyszło wtedy ludziom żyć. Jak wszelkie ekstrema – to znakomita pożywka dla literatury. Nie można, niestety – choć chciałoby się wykreślić je w ogóle z historii – pominąć getta. I trudno, by opowieści o Mordechaju Chaimie Rumkowskim nie elektryzowały ludzkiej wyobraźni. Zdrajca czy marzyciel? Utopijnie wierzący w dobro ponad wszystko czy bezwzględnie wykorzystujący

1 Za: Artur Kubus, Bartłomiej Łuć, Monika Minkowska, Monika Wawrzyniak, Aleksandra Wychowaniec, *Legenda Ślepego Maksa* jako podstawa opracowania nowego produktu turystycznego Łodzi.

sytuację dla swoich niskich celów? *Fabryka muchołapek* Andrzeja Barta została nominowana do nagrody NIKE, bo to książka niezwykle nie tylko w temacie, ale także w swojej literackiej formie. To wędrówka po Łodzi zarówno historyczna jak i współczesna.

Postać kontrowersyjnego Rumkowskiego to po prostu fascynujący temat. Nie tylko dla Polaków. *Biedni ludzie z miasta Łodzi* Steve'a Sem-Sandberga opisuje postać Chaima Mordechaja Rumkowskiego jako władcy łódzkiego getta. Miał to być pan życia i śmierci, pedofil, kolaborant, zdrajca. Do legendy urosł fakt, że salonką zabrano go do Auschwitz, gdzie został żywcem spalony w piecu krematoryjnym. Przez swoich braci, Żydów.

Kultura żydowska już kilkakrotnie była tu wspominana, trudno się dziwić, że literatura łódzka wciąż do niej nawiązuje. Przed wojną ta społeczność stanowiła tam trzydzieści pięć procent ludności! Jej brak wciąż jest wyrwą w tkanice miasta, a ślady judaistycznej kultury wciąż są obecne. W *Złej krwi* Grzegorza Gortata Łódź lat sześćdziesiątych XX wieku przeplata się z przedwojennymi Bałutami, przepelnionymi czosnkiem, czarnymi chałatami i jęklivymi zaśpiewami, a wszystko to zmieszane jest z warszawską ulicą Tłomackie i kulturą z pogranicza najwyższych, noblowskich szczybli.

Niemiecki to cywilizowany język, można w nim wyrazić najsubtelniejsze myśli. – mówi Gortat. I może ma rację? A może jeszcze piękniej jest, gdy mieszają się różne języki? Gdy wspólnie tworzą niewyobrażalne bogactwo? Utracone niestety...

Historia Łodzi poruszana jest nie tylko w polskiej literaturze. *Rozdarta kurtyna* Jima Powella udowadnia, że owo miasto jest interesujące także dla innych nacji. To opowieść o Feliksie Żukowskim, urodzonym w Łodzi, ale mieszkającym we Francji. Mężczyzna dojrzewa do myśli, że jego matka wcale się go nie pozbyła... raczej uratowała, wysyłając na zachód podczas wojny. Rodzinne komplikacje, spotkanie (po pięćdziesięciu latach!) z bratem, odnajdywanie ukochanej... kwintesencja łódzkich komplikacji w angielskim wydaniu.

I czyż nie było innych, kryminalnych, sensacyjnych i romansowych oblicz Łodzi w literaturze przed drugą wojną? Ależ były, oczywiście! *Szczury ze złego miasta* Jacka Indelaka są właśnie o nich; snują opartą na historycznych źródłach opowieść o łódzkim, przedwojennym marginesie społecznym. To fascynujące historie!

MIEJSCE DLA DZIECI?

I naprawdę nie ma Łodzi delikatnej, subtelnej, romantycznie zamglonej? A Honorata Chróścielewska, urodzona w Łodzi autorka wielu powieści dla dzieci? Może ona poprowadzi nas przez świat pełen kolorów i beztroski?

Lekcji więcej nie będzie to opowieść o codzienności łódzkiej młodzieży w czasie okupacji. Dzieciństwo to więc jest naznaczone wojennym piętnem, promienne raczej nie jest. Chróścielewska pisała wiele radosnych prac (publikowanych chociażby na łamach *Świerszczyka*), większość jednak nie należy do łódzkich opowieści. A *Córka tego, co tramwaje jego* też odwołuje się do Bałut, nie najjaśniejszej odsłony łódzkiej twarzy... Okazuje się, że radosne oblicze Łodzi ciężko odnaleźć.

Młodzieżowej literatury powiązanej z tym miastem można odnaleźć więcej – na przykład *Czerwone węże* Heleny Boguszewskiej. Dość naiwna opowieść o dwóch rodzinach. Dziewczynka ze Śląska przyjeżdża na wakacje do przeżywającej rozkwit fabrycznej Łodzi. Czy taka literatura przetrwała upływ czasu, czy obrobiła się? Nie tutaj to rozstrzygać. Różnice kulturowe z całą pewnością dobrze zaakcentowała.

A jak już jesteśmy przy dzieciach i wojnie to przychodzi mi jeszcze na myśl *Bezszenność Jutki* Doroty Combrzyńskiej-Nogali. Rodzice Jutki zniknęli. Z dziadkiem Dawidem i ciocią Esterą dziewczynka usiłuje zrozumieć codzienność w łódzkim getcie.

***Wojna to czas okrucieństwa,
którego nie sposób sobie
wyobrazić. Ludzkich zachowań,
które przekraczały wszelkie
granice dobra i zła tak jak czasy,
w których przyszło wtedy ludziom
żyć. Jak wszelkie ekstrema – to
znakomita pożywka dla literatury.
Nie można, niestety – choć
chciałoby się wykreślić je
w ogóle z historii – pominąć
getta.***

CO KRAJ, TO OBYCZAJ

A literatura obyczajowa – nic nam o Łodzi nie powie?

W *Daleko od szosy* Henryka Czarneckiego główny bohater, Leszek Górecki, po wielu perturbacjach przyjeżdża do Łodzi. Chce zostać kierowcą, co dla jego osadzonej na wsi rodziny jest ekstrawagancją. Zakochuje się z wzajemnością, żeni wbrew woli rodziców narzeczonej. Wszystko się jednak dobrze kończy, choć przecież w życiu nie zawsze tak bywa.

Ludzie zawsze rozczulają się nad książkowymi nieśczęściami daleko łatwiej niż nad rzeczywistymi napisała Waleria Marrene-Morzkowska w książce *Wśród kłólu*. Trudno odmówić jej racji... W powieści, która jest ni to romansem, ni obyczajem, ni też powieścią drogi Morzkowska układa bohaterów w pociągu, mieszając ich języki i ich samych. Dosyć naiwnie, a może wcale nie? – gdy tylko będziemy pamiętać, że powieść ta została wydana w roku 1890! I już wtedy

Łódź jawiła się jako cel podróży, miejsc dążeń. Nikt w tej powieści niejechał dalej, każdy zmierzał do Łodzi.

Całkiem współcześnie wypowiada się o Łodzi i jej okolicach Magdalena Witkiewicz w powieści *Czereśnie zawsze muszą być dwie*, chociaż i w tej książce wiele jest historycznych odniesień. To jeszcze jeden dowód na to, że w Łodzi nie możemy oderwać się od historii, ona cały czas wokół pulsuje. Z lektury dowiemy się, że faktycznie, czereśniowe drzewa muszą być parzyste... No i udamy się w podróż po łódzkich okolicach, na przykład Rudzie Pabianickiej.

Całkiem obyczajowo wypowiada się także mężczyzna, Waldemar Wolański w powieści *Księżycowi ludzie*.

No i reportaż – czyż Łódź i jej historia to nie jest znakomity temat? Pozornie wszystko już wiemy, pozornie sprawy są oklepane i wyeksploatowane. Nudne już. Czy na pewno?

Którejś nocy pewien mężczyzna zauważa spacerującą po dachu sąsiedniej kamienicy kobietę. Szybko, znacznie szybciej niż byłoby to możliwe w rzeczywistości, łądają w łóżku (w celach całkowicie rozkosznych i niemoralnych oczywiście). Następnego dnia nie ma śladu po kobiecie. Przypadkowa znajomość okazuje się niebezpieczna... Powieść dyrektora łódzkiego Teatru Lalek „Arlekin” jest mieszanką gatunków sensacji, kryminału, obyczaj i romansu. Pełno w niej zbrodni, pogoni i międzynarodowych spisków, a wszystko to na tle nieokreślonej miłości. Tłem pozostaje Łódź, odrobinę wymyślona, cóż to jednak znaczy... w literaturze? Przecież w powieści wszystko da się wymyślić.

KIEDYŚ CZY DZIŚ?

Właściwie pisząc o literaturze w Łodzi nie bardzo da się oddzielić to, co historyczne, od tego, co współczesne. W większości książek arcyciekawa, skomplikowana historia miasta ściśle przeplata się z aktualnością. Na przykład powstanie sztandarowego „pomnika”, jakim jest Manufaktura. Nie da się zapomnieć tak o dziejach tego miejsca, jak i jemu podobnych, związanych z gwałtownym rozwojem dziewiętnastowiecznej, fabrycznej Łodzi.

Wielkie fortuny łódzkich fabrykantów od zawsze wzbudzały nie tylko zainteresowanie, ale także – i to najsilniejsze! – emocje. W literaturze także. *Widzewski królik* i *Recepta na miliony* to dwie książki zgłębiające fenomen Oskara Kona, jednego z największych łódzkich fabrykantów przełomu XIX i XX wieku. Bolesław Lesman dwadzieścia lat pracował nad *Receptą*, a wyprzedził go *Królikiem* Andrzej Iżerski. Wyprzedził? Różnie o tym mówią... Padają słowa mocniejsze, dosadniejsze, obrażające pisarską rzetelność, poparte nawet procesem sądowym. Fortuny wzbudzają namietności, nawet jeśli są już przebrzmiałe, jak wiadać.

I rozpalają wyobraźnię ciągle, bo nad Łodzią chyba wisi stygmat miasta wielkich karier, gwałtownie rozwijających się fortun, dymu fabryk, nędzy robotników, bezczelności nowobogackich, tragedii rynsztoków. Czyli wciąż *Ziemia Obiecana*. W *Pozie* Tomasza Łuczaka, niewielkiej objętościowo powieści autor odwołuje się do tamtej tradycji burzliwych karier, jakże jednak inni są jego bohaterowie! Chcieliby nieść łodzianom szczęście, a wychodzi... nie do końca idealnie.

No i reportaż – czy Łódź i jej historia to nie jest znakomity temat? Pozornie wszystko już wiemy, pozornie sprawy są oklepane i wyeksploatowane. Nudne już. Czy na pewno?

Pisarze mają pewien niezwykle talent – ważniejszy nawet od umiejętności samego pisania, którą przecież można rozwijać. Pisarze potrafią znajdować tematy tam, gdzie (już?) pozornie ich nie ma.

I z takiego pomysłu powstała *Łódzka fabryka marzeń. Od afery do sukcesu* Michała Matysa. Reportaż, a jakby powieść sensacyjna. Trzej bohaterowie – bażecznie bogaty właściciel fabryki Izrael Poznański, prosty robotnik Jerzy Dłużniewski i likwidator zakładów „Poltex” Mieczysław Michalski. Ściśle połączeni, choć nie mieli szansy się spotkać. Co ich zatem scala? Miejsce, oczywiście.

Dzisiejsza Manufaktura, wbrew temu co czasem sądzi młodzież, nie powstała piętnaście lat temu. W 1871 roku Izrael Poznański wybudował fabrykę włókienniczą, jedno z najbardziej charakterystycznych, a może i nawet charyzmatycznych miejsc (o ile budynki mogą mieć duszę, oczywiście) Łodzi. Ponad sto lat później Dłużniewski, znany solidarnościowy przywódca, poprowadził włóknienki do strajku, a kolejne dwadzieścia lat później Michalski najpierw zlikwidował formalnie zakład, a potem stworzył coś zupełnie innego, nową jakość. Trudno o tym nie pisać, wątki same pchają się do pisarskich rąk, niemniej... To przecież nie wszystko.

Czy to jakieś fatum padło na Manufakturę? Rodzina Poznańskich splajtowała, strajkujące włóknienki zwolniono, a Michalskiego oskarżono o przekręty, pranie pieniędzy, miał smutne wizyty panów z ABW. Może to i fatum... Ale Manufaktura, czyli centrum kulturalno-handlowo-rozrywkowe zostało wyróżnione w prestiżowym konkursie nagrodą Global Award 2007.

O tym samym temacie traktuje *Manufaktura czasu* Magdaleny Starzyckiej, jednak z innej perspektywy. Obejmuje czas od początku XX wieku do końca lat sześćdziesiątych, ale z punktu widzenia, którego nie znajdziemy w podręcznikach historii. Przemiany historyczne obserwujemy z perspektywy jednej rodziny, która radzi sobie z codziennością, jak potrafi... A nie ze wszystkim potrafi.

URODA MIEJSCA, URODA SŁÓW

A literatura piękna? Nie ma nic do powiedzenia na temat Łodzi?

A pewnie, że ma. Zaczniemy od pozycji nie najświeższej, z pogranicza baśni i legend, choć osadzonej w realiach środowiska robotniczego. Leon Gomolicki w *Wieczorach nad łódką* skupił się na zgłębianiu ludzkiej natury, a ta wiadomo – jest nie do zgłębiania).

Podobnie jak w *Pan Bóg nie słyszy głuchych* Aleksandra Jurewicza. I znów mieszają nam się czasy. Rok 1962, dziesięcioletni Alik przyjeżdża do Łodzi, do dziadka. Na wakacje. Starszy pan nosi w sobie złość, bo głuchego na jedno ucho,

po repatriacji z Białorusi ulokowano na... ulicy Głuchej. Cała książka to opis ludzi, ich emocji, odnajdywania się w obcym świecie, prób znajdowania równowagi... przekaz delikatny i mocny jednocześnie, jak tylko w literaturze może się pojawić.

A poezja? Nie ma Łodzi w poezji?

Ależ skądże! Jest i to z przytupem.

Płynie ch... po wodzie
woda go nie chwyta
Nie ten ch..., co pisze
Tylko ten, co czyta.
Płynie ch... po wodzie
Woda go kołysze
Nie ten ch..., co czyta
Tylko ten, co pisze².

Przyznajcie, w tym literackim wywodzie trochę Was już uśpiło wymienianie kolejnych gatunków i żonglowanie tytułami. Odrobina orzeźwienia się przyda). Nieparlamentarne słowa w tomiku *Jarzmo* zapisał Przemysław Owczarek, choć potrafił być także całkiem poprawny. Chociażby w *Baśniach Eliany*, dedykowanych „rodzinie i Łodzi”, gdzie tytułowa postać nosi imię – anagram od imienia córki poety, Anieli. Choć w naszych rozmowach najważniejszy chyba jest tomik *Miasto do zjedzenia*, całkowicie oddany Łodzi. Gloryfikujący ją. Poeta wykozystuje melancholię rodzinnego miasta, jego trudną historię, czterokulturową tradycję. Wyśmiewa Łódź i równocześnie stawia ją na piedestale.

Przy tej okazji jeszcze jedna powieść wpadła mi do głowy – choć to nie poezja, a raczej erotyk (ale pasuje do cytowanego

**Czym zatem jest to miasto?
Jakie jest? Czy wystarczy
przejsć po jego ulicach,
zajrzeć w obskurne bramy,
prześlizgnąć się wzrokiem po
odremontowanych pałacach?
Czy trzeba tam spędzić
tydzień? Dwa? Miesiąc?
Życie?**

2 „Jarzmo”, Przemysław Owczarek

wierszyka, prawda?). *Zobowiązana* Patrycji Strzałkowskiej to erotyk mocny, kryminalny, z dużą dozą przemocy. Miasto jest tam zaledwie w tle, daleko, na marginesie, ale – istnieje. Przy okazji tej książki uświadomiłam sobie, że w tym gatunku trudno znaleźć coś o Łodzi. Może dusza tego miasta nie lubi świntuszyć?

Wracając jednak do poezji – by uzupełnić łódzki wizerunek należy koniecznie wspomnieć o Janie Sztaudyngerze, który – choć krakowianin z urodzenia – przez lata związany był z Łodzią. Swoim celnym piórem tak kwitował to miasto:

*Co zawdzięczamy Łodzi
Nie byłbyś, bracie odzian,
Gdyby nie praca Łodzian.*

*Łódzka rada
Chcesz wykręcić się dziewczynie
Umów się z nią przy kominie.*

A propos kominów zatem... to znaczy architektury. A właściwie czegoś zupełnie innego. Przecież urodę miasta można dostrzec nie tylko w budynkach.

*Łodzianki są diabelnie piękne i jak wysypią się na deptak wiosną, można zwa-
riować. Mają piękne pupy, piękne cyce, piękne nogi i twarze, i buzują z nich hormo-
ny. Działają na chłopaków i mężczyzn bardziej niż jakikolwiek striptiz czy pornol-
ny.* – pisał Andrzej Makowiecki w *Ja, Urbanator. Awantury muzyka jazzowego*.

No przecież! Literatura literaturą, a Łódź to także miasto jazzu i filmu. Ale o tym – nie tym razem. Bo to jest już inny temat, choć przecież cały czas – dotyczy Łodzi.

Czym zatem jest to miasto? Jakie jest? Czy wystarczy przejść po jego ulicach, zajrzeć w obskurne bramy, prześlizgnąć się wzrokiem po odremontowanych pałacach? Czy trzeba tam spędzić tydzień? Dwa? Miesiąc? Życie?

A czy wtedy – tak naprawdę – poznamy duszę tego miasta?

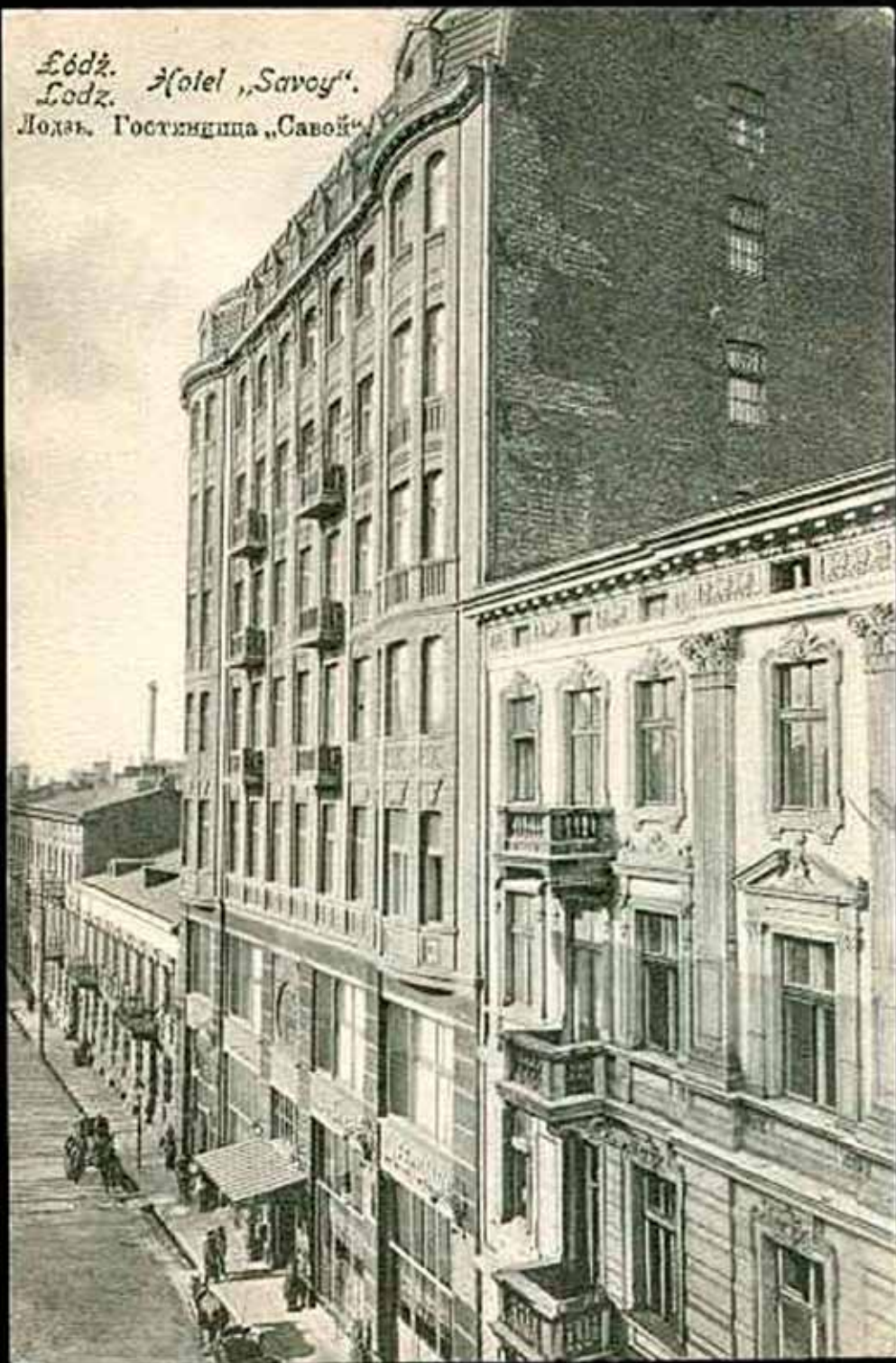
Być może ten – całkowicie subiektywny i niewyczerpujący temat – wybór około łódzkich literackich perełek będzie w tym pomocny.

Składam serdeczne podziękowania Melanii Grygoruk za życzliwe wsparcie przy pisaniu tekstu. Choć jesteś przewodnikiem po Podlasiu, jesteś też zakochana w Łodzi. Twoja wiedza i otwartość w dzieleniu się winny być wzorem – człowieka i przewodnika, krzewiciela kultury. Dziękuję!

SIEDEM PIĘTER „HOTELU SAVOY”

Arkadiusz Grzegorzczuk

Łódź. Hotel „Savoy”.
Łódź.
Лодзь. Гостиница „Савой”.



Łódź w swoim rozbuchanym rozwoju przemysłowym nie miała może – co zrozumiałe – zacięcia do wysokiej kultury czy nauki, filozoficznych debat, intelektualnych elit, ale miała za to literacki fart. Przyciągała swoim niepowtarzalnym klimatem, inspirowała, zaciekawiała, a efektem jest wielkoraki portret miasta w najlepszym i to międzynarodowym wydaniu. Dość powiedzieć, że noblista Władysław Reymont stworzył wielką epopeję i nakreślił Łódź z jej bogatym kolorytem, a „Ziemia obiecana” staje się egzemplifikacją genius loci.

Ów duch unosi się również z kart powieści „Bracia Aszkenazy” pióra Izraela Joszuy Singera, uznanego w świecie pisarza w języku jidysz i zarazem brata innego noblisty – Isaaca Bashevisa Singera. Do tego zacnego grona dopiszmy jeszcze koniecznie jednego z najwybitniejszych pisarzy austriackich – Józefa Rotha, autora powieści „Hotel Savoy”, której akcja rozgrywa się w Łodzi, choć ani razu nie pada tam nazwa miasta.

Bezspornie wiadomo, że to Łódź i wcale nie chodzi jedynie o tytułowy hotel z siedmioma piętrami, stojący niedaleko dworca, bo cała opowieść jest na wskroś łódzka i zbudowana została – używając terminu architektonicznego – na kilku kondygnacjach, wspartych na wielu różnych poziomach interpretacyjnych.

I PIĘTRO – BAŚNIOWY HOTEL

Łódzki hotel „Savoy” wzniesiony w 1909 roku przez wiedeńskiego finansistę Salomona Ringera według projektu Stefana Lemmene w centrum miasta, był ze swoimi siedmioma piętrami najwyższym budynkiem w mieście (tak było do połowy XX wieku, kiedy przebił go gmach Centrali Tekstylnej przy ulicy Narutowicza) i jednocześnie symbolem rozwijającego się w niezwykłym tempie, bogatego przemysłowego miasta. I choć Tuwim pisał w jednym z wierszy: „I ten sterczący głupio Savoy”, na owe czasy był to obiekt wyjątkowo luksusowy, z technicznymi nowikami i udogodnieniami – łazienkami, kanalizacją, systemem przywoływania służby, windą z liftboyem, salonem fryzjerskim, restauracją i kabaretem. Przebudowany w latach 60. ubiegłego stulecia nie zachował zbyt wielu elementów z początku wieku, choć pozostały ślady świetności tego obiektu z wyraźną nutą secesji, który chciał równać się z najlepszymi hotelami Berlina, Londynu czy Paryża. Tę europejskość zauważa już na samym początku bohater powieści Gabriel Dan:

***Łódź przyciągała swoim
niepowtarzalnym klimatem,
inspirowała, zaciekawiała,
a efektem jest wielkoraki
portret miasta w najlepszym
i to międzynarodowym
wydaniu.***

„Zajechałem o godzinie dziesiątej przed południem do hotelu „Savoy”. Postanowiłem wypocząć parę dni lub z tydzień. Mam krewnych w tym mieście – rodzice moi byli rosyjskimi Żydami. Chciałbym dostać pieniędzy, ażeby móc kontynuować podróż na Zachód. Wracam z trzyletniej niewoli. Żyłem w sybirskim obozie, wędrowałem przez wsie i miasta. Mam na sobie rosyjską bluzę, którą ktoś mi podarował, przykrótkie spodnie odziedziczone po zmarłym towarzyszku i zdadne jeszcze do użytku buty, których pochodzenia już sobie nie przypominam. Po raz pierwszy od pięciu lat stoję znów przed bramą Europy.

Hotel „Savoy” z jego siedmioma piętrami, żółtym herbem i portierem w liberii wydaje mi się bardziej europejski niż wszystkie inne gospody na Wschodzie. Obiecuje wodę, mydło, kanalizację, windę, pokojówki w białych czepeczkach, elektryczne lampy, przenikliwe dzwonki oraz łóżka zasłane piernatami, pulchne i radośnie gotowe na przyjęcie ciała”.

II PIĘTRO – ROTH ZNANY I NIEZNANY

Powieść Rotha, jej bohater i on sam pełnią zatem rolę przewodnika po tamtym świecie sprzed stulecia z potężnym wówczas hotelem „Savoy” w Łodzi, który jawi się jako brama Europy. Brzmi dumnie, ale skąd autor m.in. znanej powieści „Marsz Radetzky’ego”, zaliczany jest do panteonu europejskiej literatury XX wieku, zaczerpnął owe łódzkie realia?



FOT. D. CERAN

Józef Roth to austriacki pisarz urodzony w 2 IX 1984 r. w galicyjskich Brodach na Kresach, studiował filozofię i germanistykę we Lwowie i w Wiedniu. Jako ochotnik uczestniczył w I wojnie światowej i po powrocie z niewoli zajmował się publicystyką w Wiedniu, Berlinie, Frankfurtu będąc korespondentem tamtejszych gazet. Autor wspomnianej wcześniej kultowej powieści, a także „Krypty kapucynów”, „Hioba”, czy „Historii tysiąca i dwóch nocy” emocjonalnie związany był z upadkiem monarchii austro-węgierskiej i tęsknotą za jej złotymi czasami. Jako przeciwnik faszyzmu musiał się schronić we Francji, gdzie zmarł w biedzie w paryskim hotelu 27 maja 1939 roku, a borykał się z nałogiem alkoholowym, wywołanym chorobą psychiczną żony. Pisał po niemiecku, ale znał dobrze język polski i przyjaźnił się np. z Józefem Wittlinem, kolegą z czasów studiów. Jako reporter bywał w Polsce i zapewne w Łodzi kilkakrotnie. Trzeba zaznaczyć, że „Hotel Savoy” to pierwsza powieść Józefa Rotha, wydana drukiem w 1924 roku, a ponadto jedyna, której akcja toczy się na obecnych terenach Polski, więc łódzki hotel jest w naszym kraju jedynym miejscem związanym z postacią wybitnego austriackiego pisarza, który sam uznawał ten utwór za najlepszy w swojej karierze.

III PIĘTRO – OPOWIEŚĆ O MIEŚCIE

Przez pryzmat „Hotelu Savoy” widać dawną Łódź okiem przyjezdnego tułacza w jej złożonym społecznym przekroju, czuć smak bogactwa miasta, ale widać również jego biedę, meandry stosunków kupieckich, żądzę pieniądza, filozofii geszeftów w tyglu kultur i jarmarku próżności w rewolucyjnym mieście, które – jak pisał sam autor – jest niezwykle...

Tak jak Roth w swojej twórczości naznaczony jest piętnem pożegnania ze światem C.K. monarchii habsburskiej, tak w tym wypadku – patrząc z historycznego dystansu – jest to we współczesnej recepcji pożegnanie ze starą Łodzią, jej przepychem i nędzą, z jej wielonarodowym chaosem oraz światem łódzkich wielkich i małych interesów, a także walką o przetrwanie w krwiożerczym świecie. Łatwo poznać w niektórych fragmentach bystrość obserwacji i dziennikarskie pióro Rotha, choć zapis łatwo przechodzi od realizmu do konwencji onirycznej, a momentami niemal ekspresjonistycznej. Można by dziś odczytać tę opowieść, której bohaterem zbiorowym jest miasto, także jako sentymentalną – co nie znaczy zawsze przyjemną – podróż w przeszłość, do uniwersum, którego już nie ma – do społeczności łódzkich Żydów, Niemców, Rosjan i przedstawicieli innych nacji, do świata fabrykantów i proletariuszy, milionerów i ro-

botniczej biedy. „Hotel Savoy” jest symbolem i parabolą tamtej Łodzi i dawnego porządku, do którego trzeba powracać, by sięgać do korzeni miasta. To przecież nasze tradycje i dziedzictwo, które drzemie od 150 lat w genach przemysłowego molocha.

„Posterunkowy mówił po niemiecku, wielu mówi tu po niemiecku, niemieccy fabrykanci, inżynierowie i kupcy opanowali życie towarzyskie, handel i przemysł tego miasta”. – to jedno z pierwszych spostrzeżeń Gabriela Dana.

IV PIĘTRO – ŁÓDZKI LABIRYNT

Tych labiryntów jest w powieści kilka. Pierwszy i najważniejszy tworzy sam ogromny hotel z ponumerowanymi pokojami i piętrami wyznaczającymi społeczny status jego mieszkańców. W tym formalnym porządku kłębią się jednak rozmaite ludzkie historie, namiętności i frustracje.

„W tej chwili zdawało mi się, jak gdyby śmierć przybrała postać starego chłopca od windy i jak gdyby stała tu i czekała na duszę. Hotel „Savoy” był jak świat, na zewnątrz promieniał potężnym światłem, z siedmiu pięter tryskał przepych, ale wewnątrz mieszkała nędza w pobliżu bogactwa, to, co mieszkało na górze, leżało na dole, pogrzebane w przestronnych grobach. (...) Zorientowałem się, że na trzech najwyższych piętrach hotelu „Savoy” w ogóle nie istniały nazwiska. Wszystkich nazywano numerami ich pokoiów”

***Łódzki hotel „Savoy”
wzniesiony w 1909 roku
przez wiedeńskiego finansistę
Salomona Ringera według
projektu Stefana Lemmene
w centrum miasta, był ze swoimi
siedmioma piętrami najwyższym
budynkiem w i jednocześnie
symbolem rozwijającego
się w niezwykłym tempie,
bogatego przemysłowego
miasta.***



– rozważa okaleczony przez wojnę Gabriel, który mieszka na VI piętrze, a wyżej na VII poziomie toczy się egzystencja równie zbolących parweniuszy, gdzie panuje duchota, zapach mydlin z pralni i strach przed jutrem.

Drugi labirynt tworzy wielkie fabryczne miasto pełne kontrastów – przepychu pałaców i czeluści zatęchłych chałup, ekskluzywnych kawiarni i sklepów, biednych, brudnych podwórek, kryształowych żyrandoli i zapadłych, ciemnych okien zaklejonych gazetami. Gdy bohater wędruje ulicami miasta, łatwo rozpoznać łódzki pejzaż z jego zgiełkiem, dynamiką, lasem kominów, murami ogromnych fabryk, wielowyznaniowym cmentarzem i generalnie dziwnie uporządkowanym chaosem.

V PIĘTRO – GABINET FIGUR

Roth zręcznie prowadzi nas również przez panopticum ludzkich dusz, także łódzkich charakterów, dziwacznych postaci niczym z sennej mary, groteskowych i tragicznych zarazem, za którymi kryją się indywidualne historie życia. W hotelu występuje mieszanek wielonarodowa, niczym w wieży Babel, postaci ze Wschodu i Zachodu, artystów i dziwaków oraz wykwinnych gości „Savoyu”. To coś na kształt społecznego „Titanica”, tyle że bogaci są umieszczani w parowcu na górnych pokładach, a biedni na dole.

Na VII piętrze mieszkają nowi znajomi Dana, m.in. rosyjski kłown Sanczin z rodziną oraz osłem Augustem, Hirsz Fish, który śni numery na loterię, rumuński magnetyzer, tancerka Stasia, a nad wszystkim czuwa w hotelu milczący stary liftboy Ignacy oraz nieobecny, ale groźny poprzez swoje zarządzenia właściciel hotelu o greckim nazwisku Kaleguropulos. Gości obsługuje także fryzjer, który nazywa się Krzysztof Kolumb. Ci ludzie tworzą zamknięty świat, złożony raczej ze wspomnień, niż planów na przyszłość. Światy równolegle istnieją zarówno w „Savoyu”, jak również poza nim i mają podobną stratyfikację. Wpadają tu z zewnątrz do Dana, m.in. waluciarz i spekulant Abel Glanz, rewolucjonista Zwonimir, a bogaci fabrykanci zabawiają się w hotelowej restauracji.

VI PIĘTRO – GESZEFTY I SENTYMENTY

Oprócz cwane go geszefciarza Glanza świat lodzermenschów reprezentują fabrykanci: Neuner, Mailblum i Kanner, ale przede wszystkim zamożny przedsiębiorca Febus Böhlau, wuj Gabriela Dana, od którego siostrzeniec chciał pożyczyć pieniądze na dalszą podróż. To iście łódzka rozmowa:

„Hotel Savoy” jest symbolem i parabolą tamtej Łodzi i dawnego porządku, do którego trzeba powracać, by sięgać do korzeni miasta. To przecież nasze tradycje i dziedzictwo, które drzemie od 150 lat w genach przemysłowego molocha.

„– Potrzebuję pieniędzy.

– Pieniądzy to ja także potrzebuję. Wszyscy potrzebujemy pieniędzy – śmieje się Febus.

– Ale ty je pewnie masz.

– Ja mam? Skąd ty wiesz, że mam? (...) Żaden z nas nie ma dobrego życia.

Pracuje się i haruje przez całe życie, a potem idzie się do grobu. (...)

– To nie jest hańba mieć pieniądze, ojciec – dodaje jego syn Aleksander, miejscowy birbant i hulaka, stały bywalec „Savoyu”, a Gabriel opuszcza dom bogatych krewnych w podarowanym, jedynie lekko znośnym garniturze, a Abel Glanz komentuje:

– Febus jest bogatym człowiekiem o małym sercu. Ludzie nie mają złego serca, lecz za małe”.

Tymczasem wszyscy mówili już tylko o przyjeździe miliardera z Ameryki, syna tego miasta, który wszystko może. Czekano więc na Henry Bloomfielda nie tylko w hotelu „Savoy”. Całe miasto wstrzymywało się ze sprzedażą dewiz, nie robiono interesów. Nawet w kuchni dla biednych mówiono o nim, bo gdy przyjedzie uczyni zadość wszystkim żądaniom, które znały tyle, ile wydawał na cygara. I od razu ustawiła się kolejka chętnych z pomysłami np. na budowę fabryki zabawek, uruchomienie kina i inne inwestycje. Gabriel zatrudniony został jako jego sekretarz i poznał tajemnicę krezusa, który powracał do rodzinnego miasta nie w interesach, ale na grób swojego ojca na żydowskim cmentarzu, by mu podziękować za miliardy, za

swoje zdolności, za życie, za wszystko, co odziedziczył. Henry rozdawał wtedy banknoty żebrakom, aby wykupić swoją duszę od grzechu złota. Poza tym był to symboliczny powrót do ojczyzny, bo ona tam, gdzie groby nasze...

VII PIĘTRO – ISKRA REWOLUCJI

Tak jak umarła monarchia austro-węgierska, co było ciosem dla Józefa Rotha, tak duch wojny i rewolucji zdominował pierwsze dekady XX wieku. Pomruki I wojny światowej słychać jeszcze w powieści, a w mieście odczuwa się rewolucyjne nastroje. Konflikt klas, porządek świata domaga się korekty ze strony niezadowolonych i sponiewieranych. Marszerują po brukach robotnicze masy, w ruch idą kamienie, policja i wojsko zagradza im drogę. Iskra tworzy pożar, który ogarnia ulice, płonie również hotel „Savoy” i dawny ład. Gabriel Dan i Zwonimir za pieniądze Bloomfielda ruszają pociągiem w dalszą drogę, a Roth konstatuje:

„A jednak chciałbym mieć więcej czasu, tydzień, dwa tygodnie albo miesiąc. Takie miasto byłbym nawet chętnie wybrał na dłuższy pobyt wakacyjny - to było dość zabawne miasto, mieszkało w nim wiele dziwnych ludzi, czegoś podobnego nie spotyka się w świecie. Był tu ów hotel „Savoy” – wspaniały hotel z portierami w liberii, ze złotymi sztyldami, z windą i czystymi pokojówkami

Roth zręcznie prowadzi nas również przez panopticum ludzkich dusz, także łódzkich charakterów, dziwacznych postaci niczym z sennej mary, groteskowych i tragicznych zarazem, za którymi kryją się indywidualne historie życia.

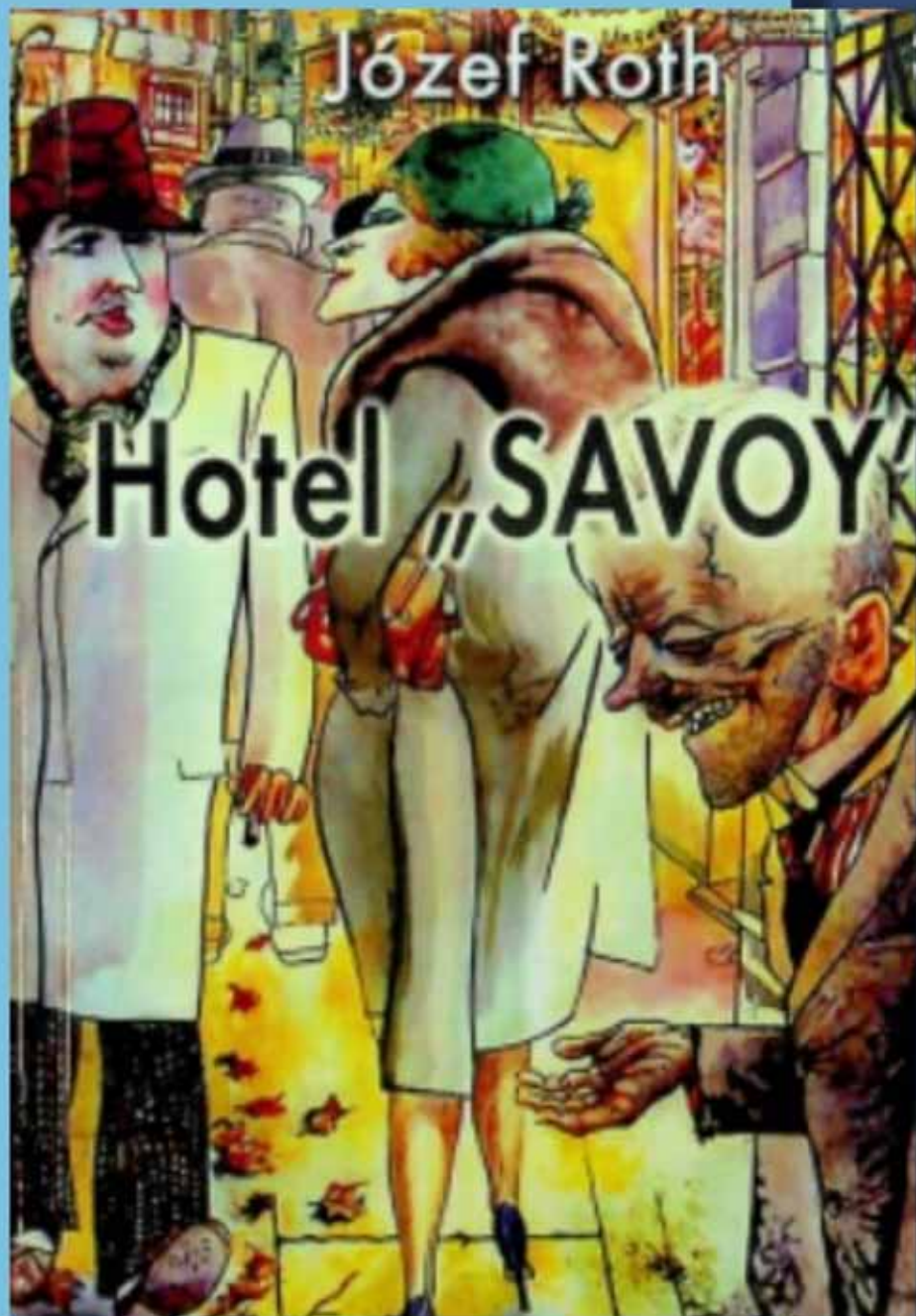
w nakrochmalonych czepkach. Tu można było zarabiać pieniądze u Kanner, w dzielnicy żydowskiej pieniądze leżały w błocie ulicznym. Do hotelu „Savoy” można było zajechać w jednej koszuli i opuścić go jako właściciel dwudziestu waliz”.

PS. VIII PIĘTRO – Nie istnieje...

Hotel Savoy pozostał w Łodzi. Swoim przepychem brylował sto lat temu, po kolejnej wojnie świecił już tylko dwiema gwiazdkami, choć wielokrotnie przyjmował pod swój dach artystów i literatów. Nadal stoi majestatycznie nieopodal dworca przy ulicy Traugutta, która prowadzi dziś do Bramy Miasta. Stoi jednak pusty, głuchy, zamknięty. Co będzie dalej? Nie wiadomo, czy otworzy podwoje dla gości, czy może zamieniony zostanie jak inne hotele na apartamenty mieszkalne. Tak czy inaczej, jego legenda przetrwa, bo została zaklęta na kartach powieści Józefa Rotha.

Józef Roth

Hotel „SAVOY“



CHAWA ROSENFARB, ZENIA LARSSON I ŁÓDŹ ICH PAMIĘCI

Joanna Podolska

Centrum Dialogu im. Marka Edelmana



Chawa Rosenfarb



Zenia Larsson

Mimo że znamy dziesiątki nazwisk pisarzy, którzy w Łodzi się urodzili, bądź mają w swoim życiorysie łódzki etap, gdy rozmawia się o literaturze związanej z Łodzią zawsze w pierwszej kolejności przywoływana jest „Ziemia obiecana” Władysława Reymonta, a zaraz potem poezja Juliana Tuwima. A przecież można wymienić długą listę ciekawych autorów i autorek o łódzkich korzeniach, którzy mają na swoim koncie ciekawe literackie dokonania. Warto przy tym zauważyć, że łódzianie publikowali swoje książki w różnych językach, niemal na wszystkich kontynentach. Tylko niektóre z nich zostały przetłumaczone na język polski. W tym roku przypadają setne urodziny Zeni Larsson, która wydała kilkanaście książek po szwedzku, w przyszłym roku stulecie obchodziłaby Chava Rosenfarb, która pisała w jidysz.

Zenia Larsson urodziła się w Łodzi 2 kwietnia 1922 roku jako Zenia Szejna Marcinkowska. Jej ojciec, Mojżesz Marcinkowski, był fryzjerem i miał swój zakład w południowej części Łodzi, przy dzisiejszym placu Reymonta 5. Podobno mówił świetnie po polsku, a w jidysz z mocnym litewskim akcentem. Był fryzjerem-poetą. Jego piękna żona Perła Wołek, której urodę podziwiali wszyscy wokół, miała piękne długie włosy i bladą cerę, była chora i młodo zmarła. Zenia była samotnym dzieckiem zwłaszcza, gdy w domu pojawiła się nowa żona ojca – Ewa Klaczewska. Zenia żyła w swoim świecie, często biegła na pobliskie pola, uwielbiała kwiaty, zwierzęta, pisała wiersze, chciała być pisarką.

W dzieciństwie Zenia zaprzyjaźniła się z Chavą Rosenfarb, ich ojcowie byli działaczami socjalistycznej partii Bund i przez jakiś czas mieszkali bardzo blisko. Dziewczynki nie chodziły do tej samej szkoły – Zenia uczyła się w szkole publicznej, potem w gimnazjum Józefa Lajba Aba. Obie lubiły książki. Spędzały z sobą dużo czasu. Dyskutowały z Chavą o postaciach z przygotowywanej powieści, o pozycji kobiet w świecie, o niesprawiedliwości społecznej. W czasie wojny obie trafiły do getta i razem zdawały maturę. Zenia dostała potem pracę przy aprowizacji i dystrybucji żywności, ale nie udało jej się uratować najbliższych. Najpierw straciła babkę i ciotkę z trójką dzieci, a wiosną 1943 roku zmarł jej ojciec. Została z macochą, z którą bardzo się zbliżyły. Dziewczynka w tym czasie zaczęła rzeźbić w glinie małe figurki. W sierpniu 1944 roku Zenia i Ewa przyszły do miejsca, w którym ukrywali się Rosenfarbowie, wszyscy zostali wywiezieni ze stacji Radegast do Auschwitz 23 sierpnia 1944 roku.

Zenia z macochą przeszły dokładnie tę samą drogę co Chava Rosenfarb, jej siostra i mama. Cały czas trzymały się razem, spały na tych samych pryczach, dzieliły się chlebem. Najpierw były w obozie Sasel pod Hamburgiem, potem

w Bergen-Belsen. Gdy 15 kwietnia 1945 roku Brytyjczycy wyzwolili obóz, wszystkie chorowały na tyfus. Ewa zmarła następnego dnia po wyzwoleniu. Zenia po rekonwalescencji postanowiła nie wracać do Polski, nie miała już tam nikogo. Skorzystała z pomocy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża i w lipcu 1945 roku wyjechała do Szwecji.

W Sztokholmie rozpoczęła studia na wydziale rzeźby Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Rzeźbiła w kamieniu, drewnie i metalu, miała wiele wystaw indywidualnych i zbiorowych. W 1950 roku wyszła za mąż za inżyniera Per-Axela Larssona (1919-1994). Jako pisarka zadebiutowała w 1960 roku wydając po szwedzku powieść „Skuggorna vid träbron” (Cienie przy drewnianym moście) o łódzkim getcie. To książka autobiograficzna, inspirowana doświadczeniami wojennymi autorki. Po niej przyszły kolejne tomy: „Lang ar gryningen” (Długi jest świt) i „Livet till motes” (Życiu na spotkanie). Trylogia o łódzkim getcie nie została dotąd wydana ani po polsku, ani angielsku, choć w Szwecji miała siedem wydań! Nie znała jej nawet wieloletnia przyjaciółka – pisarka Rosenfarb, choć jedna z książek Larsson została napisana na podstawie listów wysyłanych do niej do Kanady.

Rosenfarb była już wówczas autorką kilku tomików wierszy, sztuki teatralnej i wydanej trzy lata wcześniej monumentalnej powieści o łódzkich Żydach pt. „Drzewo życia” opowiadającej o ośmiu miesiącach poprzedzających wybuch II wojny światowej i pierwszych miesiącach okupacji, a przede wszystkim o pięciu latach w getcie łódzkim aż do jego likwidacji w sierpniu 1944 roku.

Zenia Larsson wydała w sumie po szwedzku 11 książek; niektóre z nich były przełożone na fiński i na holenderski. Należała

do Szwedzkiego Stowarzyszenia Pisarzy. Była cenioną autorką. Gdy w Szwecji świętowano dwustulecie obecności Żydów w tym kraju właśnie Zenia Marcinkowska Larsson z Łodzi przemawiała w imieniu szwedzkich Żydów w parlamencie w obecności króla Szwecji. Pisarka zmarła 4 września 2007 roku. Jej pierwsza powieść „Cienie przy drewnianym moście”, została przełożona na polski przez Piotra Zettingera, ale dotąd pozostaje w rękopisie. Fragmenty ogłosił w „Midrasz” prof. Grzegorz Gazda.

Więcej szczęścia do polskich przekładów miała pisarka Chava Rosenfarb. Od 2015 roku ukazało się po polsku nakładem Centrum Dialogu im. Marka Edelmana pięć tomów powieściowych dedykowanych Łodzi.

„Wielu żydowskich pisarzy zaczyna opowieść o swoim życiu od sztetla. Tak może być także w moim przypadku, choć nie bezpośrednio. Sztetl Kinsk (po polsku Końskie) należy do mojej prehistorii, do historii moich dziadków, zarówno ze strony matki, jak i ojca, którzy tam żyli, tam umierali lub tam zostali zabici”¹ – napisała Chava Rosenfarb w autobiograficznym eseju zamieszczonym w literackim piśmie „Di Goldene Keyt” wychodzącym w Izraelu w języku jidysz². Rosenfarb była już wówczas autorką kilku tomików wierszy, sztuki teatralnej i wydanej trzy lata wcześniej monumentalnej powieści o łódzkich Żydach pt. „Drzewo życia” opowiadającej o ośmiu miesiącach poprzedzających wybuch II wojny światowej i pierwszych miesiącach okupacji, a przede wszystkim o pięciu latach w getcie łódzkim aż do jego likwidacji w sierpniu 1944 roku. Książka została przyjęta z ogromną życzliwością przez czytelników i krytyków, wielu z nich podkreślało, że nie było dotąd niczego podobnego w literaturze dotyczącej Holocaustu, nikt nie pokazał tego tematu w tak szeroki sposób, z tylu perspektyw, a przede wszystkim, że powieść została oparta na osobistych przeżyciach autorki i biograficznych doświadczeniach.

Rosenfarb opisała w „Drzewie życia” losy kilkunastu bohaterów reprezentujących różne środowiska łódzkich Żydów, od prostych pończoszników z Bałut, poprzez robotników reprezentujących różne polityczne partie, po przedstawicieli burżuazji przemysłowej, inteligencji i świata artystycznego. Wszyscy oni znaleźli się na początku 1940 roku w oddzielnym od reszty miasta getcie utworzonym przez Niemców dla żydowskich mieszkańców Łodzi. Pisarka przedstawiła świat i czas, w którym przyszło jej żyć przez pięć lat wojny. I choć wiele razy tłuma-

1 Chava Rosenfarb, „Vanderungen iber inerveynikste kontinentn (notitsn) (w języku jidysz), Di Goldene Keyt 88 (1975), 156–168.

2 Cytaty pochodzą z książki: „Confessions of a Yiddish Writer and Other Essays, ed. G. Morgentaler, McGill-Queen's University Press, Montreal-London-Chicago, 2019.



czyła, że to literatura nie dokument, krytycy i czytelnicy podkreślali historyczny wymiar dzieła, odnajdywali miejsca i rozpoznawali opisane w nim wydarzenia i prawdziwe osoby. Już w roku 1972 (roku publikacji książki) Chava Rosenfarb otrzymała za „Drzewo życia” nagrodę literacką noszącą imię Samuela Nigera (pseudonim literacki pisarza i krytyka Samuela Czarnego) przyznawaną w Buenos Aires przez argentyński oddział Światowego Kongresu Kultury Żydowskiej oraz wręczaną w Montrealu nagrodę Jacoba Isaaca Segala, pierwszego pisarza tworzącego w Kanadzie w języku jidysz. Powieść zbierała zresztą doskonałe recenzje w całym żydowskim świecie³. Krytyk Isaac Jonasovitch napisał w kwartalniku wydawanym przez Komitet na Rzecz Kultury Jidysz w Izraelu, że „Drzewo życia” Rosenfarb „przewyższa wszystko, co zostało dotąd napisane o tragedii wschodnioeuropejskich Żydów, a wyrażając się precyzyjnie: przewyższa wszystko, co zostało napisane literacką prozą”⁴.

Faktycznie, trytomowe dzieło Chavy Rosenfarb liczące blisko 1800 stron, było pierwszą powieścią w jidysz dotyczącą tematu Zagłady i pozostaje do dziś jednym z nielicznych literackich tekstów o Holokauście napisanych przez osobę ocalałą. Poza tym to pierwsza znacząca powieść napisana przez kobietę, która uważana jest dziś za jedną

3 O powieści Rosenfarb pisano m.in. w jidyszowej prasie w Izraelu, Argentynie, Stanach Zjednoczonych i we Francji: Israel Emiot w Jewish Daily Forward (1972), Izaak Kahan w nowojorskim *Di Zukunft* (1973), Jossł Mlotek w *Kultur un lebn*. (1973), Jacob Lev w paryskim *Undzer Shtimme* (1973), Jehuda Elberg w *Undzer vort* (1974).

4 Isaac Jonasovitch, *Der bojn fun lebn (Drzewo życia)*, jidysz, Folk un medine, Tel Aviv, 1975.

z najwybitniejszych współczesnych pisarek tworzących w tym języku. Książka została w 1978 roku przełożona na hebrajski⁵, a w kolejnym roku wyróżniona prestiżową izraelską nagrodą imienia poety Icyka Magera przyznawaną literaturze żydowskiej. Córnka pisarki Goldie Morgentaler wspomina, że po opublikowaniu „Drzewa życia” jej matka otrzymywała listy od czytelników z całego świata, od Izraela po Australię i Argentynę. Spotykała się także z czytelnikami, którzy domagali się, by pisała dalej. Ale czekali teraz na książki o świecie sprzed Zagłady. Chcieli, żeby swoim piórem unieśmiertelniła świat, który został zgładzony przez wojnę i w ten sposób ocaliła pamięć o żydowskich miasteczkach, które przestały istnieć i ludzi, którzy stracili życie w Holokauście⁶.

Chawa Rosenfarb jako pisarka zadebiutowała w 1960 roku wydając po szwedzku powieść „Skuggorna vid träbron” (Cienie przy drewnianym moście) o łódzkim getcie.

W 1983 roku w Tel Awiwie ukazały się „Bociany”. Książka również napisana została w języku jidysz, mimo że pisarka miała już świadomość, że tworzy niejako w pustce, bo większość tych, którzy używali języka jidysz została zamordowana, a „język uleciał z dymem krematoriów”⁷. Pracowała już nad przekładem „Drzewa życia” na język angielski, by mogli ją czytać także ci, co znali jidysz słabo albo wcale, a chcieli poznać historie

5 Chava Rosenfarb, Ets Hakhaim (Drzewo życia), tł. z jidysz na hebrajski: Shloyme Shendot, Syfriot Poalim, Tel Aviv, 1978.

6 Spotkanie z Goldie Morgentaler podczas 70. Rocznicy likwidacji Litmanstadt Getto w Łodzi, 30 sierpnia 2014 r.

7 Goldie Morgentaler, Słowo wstępne, w: Drzewo życia. Tom pierwszy. Rok 1939, Bibliotek Centrum Dialogu, Łódź 2015, s. 7.

swoich rodziców i bliskich⁸. Pisarka postanowiła jednak nadal tworzyć swoje książki w jidysz, by udowodnić, że „nazizm nie stłumił jego oddechu, że język nadal żyje”⁹. Była to jej świadoma decyzja, by opisać świat, który miał zostać zgładzony, jego językiem. Powstała książka o sztetlu, którego już nie ma.

Rosenfarb opisała w „Drzewie życia” losy kilkunastu bohaterów reprezentujących różne środowiska łódzkich Żydów, od prostych pończoszników z Bałut, poprzez robotników reprezentujących różne polityczne partie, po przedstawicieli burżuazji przemysłowej, inteligencji i świata artystycznego.

„Bociany” to opowieść o niewielkim polsko-żydowskim miasteczku z początku XX wieku, które „przypomina” – jak sama napisała w „Wyznaniach żydowskiej pisarki”¹⁰ – rodzinny sztetl, z którego pochodzili jej rodzice zanim przybyli do Łodzi, czyli Końskie, w jidysz znane jako Kinsk. Poznajemy życie i troski jego mieszkańców, tych głęboko religijnych i tych już nieco odcinających się od wiary ojców, tych zafascynowanych kabałą i mistyką chasydów i takich, których ciągną nowe czasy. Mężczyzn, którzy spędzają życie na modlitwie i kobiet, które próbują związać koniec z końcem, by utrzymać rodzinę i godnie żyć, a także beztroskich dzieci wychowywanych w harmonii z naturą i młodzieży, która – podobnie jak rodzice Rosenfarb - chciała się wyrwać do miasta, by tam zacząć nowe, lepsze życie. Swoją książkę oparła na opowieściach matki, a także swojej młodszej siostry Heni, ale głównie na własnych wspomnieniach z dzieciństwa.

8 Pierwsze angielskie wydanie „Drzewa życia” w przekładzie Chavy Rosenfarb i Goldie Morgentaler ukazało się w 1985 roku w Australii. Kolejne w 2005-2006 w Stanach Zjednoczonych. Zob. Bibliografia.

9 Goldie Morgentaler, Słowo wstępne, w: Drzewo życia. Tom pierwszy. Rok 1939, Bibliotek Centrum Dialogu, Łódź 2015, s. 7.

10 Esej „Wyznania żydowskiej pisarki” miał kilkanaście wersji, Rosenfarb wielokrotnie go publikowała i wygłaszała. Ten cytat pochodzi z wersji zamieszczonej w książce, której tytuł nosi zbiór esejów pisarki, s. 21.

„Odwiedzałam sztetl jako dziecko i widziałam je oczami dziecka. Obraz tego miasteczka był filtrowany przez moje dziecięce wyobrażenia i w mojej pamięci pozostał jako piękne, malownicze miejsce. Ten obraz był tylko lekko retuszowany przez wyobrażenia sztetla, które odnajdywałam potem w książkach, które czytałam”¹¹ – napisała Chava Rosenfarb w eseju o swoich korzeniach. To w tym tekście, opublikowanym wiele lat zanim powstały literackie „Bociany”, pojawiają się prawdziwe postaci, które zapamiętała z Końskich: dziadek Kalman ze strony mamy, stary, groźny, w połowie ślepy, z brodą i wąsami przyprószonymi siwizną i kredą, którą sprzedawał w sklepiku na Pocijewowie. Co ciekawe, w piątkowy wieczór jego broda i pejsy robiły się na powrót rude, bo w rodzinie matki Chavy Rosenfarb prawie wszyscy mieli rude włosy, tak jak jej młodsza siostra Henia. A także ich mama, nazywana z tego powodu w Łodzi „czerwoną Simą”. Zapamiętała też i opisała w „Bocianach”, choć pod zmienionymi imionami, ciotki, czyli siostry matki, prawie zawsze w potarganych perukach, które „unosily się jak anioły nad majestatyczną figurą dziadka”. Babcia Chava zmarła, gdy Sima się urodziła i swojej pierwszej córce dała imię na jej cześć. Chava Rosenfarb ma więc imię po swojej koneyckiej babce, której nigdy nie poznała.

W pamięci i wspomnieniach Rosenfarb przetrwała natomiast babcia ze strony taty – Fajga Mirla, która pochodziła z ważnej chasydzkiej rodziny, ale na co dzień handlowała różnymi drobiazgami: igłami, guzikami, sznurówkami na



11 Ramblings through Inner Continents: Notes from a Life, w: Confessions..., s. 79

rynku w Pociejowie, by utrzymać rodzinę. Zresztą konecki Pocijów – jak zapamiętała pisarka – cały był wypełniony ich dalszymi i bliższymi krewnymi. I choć pisarka zaznacza, że „Bociany” są tylko dalekim echem jej prawdziwej rodzinnej historii, bo wplotła tam również wymyślone bądź zasłyszane gdzieś opowieści, nieustająco fikcja przeplata się prawdą, a literatura ze wspomnieniem.

Dziadek Henocho Rosenfarb, ojciec taty, faktycznie był sojferem (przepisywał święte księgi), a jego najstarszy syn Icie – uważany był za geniusza sztetla. Obaj, podobnie jak w powieści, zmarli na gruźlicę jeszcze zanim urodziły się w Łodzi córki Abrama i Simy i zaczęli z nimi przyjeżdżać z Łodzi w odwiedziny do sztetla. Na cześć zmarłego dziadka siostra Chavy Rosenfarb dostała imię Henele-Henia¹², co opisała w swoich wspomnieniach wydanych w 2007 roku. Z poddasza domku babci Fajgi-Mirli obie siostry: Chava i Henia, lubiły patrzeć na ogród klasztorny i siostry zakonne, które spacerowały między kwiecistymi rządkami. I obie przez całe życie próbowały odnaleźć aromat zapachu z tego ogrodu, który unosił się, gdy tylko otwarte było okno poddasza. „Ten słodki zapach podąża za mną do dziś. Bezskutecznie poszukuję jego odpowiednika w różanych ogrodach, krzakach jaśminu, bzu i drzewach akacji. I myślę sobie: to jest prawie ten zapach, ale on nigdy nie jest taki sam”¹³ – wyznała Rosenfarb w swoim eseju. Także jej siostra wspomina piękny widok na ogród i zapach kwiatów oraz drzew z Końskich. „Jako dziecko miasta byłam tym wszystkim zaczarowana”¹⁴ – wspominała Henia. Klasztorne ogrody nie mogło więc zabraknąć w „Bocianach”.

Babka i siostry matki z Końskich miały bardzo duży wpływ na wychowanie Chavy Rosenfarb, przede wszystkim na jej literackie zachwyty, ale też polityczne zaangażowanie. Babcia Fajga-Mirła opowiadała jej historie biblijne, a ciotka Szprynca recytowała po polsku romantyczne wiersze Słowackiego i Mickiewicza. „Prawie nic nie rozumiałam, ale nasiąkałam jak gąbka muzyką i melodią wierszy. Być może to właśnie recytacje Szpryncy, opowieści babci z „Cene urene” albo metafizyczne sny mojego ojca z ich tęsknotą za tajemniczymi, odległymi miejscami, spowodowały moją potrzebę pisania”¹⁵ – wyznaje Chava Rosenfarb.

Jednak powieść „Bociany” nie jest dedykowana babci ani ciotkom. Nie jest też dedykowana miasteczku Końskie i jego mieszkańcom. Podczas gdy „Drzewo życia” autorka zadedykowała rodzicom: Symie i Abrahamowi Rosenfarbom,

12 Henia Reinhartz, *Bits and pieces: a memoir*, Azrieli Foundation – York University's Centre for Jewish Studies, Toronto 2007, s. 1.

13 Chava Rosenfarb, *Ramblings...*, op. cit., s. 80.

14 Henia Reinhartz, *Bits and pieces...*, op. cit., s. 11.

15 Chava Rosenfarb, *Ramblings...*, op. cit., s. 81.

„Bociany” mają podwójną dedykację. W pierwszej kolejności dedykowane są dzieciom Chavy Rosenfarb i Heńka Morgentalera: Gołdzie i Abramowi, którym pisanie „Drzewa życia” i kolejnych książek towarzyszyło przez całe dzieciństwo. Goldie urodziła się w 1950 roku, jej brat Abraham w 1956 roku. Córka została profesorem literatury angielskiej i tłumaczką książek swojej matki. Dziś mieszka w Kanadzie. Abraham poszedł w ślady ojca i został lekarzem. Mieszka w Stanach Zjednoczonych.

Druga dedykacja i wyrazy wdzięczności skierowane są do Binema Wienera – „za jego cierpliwość i troskę i za możliwość publikacji tego dzieła”. Symcha-Binem (Bono) Wiener był nieco starszy od Chavy (rocznik 1920). Oboje urodzili się w Łodzi i wychowywali się w rodzinach o tradycjach bundowskich. Wiener podobnie jak Chava i jej mąż Heniek (Henry) Morgentaler, uczył się w szkole im. Medema i był członkiem organizacji młodzieżowych tworzonej przez żydowską partię Bund. Kontynuował naukę w szkole technicznej. W getcie pracował w Wydziale Metalowym i należał do bundowskich aktywistów. W sierpniu 1944 roku został wywieziony do Auschwitz, a potem do obozów w Mauthausen i Güssen. Po wojnie wrócił do Łodzi i zaangażował się w próbę wskrzeszania żydowskiego życia w Polsce. Na zdjęciach z jedyne go powojennego pobytu Chavy Rosenfarb w Łodzi, widzimy ich razem. Chava jednak wróciła do Brukseli, a w 1950 roku wraz z mężem Heńkiem Morgentalerem wyjechała do Kanady. Wiener po likwidacji Bundu w Polsce, wraz z ocalałym na terenie ZSRR bratem Pinchase, wyjechał do Niemiec, a w 1950 roku wyemigrował do Australii. Bono Wiener pracował jako dziennikarz, tworzył Astronaut Travel Agency. Był działaczem społecznym i politycznym, mocno zaangażowanym w działania na rzecz pamięci, m.in. w stworzenie Związku Łodzian w Australii, szkoły Szolem Alejchem oraz australijskiego muzeum Holokaustu. W latach 60. Wiener i Rosenfarb ponownie się spotkali, a w połowie lat 70. , po rozwodzie z Morgentalerem, zostali parą.

Powieść „Bociany” została znowu świetnie przyjęta przez czytelników i krytykę. Autorka otrzymała za nią kilka nagród, m.in. Sholem Aleichem Prize w Tel Awiwie (1990), dwukrotnie nagrodił ją Kongres Żydowskiej Kultury w Nowym Jorku (1988 i 1993). Krytyk Dawid Meshner napisał o książce, że jest niezwykle poruszająca i stwierdził, że być może jest to ostatnia wielka powieść literatury jidysz. Angielskie wydanie „Bocianów” w przekładzie autorki wyszło w 2000 roku nakładem amerykańskiego wydawnictwa Syracuse University Press w serii Biblioteki Współczesnej Żydowskiej Literatury. Za to tłumaczenie Rosenfarb otrzymała kolejną ważną nagrodę: przyznaną przez stowarzyszenie kana-

dyjskich tłumaczy literatury: John Glassco Prize. Dwa tomy mają odrębne tytuły: „Bociany” i „Of Lodz and Love”. Wydając powieść po polsku wydawcy poszli podobnym tropem. Pierwszy tom nosi tytuł „Bociany. Opowieść o sztetlu”. Drugi – opowiadający historię przybycia do Łodzi w przededniu I wojny światowej i pierwszych latach po wojnie, wyszedł pod tytułem „Między miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości”. Polscy czytelnicy nie znają jeszcze ostatniego powieściowego tomu napisanego przez pisarkę z Kanady, która w 2023 roku świętowałaby swoje setne urodziny. „Listy do Abraszki”, czyli opowieść o międzywojennej Łodzi, w której Chava Rosenfarb opisała miasto swojego dzieciństwa i młodości, jest dostępna tylko w języku jidysz. W 2023 roku książka ukaże się w setną rocznicę urodzin autorki nakładem Centrum Dialogu im. Marka Edelmana.

Chava Rosenfarb i Zenia Larsson były przed wojną koleżankami ze szkolnej ławki, spędzały ze sobą mnóstwo czasu. Jako pisarki dedykowały swojemu rodzinnemu miastu niemal całą swoją twórczość. Choć pisały o tych samych wydarzeniach, nie poznały wzajemnie swoich książek. Larsson nie znała jidysz na tyle, by czytać swobodnie. Rosenfarb w ogóle nie znała szwedzkiego.

ZAPISY KU PAMIĘCI. TWÓRCZOŚĆ LITERACKA W GETCIE ŁÓDZKIM

Ewa Wiatr

Dla Żydów uwięzionych w getcie w okupowanej Łodzi pisanie miało wymiar terapii. Współcześnie doskonale zdajemy sobie sprawę, jak dewastujący wpływ na zdrowie fizyczne i psychiczne miały pogarszające się warunki getta. Głodni i zmęczeni wielogodzinną pracą (a w getcie pracować musiał każdy!) znajdowali chwilę, by zapisać swoje myśli, często traktując kartkę papieru jako najwierniejszego przyjaciela – zastępstwo za tych, którzy zmarli z głodu, zniknęli w kolejnej fali deportacji lub przestali się kontaktować, skupieni na codziennej walce o przetrwanie.

Dokładne przedstawienie powstałych w getcie tekstów to zadanie praktycznie niemożliwe, a na pewno wykraczające poza ramy objętościowe niniejszego tekstu. Mogę jedynie zarysować pewne cechy zarówno tekstów, jak i autorów, zachęcając do sięgnięcia po bogatą, dostępną już na rynku czytelniczym literaturę.

Będą to moje własne refleksje, często subiektywne. Unikam oceniania powstałych w getcie tekstów narzędziami literaturoznawczymi. Patrzę na nie przede wszystkim okiem historyka, który z powstałych tam i wtedy źródeł czerpie wiedzę i układa z fragmentów niczym z puzzli większą całość.

Ten tekst jest pochodną pracy nad antologią tekstów literackich pt. *Oblicza getta*, którą kilka lat temu opracowałyśmy wraz z Krystyną Radziszewską oraz kilku innych projektów edytorskich, m.in. dzienniki Rywki Lipszyc czy Dawida Sierakowiaka.

Przyglądając się pozostałym po getcie łódzkim dokumentom łatwo dostrzeżemy ich ogromną różnorodność. Mamy tysiące stron dokumentów, obrazujących organizację getta, mamy pisane w ramach gettowego Wydziału Archiwum Biuletyny Kroniki Codziennej, dokumentujące oficjalne aspekty życia w getcie i zawierające dane o liczbie urodzeń i zgonów, chwalcące kolejne powstałe re-sorty pracy, wyliczające wielkości przydziałów żywnościowych czy też zapisy dotyczące pogody. Wydane w całości w 2009 r. pod jednym tytułem jako „Kronika getta łódzkiego” stanowi jedno z podstawowych źródeł dla badaczy dziejów getta. Pracownicy Archiwum podjęli się też ułożenia leksykonu, wyjaśniającego typowe dla życia w getcie zjawiska, instytucje, określenia, gromadzącego informacje biograficzne. Napisany na kartonikach w trzech językach: po polsku, niemiecku i w jidysz i opublikowany po raz pierwszy w całości w 2016 r. pt. *Niedokończony projekt. Encyklopedia getta łódzkiego*, stanowi unikalny materiał nie mający odpowiednika w zachowanych spuściznach po gettach w okupowanej Europie.

Uzupełnieniem *Kroniki* i *Encyklopedii* są teksty autorstwa ludzi związanych z Archiwum: reportaże Oskara Singera, notatki Oskara Rosenfelda oraz twórczość w jidysz Józefa Zelkowicza.

Te powstałe oficjalnie i półoficjalnie materiały stanowią jednak zaledwie część tekstów pisanych w getcie. Tysiące osób, bez względu na wiek, płeć i poziom wykształcenia, chwytało za pióro. Zapisywano w zeszytach, na szarym papierze, w starych księgach buchalteryjnych, na skrawkach papieru, między wersami wcześniejszych tekstów. Chawa Rosenfarb po wojnie określiła to zjawisko „epidemią pisania”. Niestety, większość tych tekstów bezpowrotnie przepadła. O tym, że powstawały, wiemy z przekazów. Dawid Sierakowiak wspominał

w dzienniku o poznaniu niejakiego doktora Freda Goldschmidta, spuchniętego już, byłego prokuratora z Breslau. *Żona jego czytała urywki z jego książki o getcie (niezwykle już pono grubej), o ogromnej wartości literackiej. Píše tylko po niemiecku, a książka składa się z rozlicznych szkiców, wierszy, opowiadań, obrazków itd. Jest on niezwykle płodny (do czasu wojny prawie że nie pisał) i mimo okropnych warunków pisze bez przerwy.*

Uzupełnieniem Kroniki i Encyklopedii są teksty autorstwa ludzi związanych z Archiwum: reportaże Oskara Singera, notatki Oskara Rosenfelda oraz twórczość w jidysz Józefa Zelkowicza.

Abram Cytryn te utwory, które uznał za najbardziej wartościowe, zabrał ze sobą w sierpniu 1944 r. do Auschwitz-Birkenau. Irena Liebman, tak jak Abram Kazjer – ich teksty przepadły w czasie likwidacji getta – po wojnie odtwarzali je z pamięci.

Najpopularniejszą formą zapisu stawał się dziennik i to zarówno wśród dorosłych, wykształconych osób

A collage on a textured, light-brown background. At the top left, a red circular stamp is partially visible. A silver paperclip is attached to the top edge of a white rectangular area. Inside this area is a book cover. The book cover has a top section with a sketch of a group of people. Below this is a black banner with the title 'OBLICZA GETTA' in white serif font. Under the banner is a tan section with the subtitle 'Antologia tekstów z getta łódzkiego' in black serif font. Below the subtitle is a small black box with the text 'WYDANIE DRUGIE' in white. The bottom section of the book cover features a sketch of a skeleton sitting at a desk with a question mark above it. The year '1974' is written in the top left of this sketch. At the bottom left of the collage, there is a piece of old, yellowed paper with handwritten text in cursive script.

OBLICZA GETTA

Antologia tekstów z getta łódzkiego

WYDANIE DRUGIE

(Jakub Poznański, Abram Icchak Łaski, Oskar Rosenfeld), młodzieży (Dawid Sierakowiak, Henryk Fogiel) jak i nastolatków (Rywka Lipszyc, Minia Kuper). Są to dokumenty osobiste, które stanowią niewyczerpane źródło informacji o życiu w getcie, choć nie są pozbawione walorów literackich. Dla zobrazowania życia kulturalnego istotniejsze są jednak wiersze, opowiadania czy dramaty powstałe w getcie. Ich autorzy wywodzili się z bardzo różnych środowisk, dzieląc się pod względem wieku, języka, sytuacji oraz oczywiście umiejętności. Większość twórców rozpoczęła pisanie w getcie. Swoje debiuty przed wojną miał jedynie Jeszajahu Szpiegel, Jerachmil Bryks oraz Symcha Bunem Szajewicz, także Józef Zelkowicz należący do poetów języka jidysz, dziennikarz publikujący w łódzkich gazetach żydowskich. Uznany dorobkiem, zarówno pisarze jak i dziennikarze oraz naukowcy, mogli poszczycić się deportowani z Pragi niemieckojęzyczni Oskar Singer, Oskar Rosenfeld i Bernard Heilig.

Znana jest działalność co najmniej trzech grup literackich. Pierwsza była skupiona wokół przedwojennej poetki języka jidysz Miriam Ulinower, która prowadziła salon literacki już przed wojną w mieszkaniu przy ulicy Narutowicza. W getcie kontynuowała tę tradycję, a na spotkania do jej mieszkania przy ulicy Franciszkańskiej 12 (kamienica narożna przy ulicy Jakuba, stąd ten adres pojawia się często we wspomnieniach) trafiali poeci i pisarze tworzący już przed wojną, m.in. Symcha Bunin Szajewicz, Jeszajahu Szpigiel, Rachmil Bryks, Chawa Rozenfarb czy Abraham Cykiert. Po wojnie Chawa Rozenfarb określiła Ulinower jako „pobożną, delikatną osobę, która stała się literacką matką getta. Jej serce było pełne miłości. Pisarze ją ubóstwiali”.

Drugi salon literacki działał w kręgu języka polskiego w mieszkaniu Melanii Fogelbaum i skupiał młodzież, m.in. Leona Kownera i Helenę Zemler. Melania znalazła pracę w Wydziale Naukowym getta, gdzie był również zatrudniony malarz Izrael Lejzerowicz. Pozostały po niej dwa zeszyty z wierszami, uratowane przez przyjaciół. Melania była niezwykle wrażliwą i zdolną poetką, choć brak jest jednak jakichkolwiek śladów jej przedwojennej twórczości. Wiersze, które ocalały, przejmująco obrazują nieszczęście głodu i braku nadziei:

Trzewia trawią próżnię
Ślepe głodu pijawy
Świat nie dla nas, przez oczy otwarte głód targnie
Próżnią trzewi i jelit fioletowe kwiaty
Zadraż sine pod sercem jak dzikie peonie
Ślepe bólu pijawy w ciepło wnętrza się wessą.

Ostatni znany badaczom krąg literacki skupiony był wokół niezwykle aktywnego Izrael-Ber Incygiera, piszącego pod kilkoma pseudonimami, najczęściej jako Alter Sznur. Incygier układał gazetkę literacką (pisaną ręcznie) „Min Ha-Mejcar”, oraz almanach literacki „Geto-szriftn”. Część wierszy i materiałów Incygiera przetrwała wojnę i jest w zasobach Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz Archiwum Kibucu im. Bojowników Getta.

Wyjątkową pozycję zajmuje twórczość dziecięca i młodzieżowa, choć linia pomiędzy tymi grupami jest płynna. Lata spędzone w getcie należy zwielokrotnić, gdyż przebyte doświadczenia sprawiały, że dzieci gwałtownie dojrzewały. Będzie to twórczość poetycka i prozatorska Abrama Cytryna, wiersze Abrama Koplowicza, liczne utwory powstałe do powstających w grupach młodzieżowych gazetek (ręcznie pisanych bądź „mówionych”). Podejmowane przez młodzież tematy daleko wykraczały poza sprawy typowe dla ich wieku. O tym, że jest to twórczość osób młodych świadczy raczej forma niż treść. O przygotowywanych do takich gazetek wierszach wspominał m.in. Dawid Sierakowiak. Jeden ze swoich wierszy przygotowanych do gazetki opracowanej przez kółko literackie zanotowała w dzienniku Rywka Lipszyc. Rywka przywoływała w swoim wierszu zmarłą matkę i zabrane w czasie „szpery” rodzeństwo. Tęskni za nimi, buntuje się przeciwko sytuacji, na którą ma tylko jedno, gorzkie wytłumaczenie:

Abram Cytryn te utwory, które uznał za najbardziej wartościowe, zabrał ze sobą w sierpniu 1944 r. do Auschwitz-Birkenau. Irena Liebman, tak jak Abram Kazjer – ich teksty przepadły w czasie likwidacji getta – po wojnie odtwarzali je z pamięci.

Z tęsknotą wspominam
 I serce mi boli,
 Ach, dosyć, już dosyć
 Tej strasznej niedoli!
 Coś burzy się we mnie,
 Nie zaznam spokoju!
 Znów pytam: nie dosyć już
 Trudu i znoju?
 Krzyczę i krzyczę!
 (Choć głosu nie słysząc)
 Co będzie? Co będzie?
 Co będzie? U licha!
 Lecz jednak na razie
 Nie mam odpowiedzi,
 Chyba tę jedyną:
 „My Żydzi! My Żydzi!”

Szczególne miejsce w twórczości powstałej w getcie zajmują utwory satyryczne. Z braku możliwości drukowania, czy powielania tekstów przepisywano je w zeszytach lub na kartkach. Co najmniej cztery egzemplarze takich produkowanych chałupniczą metodą tomików przetrwało wojnę.

Jeden jeszcze w czasie jej trwania dotarł do getta warszawskiego i został włączony w tajne Archiwum „Oneg Szabat” dokumentujące życie Żydów w czasie wojny. Dwa z nich ma bliźniacze okładki: sześć obrazków z kolejnych lat wojny autorstwa młodego Szymona Dratwy. Obrazki znajdują wyjaśnienie w utworze rozpoczynającym oba zeszyty, również autorstwa Dratwy.

Jest to wiersz pt. „Żydowski grobowiec”, będący opisem planów filmowych hipotetycznego filmu o getcie, gdy po wojnie

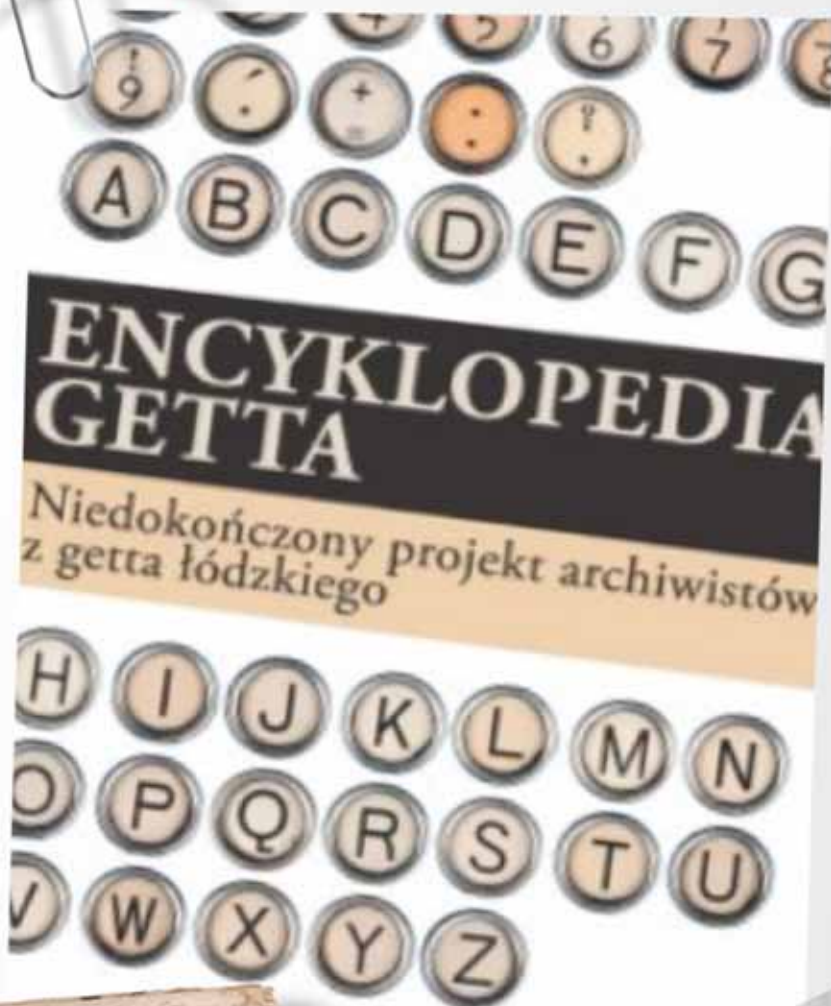
***Wyjątkową pozycję
 zajmuje twórczość dziecięca
 i młodzieżowa, choć linia pomiędzy
 tymi grupami jest płynna.
 Lata spędzone w getcie należy
 zwielokrotnić, gdyż przebyte
 doświadczenia sprawiały, że dzieci
 gwałtownie dojrzewały.***

Spekulanci i filmowcy
Wpadną na pomysł nowy
By z cierpień ludu Żydowskiego
Uczynić film dźwiękowy....

Zeszyty zawierają po kilkanaście wierszy, w większości powtarzających się. Dodatkowo są bogato ilustrowane, a zamieszczone w nich rysunki to odwzorowane karty żywnościowe, legitymacje, plan getta czy postać Rumkowskiego.

Utwory te najczęściej nie były podpisane, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa, choć udało się ustalić w kilkunastu przypadkach ich autorstwo. Na czoło wysuwa się przede wszystkim twórczość Marka Fogelbauma, brata Melanii, wykształconego muzyka i dziennikarza. W getcie pracował w Służbie Porządkowej, co pozwoliło mu mieć szeroki ogląd na sytuację getta. Tematyka podejmowana w satyrach jest bardzo szeroka i obejmuje wszystkie bolączki, z którymi borykało się społeczeństwo getta, stając się istotnym elementem poznania okupacyjnej rzeczywistości. Ostrze satyry bardzo często skierowane było przeciwko ludziom, których zachowanie powinno zostać napiętnowane. Dostało się m.in. niejakiemu Calelowi, który przeprowadzał bardzo skrupulatne rekwizycje robotników wychodzących z resortów czy Hercbergowi jako szefowi Sonderkomando („W całym tym komando z Sonerkomendantem//Kant siedzi na koncie i pogania kantom”). W wielu utworach bohaterem jest oczywiście Rumkowski. Jednym z popularniejszych była parodia *Lo-komotywy* Tuwima:

Utwory te najczęściej nie były podpisane, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa, choć udało się ustalić w kilkunastu przypadkach ich autorstwo. Na czoło wysuwa się przede wszystkim twórczość Marka Fogelbauma, brata Melanii, wykształconego muzyka i dziennikarza.



Stoi na rynku stary mężczyzna
 Bije od niego dziwna tężyzna, każdy to przyzna
 Stoi, przeklina, pryska i sapie
 Pot z rozgrzanego czoła mu kapie
 Uf – jak gorąco, Uf – jak męcząco, obiecująco.
 Godności Jemu dużo nadali
 I władzy wiele, by się wszyscy go bali.

Ojciec zadżumionych stał się kanwą parodii pod tytułem *Ojciec zażydzonych*. Pojawiły się prześmiewcze *Ody do Prezesa Rumkowskiego*

Mocarzu wielki, Ghetto-grodu
 Wodzu, wybranego narodu
 W twym państwie czy to Ost, czy West
 Twój gest poważny jest
 Od Wrześnińskiej do Bałutki
 I od Żabiej do Nad Łódki
 Sława o Tobie rozbrzmiewa
 Odę do Ciebie każdy śpiewa
 Jesteś Ojcem – wszak troskliwym
 I dla wszystkich sprawiedliwym
 Bo dostarczasz nam żywności
 Mysz kościelna nam zazdrości
 Rabarbar, szczaw, szczypiorek
 Dajesz nam aż pełny worek

Ostrze satyry dotknęło też protekcji, „fekaliowego wojska” czy też nowego systemu produkcji, opisanego w utworze *Taśmowe roboty*.

Zestawienie tytułów filmowych z postaciami bądź zjawiskami w getcie z jednej strony pokazuje, z czego się w getcie śmiano, z drugiej zaś – pozwala dowiedzieć się o sprawach, również z pogranicza relacji damsko-męskich, o których trudno byłoby przeczytać w oficjalnych dokumentach.

Statek komediantów – „Bajrat”
 Gabinet figur woskowych – „Gmina”



Król żebraków – „Chaim Rumkowski”
 Zaginiony horyzont – „Śródmieście”
 Dzieje grzechu – „Działka i hachszara”
 Niedokończona symfonia – „70 tysięcy kilogramów kartofli”
 Armia za drutem kolczastym – „Policja żydowska”
 Dama Kameliowa – „Pani Józefina Rumkowska”
 Poławiacze pereł – „Lombard Rumkowskiego”
 Suez – „Okopowa róg Franciszkańska”
 Żona czy sekretarka – „Fuksówna”
 Nędznicy – „Mieszkańcy Ghetta”
 Wyspa skarbów – „Bałucki Rynek”
 Twe usta kłamią – w roli głównej Rumkowski

Zeszyty z utworami satyrycznymi krążyły między mieszkańcami, czytano je na spotkaniach towarzyskich oraz przepisywano. Lolek Lubiński zamieścił dwa takie utwory w swoim dzienniku. Te, jak je nazwał, „wierszyki gettowskie” usłyszał na zebraniu organizacji młodzieżowej Chazit,

do której należał. Część tych utworów to kuplety na melodię znanych przedwojennych piosenek.

Zeszyty z utworami satyrycznymi krążyły między mieszkańcami, czytano je na spotkaniach towarzyskich oraz przepisywano.

Dokładna analiza tych utworów pokazuje, że humor getta miał gorzkie zabarwienie. Nie wszystkie miały zresztą satyryczny charakter – w przepisywanych zeszytach znajdują się również pastisze wierszy

romantyków polskich, nasycone uczuciami tęsknoty, buntu i smutku. Żarty przeplatały się z refleksją, a naśmiewanie z karier na wzór Nikodema Dyżmy było równoważone odą do chleba, wierszem o głodzie.

Michał Borwicz, zajmujący się twórczością w gettach i obozach nazwał tę twórczość „paradą humoru przed Zagładą”¹. Nie znajdowała ona zrozumienia wśród powojennych wydawców, pozostając nieznana szerszemu gronu badaczy. Dopiero dystans czasowy oraz coraz szersze badania prowadzone nad życiem codziennym w gettach na terenie okupowanej Polski, pozwoliły docenić tę twórczość jako istotny element poznania okupacyjnej rzeczywistości.

¹ *Pieśń ujdzie cało. Antologia wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką*, opr. M. Borwicz, Warszawa-Łódź-Kraków 1947.

ZOSTAŁEM TUTAJ, MAJĄC KILKA SZANS ŻYCIOWYCH

Rozmowa Anny Przewieś
(Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego)
z Pawłem Spodenkiewiczem, pisarzem



PAWEŁ SPODENKIEWICZ,
FOT. MARCIN PRZEWIEŚ

Anna Przewieś: Jest Pan autorem wielu książek, między innymi „Zaginiona dzielnica: Łódź żydowska – ludzie i miejsca”, „Piasek z Atlantydy: rozmowy z Jerzym Grohmanem”, których tematem przewodnim jest miasto Łódź. Czy jest Pan szczególnie związany z tym miejscem?

Paweł Spodenkiewicz: Na pewno. Może czuję tradycję tego miasta nieco lepiej niż wielu ludzi, którzy są napływowci? Łódź zawsze była miastem migrantów, ale moja rodzina ze strony ojca osiedliła się tutaj już w XIX wieku.

Jerzy Grohman w „Piasku z Atlantydy” pokazuje czytelnikom obraz środowiska łódzkich fabrykantów XIX wieku. Do dziś podziwiać można pałace, wille, które były ich własnością. Czy któraś z tych rodzin, według Pana, zasługuje na szczególną uwagę?

Przede wszystkim te, które oprócz tego, że zakładały fabryki i je prowadziły, miały świadomość obywatelską i udało im się coś wnieść w życie kulturalne i rozwój cywilizacyjny Łodzi. Tych rodzin nie było wcale tak mało. Można wymienić rodzinę Poznańskich, którzy ufundowali tutaj wiele instytucji pożytku publicznego, między innymi szpital, a także dokładali się do budowy świątyń. Mamy Silbersteinów, którzy wspierali artystów, między innymi zapraszając ich do swojej posiadłości w Lisowicach koło Koluszek. Stanisław Silberstein zasłużył się w czasie I wojny światowej, rozwijał w Łodzi system oświaty jako członek Komitetu Obywatelskiego. Była niesamowita rodzina Heiman-Jareckich... To przecież oni ufundowali gmach pierwszego polskojęzycznego gimnazjum, to obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Kopernika, a także gmach biblioteki miejskiej. Karol Eisert ofiarował miastu tuż przed wojną cudowną kolekcję włoskich i niderlandzkich obrazów, która niestety w wyniku działań wojennych trafiła do ZSRR i teraz Rosjanie nie chcą nam jej zwrócić. No, i byli jeszcze Grohmanowie, rodzina bardzo patriotyczna. Henryk Grohman, znany wielbiciel muzyki – finansował Łódzką Orkiestrę Symfoniczną – swoje zbiory grafik ofiarował Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, a skrzypce Stradivariego Muzeum Narodowemu w Warszawie. Tych ciekawych rodzin było sporo i warto oczywiście o nich pamiętać.

Wraz z upaństwowieniem zakładów włókienniczych nastąpił schyłek potęgi łódzkich fabrykantów. A może zaczął się wcześniej?

Okres największego rozkwitu łódzkich fabryk tekstylnych przypada na drugą połowę XIX wieku. Przyczynił się do tego olbrzymi, bardzo chłonny rynek

rosyjski. Katastrofą dla tego przemysłu był okres I wojny światowej. W okresie dwudziestolecia międzywojennego mamy z kolei dwa potężne kryzysy, pierwszy nastąpił tuż po wojnie, a potem przyszedł Wielki Kryzys z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. Następowaly też inne niekorzystne procesy – zakłady zostały odcięte od rynku rosyjskiego, a poza tym produkcja zaczęła przenosić się do krajów, gdzie produkowano surowiec i jeszcze na dodatek była tania siła robocza. Tak działo się w całej Europie, wtedy zaczął podupadać też brytyjski przemysł tekstylny, też kiedyś cudownie rozwinięty. Po II wojnie światowej łódzkie fabryki zostały przejęte przez państwo, co pociągnęło za sobą schyłek rodów fabrykanckich. Natomiast sam przemysł dostał drugie życie, gdy nastąpiła integracja gospodarcza w ramach bloku wschodniego i znów się otworzył chłonny rynek rosyjski. Więc można powiedzieć, że akurat przemysł włókienniczy na powojennych zmianach politycznych skorzystał. Zmiany te przedłużyły jednak tylko jego agonię, co prawda aż o 50 lat, bo kiedy w latach dziewięćdziesiątych powrócono do gospodarki rynkowej, okazało się, że ów przemysł nie jest konkurencyjny w warunkach globalizacji. Produkcja tkanin i odzieży przeniosła się do Bangladeszu, Indii, Wietnamu i tym podobnych krajów.

W „Zaginionej dzielnicy” rozmówcy barwnie opisują życie społeczności żydowskiej w przedwojennej Łodzi. Sporo też można dowiedzieć się o dzielnicy Bałuty. Jeden z rozmówców opisuje ją „jako dzielnicę wyrzutków społeczeństwa”, na ulicach można było spotkać handlarzy, śpiewaków, kuglarzy... Mam wrażenie, że klimat łódzkich starych Bałut w niektórych miejscach przetrwał do dziś... Jak Pan sądzi?

Istnieją różne enklawy ze swoją subkulturą, ale to nie jest już to, co było kiedyś. Przede wszystkim, przed wojną to była dzielnica polsko-żydowska, a Żydzi zniknęli i zostali tylko Polacy. Była to pierwsza zmiana w charakterze Bałut. A druga – to zmiany społeczne, które były związane z programem socjalistycznego budownictwa, co się zaczęło już w latach pięćdziesiątych. Są elementy socrealistyczne, później powstawały jeszcze kolejne nowe bloki. Ja sam spędziłem sporą część młodości na Bałutach, ponieważ w 1961 r. dostaliśmy mieszkanie właśnie w takim nowym bloku roku przy ulicy Władysława Bytomskiej (obecnie Organizacji WIN), w samym centrum dzielnicy, blisko Bałuckiego Rynku. Wstawiono go pomiędzy stare biedne kamieniczki, których mieszkańcy jeszcze nabierali wodę do wiader z pomp ulicznych, a pomyje wylewali wprost do rynsztoków. Pamiętam bójki całych band ulicznych. Dla nas to było dziwne... Ale i ja musiałem się nauczyć bić, żeby tam przetrwać. Ci starzy bałuciarze rzeczywiście sta-

nowili wyraźną subkulturę. Wkrótce jednak zaczęło przybywać bloków i nowa ludność zmieniała kształt tych Bałut. Nowi przybysze mieszały się ze starymi. Dziś uważam, że ta polityka władz komunistycznych była społecznie korzystna.

Ma Pan na myśli stawianie nowych bloków mieszkalnych między starymi budynkami?

Tak, ponieważ dzieci z rodzin, można powiedzieć, społecznie upośledzonych zyskiwały pewne wzory – nowe, inne, bardziej atrakcyjne. W szkole spotykały się z dziećmi z innego środowiska.

Mogły pięć się do góry...

Tak, jeśli chciały. Dziś polityka jest inna, zmierza się do tego, żeby z tych lepszych lokalizacji usuwać ludzi biednych. Burzy się stare domy, w to miejsce wstawia nowe i znów tworzą się enklawy bardziej zamożne i biedne. Polityka komunistyczna była pod tym względem lepsza, moim zdaniem. Choć z kolei jeden awanturnik na klatce schodowej mógł zatruć życie spokojnym mieszkańcom należącym do zupełnie innych warstw społecznych. Więc wszystko ma swoje dobre i złe strony...

Przejdźmy teraz do ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta jest dziś miejscem spotkań towarzyskich, kulturalnych. Kawiarnie, restauracje, puby, kluby, sklepy – wszystkie atrakcje znajdują się na najdłuższej głównej ulicy w Europie. A jaką rolę spełniała Piotrkowska w Łodzi przedwojennej?

To była okolica najbardziej ekskluzywnych sklepów. Kupcy walczyli o miejsce przy Piotrkowskiej, wejście na nią było bardzo trudne. Wiem to dobrze, ponieważ jeden z moich stryjecznych dziadków posiadał firmę odzieżową – sklep z luksusową galanterią męską, koszulami, krawatami, spinkami. Żeby móc założyć sklep przy Piotrkowskiej, wykupił weksle właściciela kamienicy. Potem wykorzystał zwłokę w spłacie i zmusił go do wynajmu lokalu. Więc do takich nawet sposobów się uciekano. No, ale Piotrkowska była wspaniałym, tłocznym deptakiem. Dzielił się on przed wojną na dwie główne części. Od placu Wolności do Narutowicza była część żydowska, a od Narutowicza w stronę placu Niepodległości polsko-niemiecka. Oczywiście, przechodnie i mieszkańcy się mieszały, to nie był bardzo ostry podział. Zmieniał się po prostu procentowy udział poszczególnych narodowości. Plac Wolności był w stu procentach żydowski, potem przybywało Polaków, to samo przy Wschodniej i tamtych rejonach, przy Pomorskiej. Im bardziej na południe, tym więcej było Polaków i Niemców, a ubywało Żydów.

A jak wyglądała integracja społeczeństwa żydowskiego z polskim?

Następowała ona przede wszystkim na poziomie gospodarczym. Nieco gorzej to wyglądało na poziomie kulturowym. Działo tu wiele czynników, w tym religijne. W przedwojennych rocznikach statystycznych można zobaczyć, że mieszanych małżeństw polsko-żydowskich było niewiele. Zdarzały się, oczywiście, ale było ich bardzo mało. Jeżeli Żydówka chciała wyjść za Polaka, musiała najczęściej zerwać kontakty ze swoją rodziną. To nie było takie proste. Więc integracja, oczywiście, była, ale odbywała się raczej na poziomie gospodarczym niż towarzyskim.

Czyli nie pili razem na Piotrkowskiej kawy...

Na Piotrkowskiej, w Grand Hotelu, to może jeszcze się napili. Ale już do domów na ogół się nie zapraszali. Tak mi o tym opowiadał Jerzy Grohman, w odniesieniu do środowiska fabrykanckiego. Polacy, Niemcy oczywiście współpracowali z fabrykantami żydowskimi, ale jeśli już chodzi o wizyty w domu, to w zasadzie przyjmowali tylko takich Żydów, którzy z tradycją żydowską nie mieli prawie nic wspólnego. Więc istniał niewidzialny mur, czy też szklany sufit. Myślę, że tak było nie tylko w środowisku fabrykanckim, ale w ogóle w środowiskach mieszczańskich. W mojej rodzinie, która była kupiecka, było kilka małżeństw mieszanych z Niemkami, natomiast nie było żadnego mieszanego małżeństwa z Żydówkami czy z Żydami. Myślę, że wśród trzech łódzkich społeczności były silniejsze związki między Polakami a Niemcami niż między Niemcami a Żydami i Polakami a Żydami.

A jak wyglądała edukacja w tym kontekście?

To jest ciekawa sprawa. Głównym terenem asymilacji czy akulturacji Żydów były szkoły świeckie, co było widać na terenie zaboru austriackiego, gdzie żyło o wiele więcej zasymilowanych Żydów. W Cesarstwie Rosyjskim szkolnictwo elementarne było jednak słabo rozwinięte, te szkoły można policzyć na palcach. Żydzi kształcili się zatem głównie w swoich szkołach religijnych. Wszystko zaczyna zmieniać się dopiero w czasie okupacji niemieckiej w latach 1915-1918, a także później, w okresie międzywojennym. Tyle tylko, że szkoły, które się mieściły na terenie dzielnicy żydowskiej, przyjmowały samych Żydów. Nie dlatego, że taka była polityka, tylko po prostu taki był rejon i nauczyciele też byli w większości pochodzenia żydowskiego. Niewielu było tam Polaków. Oczywiście, i tak dokonywała się tam akulturacja, skoro językiem wykładowym był język polski.

Dzieci, które z domu znały jidysz musiały opanowywać język swoich polskich sąsiadów.

Nie było szkoły, w której był tylko język żydowski?

Istniało kilka szkół, gdzie obok języka polskiego uczono jidysz. Niektóre były organizowane przez partię socjalistyczną Bund, która uważała, że język żydowski powinien być równoprawny. W państwach wielokulturowych walczy się o to, żeby języki powszechnie używane były uznane za oficjalne. No, bo był chociażby taki problem – przychodziły do szkoły państwowej dzieci, które kompletnie nie znały języka polskiego, ponieważ wychowały się w dzielnicy żydowskiej, gdzie mówiło się w jidysz i nie było sąsiadów Polaków. Tacy uczniowie mieli z miejsca trudności w polskiej szkole. Więc bundyści w swoich szkołach zaczęli najpierw uczyć w jidysz i dopiero stopniowo dokładali zajęcia z polskiego. Te szkoły były, niestety, nieliczne. W większości przypadków dzieci żydowskie uczyły się w zwykłych państwowych szkołach, tak zwanych szabasówkach, bo w sobotę nie było tam zajęć. Nieco inaczej było w środowisku burżuazyjnym, bo mieszczaństwo żydowskie mieszało często poza dzielnicą żydowską lub na jej obrzeżach. Ludzie z tego środowiska posyłali często swoje dzieci do szkół miejskich, gdzie były też dzieci polskie i niemieckie. Przykładem jest Miejskie Gimnazjum Męskie, czyli obecne III Liceum Ogólnokształcące. Tak było też w Szkole Techniczno-Przemysłowej przy ulicy Żeromskiego, do której chodził mój ojciec. Miał za kolegów Żydów i Niemców. Oprócz tego było kilka szkół programowo mieszających dzieci żydowskie, polskie i niemieckie, na przykład żeńskie gimnazjum im. Orzeszkowej. Nie bez powodu jej imienia właśnie, ponieważ Orzeszkowa była patronką dialogu polsko-żydowskiego i postulowała otwieranie się społeczeństwa polskiego wobec Żydów. Było też Społeczne Polskie Gimnazjum Męskie przy ulicy Pomorskiej, obecne VIII LO, którego dyrektor Berti Ameisen przyjmował programowo dzieci polskie, żydowskie i niemieckie. Uważał, że to jest właściwe podejście.

W Łodzi przed II wojną światową funkcjonowało ponad 250 synagog. Część z nich mieściła się w prywatnych domach jako małe prywatne bożnice. Czy uchowała się któraś z tamtych synagog do dziś?

Chciałem skorygować, to nie były synagogi, lecz domy modlitwy. Synagoga to już jest osobny budynek, a to były salki modlitewne, gdzie Żydzi odprawiali swoje nabożeństwa. Troszkę jest to inaczej, niż w katolicyzmie. Salki te mieściły się w domach prywatnych, na ogół w zwykłych kamienicach czynszowych.

Najbardziej znanych synagog było siedem. Niestety, zaraz po wejściu nazistów do Łodzi zostały zniszczone, z wyjątkiem tej przy Rewolucji 1905 roku nr 28, w drugim podwórku, do dziś wykorzystywanej przez gminę żydowską. Taki był smutny los większości synagog w Polsce, co jest wielką stratą dla kultury europejskiej.

W publikacji „50 Rocznica Likwidacji Getta Łódzkiego 1944-1994” zawarta jest mapa ulic utworzonego przez nazistów getta. Jest tam między innymi cały Marysin, miejsce mi bliskie, ponieważ tam mieszkam. To straszna świadomość, że na każdym kawałku ziemi wydarzały się koszmarnie zbrodnie wojenne. Co pozostało w łódzkiej przestrzeni po tamtych okrutnych czasach?

Wiele budynków samego getta. Właściwie każdy stary budynek, który jest na tym terenie, był świadkiem tragedii. Można sobie wyobrazić, że tam żyli i ginęli ludzie... Na Starych Bałutach domy są jeszcze i dziś często bez wygód. W getcie ulokowano w każdym z niewielkich na ogół mieszkań po kilka rodzin. Więźniowie getta żyli w niesamowitym zagęszczeniu i bardzo prymitywnych warunkach. Są też takie szczególne domy na terenie getta, jak Kasa Chorych przy ulicy Łagiewnickiej, gdzie mieścił się szpital dziecięcy, z którego w krwawy sposób deportowano pacjentów do Chełmna. Zachowały się także budynki administracji żydowskiej, na przykład wydziału statystycznego, gdzie powstawała słynna Kronika Getta Łódzkiego. Są posterunki gestapo, policji kryminalnej itd., itd. Już poza „dzielnicą zamkniętą”, w Śródmieściu, w stojącej do dziś kamienicy przy ulicy Jaracza 11, mieścił się budynek niemieckiego Zarządu Getta.

Na koniec chciałam zapytać, jakimi uczuciami darzy pan Łódź?

Co tu dużo ukrywać, trochę zazdroszczę miastom o nieco starszej kulturze artystycznej, intelektualnej czy akademickiej. Ale mimo to oczywiście lubię Łódź, ponieważ jest to miasto o bardzo ciekawej historii. Chyba najlepszym dowodem na te moje uczucia jest fakt, że zostałem tutaj, choć miałem okazję, żeby stąd wyjechać.

WYKRZYCZAŁEM TO, CO MNIE BOLAŁO

Rozmowa Piotra Wesołowskiego
(TV TOYA) z Tomaszem Piątkiem,
dziennikarzem, pisarzem, autorem powieści
„Miasto Ł.”

...archipelagi...

Tomasz Pigtek
Miasto Ł.



Piotr Wesołowski: Ile lat mieszkałeś w Łodzi?

Tomasz Piątek: Ponad pięć.

Czy „Miasto Ł.” można traktować jako aluzyjną formę powieści z kluczem? Postacie, które w niej pojawiają się, mogą być bez problemu rozszyfrowane.

Nie, nie można. Postacie w książce mają swoje pierwowzory, ale to nie znaczy, że jest to powieść z kluczem. W powieści z kluczem próbuje się kogoś dokładnie odwzorować, choć się go nie nazywa.

To wyjaśnijmy, o kogo chodzi. T. to pisarz Tomasz Piątek, H. jego ówczesna żona Hanna Gill-Piątek (obecnie posłanka Polski 2050) i jej syn M.

To realne osoby. One były jednak tylko zaczynem. W trakcie pisania postaci bardzo ewoluowały. Nie można w żadnym wypadku uznać, że historia T. to moje życie.

Spotkałeś się z opiniami, że w pewnym sensie jednak opisujesz swoje życie?

Tak. Jednak to był oczywiście tylko punkt wyjścia. Nikt nie miał co do tego wątpliwości.

W recenzjach, szczególnie łódzkich krytyków, było dużo żalu, że w zbyt czarnych barwach malujesz miasto. Zgadzasz się z nimi?

Nie wiem, czy Łódź jest w tej książce źle opisana. To jest powieść o zderzeniu z prawdziwym życiem. Łódź w książce jest prawdziwa.

Może taki patriotyzm łódzki się u wielu odezwał.

Zapewne.

Porównujesz Łódź do Warszawy, która jest bogatsza i nowocześniejsza. Wcześniej mieszkałeś w Mediolanie. W takiej perspektywie ówczesna Łódź była bez szans.

We Włoszech mieszkałem w latach 90-tych ubiegłego wieku. Do Łodzi przyjechałem w 2007 roku.

Chyba wszechobecna bieda najbardziej zabolą łódzkich czytelników.

To był wtedy problem łodzian, którzy wypierali ze świadomości potworną sytuację, w jakiej znajdowało się miasto. Dla mnie to było wstrząsające. Do Łodzi przeprowadziłem się z Warszawy, która nie była jakimś super bogatym miastem, ale przepaść była porażająca.

Klaun, który pojawia się na początku książki, to symbol degradacji części łódzkiej inteligencji, jej przedstawiciele stracili pracę, byli w bezradziejnej i upokarzającej sytuacji. Nawet nie potrafili być już śmieszni. Symbol upadku?

Nie wiem, czy Łódź jest w tej książce źle opisana. To jest powieść o zderzeniu z prawdziwym życiem. Łódź w książce jest prawdziwa.

Nie chodzi tylko o inteligencję. Nie tylko ona traciła pracę. I nie myślałem o symbolu. To była okropna sytuacja z ludzkiego punktu widzenia. Gdy się to zobaczyło, to trudno było „odzobaczyć”.

Stworzyłeś dwa słowa, które zapadły mi głęboko w pamięci. „Bezrobotnik” – żyje z tego, że nie ma pracy?

Tak.

„Pustosz” – to kustosz czegoś, co odchodzi?

Tak. Powoli umiera, przestaje być.

Dużo jest w „Mieście Ł.” alkoholu. I on jest strasznie destrukcyjny dla pojawiających się w książce postaci.

To nie alkohol jest destrukcyjny, tylko alkoholizm.

T. ma olbrzymie problemy z alkoholem, ale walczy z nimi. W czasie, gdy dzieje się akcja powieści, kompletnie nie pije.

Dziesięć procent ludzi choruje na alkoholizm i nie może go przyjmować, chociaż ma olbrzymi popęd do tego. To choroba śmiertelna i niewytłumaczalna dla osób, które z alkoholem nie mają problemu. Ja nie bardzo mogę sobie wyobrazić, jak funkcjonuje osoba nieuzależniona, a ona nie bardzo, jak ja. Może książka jest dobrym sposobem, żeby pokazać życie osób uzależnionych od alkoholu. Dzięki książce ci, którzy nie mają z nim problemu, zyskują jakiś wgląd w ten świat.

Cytat z „Miasta Ł.” Smutny: „Mężczyźni albo nie żyją, albo się rozwiedli, albo są na robotach w Irlandii”. Akcja powieści to okolice roku 2010



roku. Nie ma dla mężczyzn nadziei, żadnych szans.

Nie sędzę, żeby to była ich wina. Problem w tym, że nędza jest złą wychowawczynią.

Poza tym nikt nie ma pomysłu jak wychowywać mężczyzn. Choć nie, jest pisarz z Łodzi, który wie, jak to robić.

„Wiedźmin” jest dobrym wzorem dla mężczyzny. Odpowiada na wiele męskich potrzeb i męskich lęków. Dlatego się tak spodobał. Szkoda tylko, że ludzie „Wiedźmina” czytają, oglądają, grają w niego, ale on sam nie stał się modelem.

Andrzej Sapkowski?

Tak. Odniósł ogromny sukces, bo jego *Wiedźmin* jest dobrym wzorem dla mężczyzny. Odpowiada na wiele męskich potrzeb i męskich lęków. Dlatego się tak spodobał. Szkoda tylko, że ludzie „Wiedźmina” czytają, oglądają, grają w niego, ale on sam nie stał się modelem.

W „Mieście Ł.” nie spotkałem żadnego fajnego faceta. Za to jest mnóstwo fajnych zwierząt. Psy i koty są sympatyczniejsze od ludzi?

Ogólnie zwierzęta są mniej szkodliwe niż ludzie. Jak się patrzy na to, co dzieje się w polskich rzekach, to można być pewnym, że żaden szczupak nie zrobił takiej rzezi rybek, jak zanieczyszczenie i ścieki, za które odpowiadają ludzie.

Przeglądałem się geografii literackiej w twojej powieści. Przede wszystkim to kamienica przy Tuwima i sama ulica. To świadomy zabieg, żeby tak ograniczyć przestrzeń?

Tak. To było odzwierciedlenie stanu, w jakim wtedy żyłem. Podwórko na Tuwima było potworne, a obok były jeszcze setki podobnych podwórek. I to już było dla mnie za dużo. Za dużo, żeby nawet o tym myśleć. Starałem się koncentrować na tym, co było najbliższe, bo gdybym myślał o większym terenie, to byłoby zbyt przytłaczające. Umysł tak się broni. Nie wiem, jak jest teraz, musiałbym trochę w Łodzi pobyc, żeby ocenić. Jak tu ostatnio byłem, to zauważyłem, że w mieście pojawiło się trochę pieniędzy, inwestycji.

**W małej części, jednak wi-
docznej, książka jest także
poradnikiem kulinarnym.
Świadomy zabieg, czy tak
po prostu wyszło pod-
czas pisania?**

Ja po prostu wtedy uciekłem w gotowanie. Siedziałem w domu, pisałem książki, sprzątałem, pilnowa-
łem, żeby dziecko odrabiało lekcje i gotowałem. Moja żona jeździła do pracy do Zduńskiej Woli. „Miasto Ł.” to nie była książka, która powstawała według jakiegoś planu.

Zazwyczaj go masz?

Tak. Przeważnie mam jakiś plan, jak zaczynam pisanie książki. Potem się jednak okazuje, że ona się rozwija niezależnie od planu. W wypadku „Miasta Ł.” żadnego planu nie było. Wykrzychałem to, co mnie bolało.

***Przeważnie mam jakiś plan, jak
zaczynam pisanie książki. Potem się
jednak okazuje, że ona się rozwija
niezależnie od planu. W wypadku
„Miasta Ł.” żadnego planu nie było.
Wykrzychałem to, co mnie bolało.***

Jak się krzyczy, to trudno mówić o planie. Decydują emocje. Przecież nie-naturalne byłoby planowanie krzyku. W pewnym momencie w kamienicy zostali tylko główni bohaterowie książki, inni wyjechali, bo rozpoczęła się rewitalizacja. To ma być metafora Łodzi?

Wtedy się bardzo dużo mówiło o rewitalizacji. W mojej ocenie była robiona dziwnie. Przyłazili deweloperzy, którzy chcieli przejąć kamienice. Obiecywali jakieś mieszkania zastępcze i pieniądze w zamian za to, że ktoś się wyniesie. Podpalali też niektóre kamienice, żeby stamtąd ludzi wykurzyć. Działy się rzeczy straszne i tragiczne. Na szczęście w kamienicy, w której mieszkałem, rewitalizacja została, dzięki mojej byłej żonie, przeprowadzona po ludzku. Lokatorzy pozostali na miejscu, podwórko ożyło, stało się bez wątpienia ładniejsze.

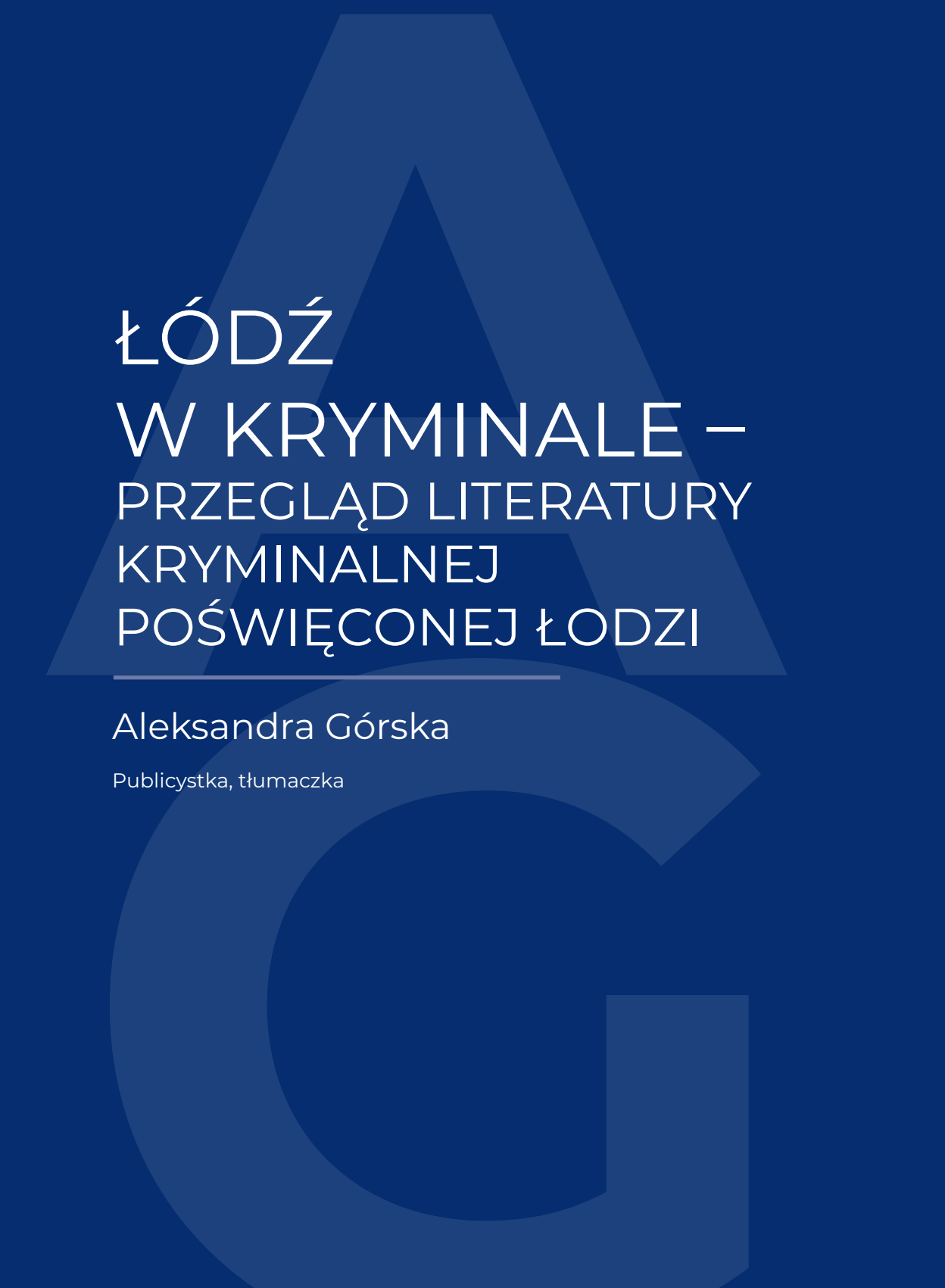
Czy ktoś ze znajomych, szczególnie łódzkich, obraził się na ciebie, albo zerwał kontakty po przeczytaniu „Miasta Ł.”?

Nie. A pewien łódzki teatr wystawił jej adaptację*.

Dla mnie, chociaż tytuł by to sugerował, to nie jest przede wszystkim powieść o Łodzi. To historia sfrustrowanego faceta, z wieloma problemami, a Łódź jest tłem.

– Chodzi i o Łódź, i o tego faceta. To powieść o zderzeniu.

* Premiera spektaklu „Miasto Ł.” odbyła się 3 lipca 2014 roku w Teatrze Zamiat w Widzewskiej Manufakturze (reżyseria – Magdalena Drab)



ŁÓDŹ W KRYMINALE – PRZEGLĄD LITERATURY KRYMINALNEJ POŚWIĘCONEJ ŁODZI

Aleksandra Górska

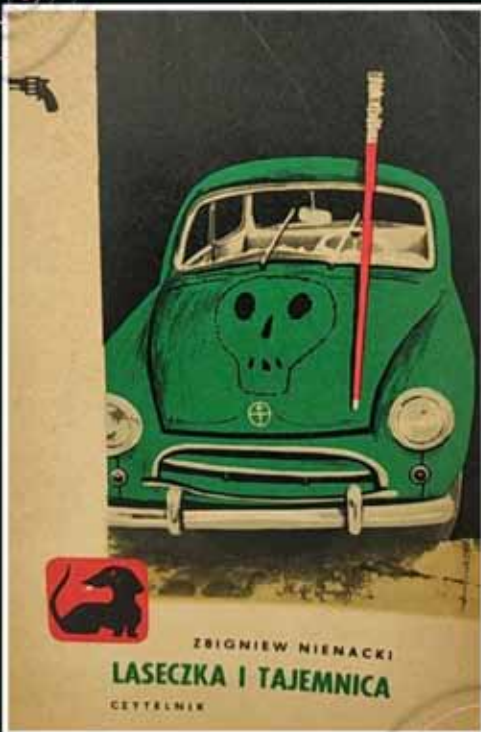
Publicystka, tłumaczka

ANDRZEJ
MAKOWIECKI
PIĘĆDZIESIĄT
MELONÓW



JERZY URBANKIEWICZ

**PRAWIE
PITAVAL**



ZBIGNIEW NIENACKI
LASECZKA I TAJEMNICA
CZYTELNIK

Pokażcie mi kogoś, bez względu na płeć, kto nie znosi kryminałów, a powiem wam, że to dureń, może nawet nie pozbawiony jakiegś tam inteligencji, ale dureń ponad wszelką wątpliwość.

Raymond Chandler, „Mówi Chandler”

Raport Biblioteki Narodowej z 2022 jasno pokazuje, że bez względu na wykształcenie, wykonywany zawód czy pozycję społeczną Polacy najchętniej sięgają po powieści sensacyjno-kryminalne. Mimo kręcenia nosem literackich purystów na ten bardzo szeroki gatunek, ludzie wiedzą swoje i blisko jedna czwarta czytelniczych wyborów nad Wisłą mieści się właśnie w tej klamrze. Popularny kryminał zdetronizował romans, zostawił też w tyle fantasy i literaturę faktu i wydaje się, że na długo zagości na najwyższym podium.

Ten rozkwit popularności gatunku nie ominął także Łodzi, która coraz częściej staje się miejscem akcji powieści kryminalnych i sensacyjnych wychodzących spod pióra autorów i lokalnych, i – co ciekawsze – niezwiązanych z miastem. To zresztą także wpisuje się w trend: dziś każde większe miasto, a także garść co bardziej ambitnych mniejszych, chce być bohaterem takiej powieści, najlepiej zaś powieściowego cyklu. Dobrze napisany może przysłużyć się jego promocji bardziej niż zaszkodzić mu może kryminalne odium, zwłaszcza jeśli jest fikcją lub sprawą odległej przeszłości.

Łódź zaś – z ciekawą historią, trudną przeszłością „złego miasta”, wyrazistymi kontrastami i specyficznym charakterem oraz kolorytem – może wydawać się niektórym scenerią wprost na kryminał idealną: „Jak odstrzelić łeb politykowi, to tylko w Łodzi. Dzieci zapeklować w beczkach albo podusić jak koty na złość swojej ślubnej – proszę bardzo! Dobić chorego zastrzykiem, zamiast go ratować, żeby zakład pogrzebowy miał zarobek – oczywiście, zapraszamy do nas!” – tak tę literacką kryminalną predyspozycję Łodzi wyklada postać jednej z powieści¹, w kontrze założeniom mistrzyni gatunku, Agathy Christie, która twierdziła, że to absurdałne ustanawiać akcję powieści kryminalnej w mieście, które samo w sobie jest powieścią kryminalną. (Dla jasności: nie miała na myśli Łodzi).

¹ Krzysztof Beśka, „Trzeci brzeg Styksu”, wyd. Rebis, 2012

NIE JEST JEDNAK TAK, ŻE TO ZUPEŁNIE NOWO ODKRYTY POTENCJAŁ NASZEGO MIASTA

Wątek sensacyjno-dochodzeniowy pojawia się już w pierwszej powieści poświęconej naszemu miastu – „Wśród kłakolu” Walerii Marene-Morzkowskiej, w której protagonista – młody lekarz zamiast badać wpływ przemysłu na mieszkańców miasta, oddaje się prywatnemu śledztwu, które ostatecznie dowiedzie udziału łódzkiego fabrykanta niemieckiego pochodzenia w doprowadzeniu do bankructwa polskiego ziemianina.

Łódź może nadto poszczycić się bardzo bogatym dorobkiem kryminalno-awanturniczych powieści zeszytowych i odcinkowych drukowanych w prasie okresu międzywojnia: „Szatan Łodzi. Powieść awanturniczo-obyczajowa z życia łódzkiego (1923/1924), „Szczury Łodzi. Powieść sensacyjno-kryminalna z życia łódzkiego” (1925), „Wampiry Bałut. Romans awanturniczo-erotyczny osnuty na tle zdarzeń prawdziwych” (1925/1926), „Demon „Czarnej willi”. Powieść sensacyjno-erotyczna z życia Łodzi” (1926), „Czerwona garsoniera” (1926), „Dama w czarnym dominie. Zagadka psychologiczno-kryminalna”, „Tajemnica hotelu Imperial.

Łódzki romans kryminalny” (1927) (Julian Starski), „Tajemnica łódzkiego cmentarza. Sensacyjny romans z życia Łodzi” (1925, Julian Starski i Helena Ordeżanka), „Złota Mańka. Kryminalny romans kinematograficzny” (Jerzy Rzęcki, 1925), „W podziemiach Starego Miasta. Awantur

turniczny romans łódzki osnuty na tle zdarzeń prawdziwych” (Stefan Brzeg, 1926) „Pałac sześciu duchów” (Jerzy Bolski, 1926). To krótkie zestawienie tytułów daje jednocześnie wyobrażenie o treści i charakterze opatrzonych nimi utworów: porwania, handel żywym towarem, porachunki osobiste na tle miłosnego zawodu, zabójstwa fa-

Przykładano wagę do autentyzmu realiów topograficznych i obyczajowych, penetrując i zestawiając kontrastowo środowisko fabrykanckiej elity ze społecznymi nizinami i marginesem.

brykantów. Ich akcja rozgrywała się, co do zasady, zawsze współcześnie, często stanowiła przynajmniej w części beletryzację wiadomości z kolumn informacyjnych pisma, dzięki czemu prawie w każdym z utworów występowała literacka wersja wydarzeń lokalnych. W roli obrońców sprawiedliwości często stawiano dziennikarzy i reporterów łódzkiej prasy codziennej, prywatnych detektywów, bywało, że zagranicznych, robotników i rzeźmieszków, rzadziej – co znamienne – funkcjonariuszy policji i urzędników. Przykładano wagę do autentyzmu realiów topograficznych i obyczajowych, penetrując i zestawiając kontrastowo środowisko fabrykanckiej elity ze społecznymi nizinami i marginesem. Opisywane historie podlewano obficie sosem erotycznym, bywało, że pornograficznym, co rusz epatując opisami zwyrodnień, zgubnych skutków promiskuityzmu i perwersji, oczywiście, w celu nie tyle moralizatorsko-dydaktycznym, co zwabienia czytelników żadnych skandalizujących treści. Wszystko to czyni z tych produkcji kolorowy portret obyczajowy miasta, ciekawe źródło historyczne i z zakresu dziejów miejskiego folkloru. Z myślą o odbiorcach stawiających obraz nad słowem na łamach „Expressu Wieczornego Ilustrowanego” pojawiały się także krótkie historie rysunkowe o tematyce kryminalnej pod przemawiającymi do wyobraźni tytułami: „Od łyżeczka do rzemyczka”, „Od grosiczka do stryczka”, „Niedziela na Bałutach. Epopeja doliniarska w dziesięciu epizodach”². Niestety, Łódź w międzywojniu nie doczekała się autora na miarę Dołęgi-Mostowicza ani powieści z nurtu sensacyjno-kryminalnego wychodzących poza schematyzm fabularny odcinkowej i zeszytowej literatury wagonowej. Niewątpliwie twórcą najbardziej płodnym był Julian (właściwie Ludwik) Starski, dziennikarz i redaktor koncernu prasowego Republika, wydawcy „Expressu Ilustrowanego Wieczornego”, który karierę autora brukowych produkcyjniaków łączył udanie z pracą scenarzysty filmowego, twórcy piosenek i skeczów kabaretowych, a po wojnie wniósł ogromny wkład w rozwój polskiej kinematografii jako autor scenariuszy do takich filmów jak: „Zakazane piosenki”, „Skarb”, „Hallo Szpicbródka”. Jego przedwojenna twórczość gazetowa nie odbiegała jednak poziomem – niewygórowanym – od reszty tego typu utworów publikowanych masowo. Dzieła te jednak cieszyły się ogromną popularnością, nie tylko zresztą wśród „wielkich nieumytych”, ale także odbiorców bardziej wymagających. Julian Tuwim przyznawał otwarcie, że sam przeszedł „odrę detektywistyczną”, zaczytując się w powieściach zeszytowych³.

2 M. Krzepakowski, Ze wspomnień dziennikarza, [w:] *Moja droga ck dziennikarstwa. Wspomnienia dziennikarzy z okresu międzywojennego*. Seria: Materiały i Studia do Historii Prasy i Czasopiśmiennictwa Polskiego, Warszawa 1974, z. 19, s. 172–173. Oskar Stanisław Czarnik, *Literatura w prasie codziennej. Wzorce fabularne sensacyjnych powieści w odcinkach z lat 1918–26*.

3 J. Tuwim, *Książki, Chopin i Inowódz (1936–1911 = XXV)* [w:] *Tam zostałem. Wspomnienia młodości*, red. T. Januszewski, Czytelnik, Warszawa 2003, s. 62.

PO WOJNIE DO ŚWIATA LITERATURY KRYMINALNEJ PRZYWRÓCIŁ ŁÓDŹ JEJ SYN – ZBIGNIEW NIENACKI

(właśc. Zbigniew Tomasz Nowicki), który w przerwach między pisanem kolejnych części swojego kultowego parakryminalnego cyklu dla młodzieży z Panem Samochodzikiem, napisał „Laseczkę i tajemnicę”. Opublikowana w 1963 roku rasowa powieść kryminalna przenosi nas w świat Łodzi lat 60-tych XX wieku. Tamże dziennikarz z zawodu, z przypadku detektyw-amator, usiłując wyjaśnić zagadkę zakupionej w Desie tytułowej laseczki, wikła się w historię kryminalną sięgającą korzeniami przełomu wieków i okraszoną sówicami trupami (także tymi w szafie), a przy okazji przeżywa sercowe rozterki. W tym samym roku w odcinkach na łamach „Głosu Robotniczego” ukazuje się „Wąż morski” – inna powieść kryminalna Nienackiego, z tym samym protagonistą – dziennikarzem Henrykiem podążającym tropem kolejnej zbrodni. Akcja rozgrywa się w Łodzi i Piotrkowie Trybunalskim, jednak samo dzieło nie jest najbardziej udanym w dorobku pisarza i nigdy nie doczekało się publikacji książkowej.

Wcześniejsza „Laseczka” przeciwnie – ukazała się w kultowej serii „Z jamnikiem”, jednej z trzech (obok Srebrnego Kluczyka i Labiryntu) publikujących powieści kryminalne i milicyjne doby PRL, które zresztą osiągały imponujące jak na dzisiejsze czasy nakłady dochodzące nawet do 500 tysięcy egzemplarzy. Jednak mimo masowości produkcji, relatywnie rzadko ich akcja rozgrywa się w Łodzi, na wzór powieści zachodnich sytuowano ją najczęściej w stolicy, czasem w Krakowie lub kurortach – morskich, górskich i mazurskich. Łódź, jeśli się już w nich pojawia, to głównie migawkowo, jak np. w „Królownie” Andrzeja Piwowarczuka z 1956 roku. Jest wszakże kilka wyjątków, w tej liczbie pochodzący z 1989 roku, a więc okresu zmierzchu powieści milicyjnej, utwór Jacka Wołoskiego „Uwaga wszystkie radiowozy”. Akcja toczy się w Łodzi, mamy tu bandycki napad na „Centralny Dom Towarowy” i rabunek ponad trzech milionów złotych, porwanie milicyjnego radiowozu, morderczy pościg, a w tle spekulacje i handel dewizami. Równolegle do tych milicyjnych produkcyjniaków ukazują się powieści ambitniejsze z wątkami kryminalnymi w tle. Tu warto przypomnieć zwłaszcza twórczość Tadeusza Papiera z lat 60–70-tych XX wieku wyróżnionego Nagrodą Miasta Łodzi za całokształt twórczości. „Magdalena w nocy” (1962) przedstawia losy nastolatki z dysfunkcyjnej, jak byśmy dziś powiedzieli, rodziny, która na gigancie wikła się w środowisko marginesu społecznego. Ponad 10 lat później ukazuje się „Diablica z Mediolanu”, powieść detektywistyczno-szpiegowska (wyd. 1975) mocno osadzona w realiach łódzkich. Utwory, te

choć nie wpisywały się w schemat powieści milicyjnej, nie przetrwały próby czasu, stanowią jednak ciekawy portret obyczajowy Łodzi i społeczeństwa doby PRL, także języka. „Przy Więckowskiego wysiedliśmy i, pan nie uwierzy, wpadliśmy wprost na chłopaków, już na nas czekali. Wzięli taksówkę, cały czas jechali za tramwajem. Pojedynczo Boruta by się z nimi rozprawił, ale trzech ich było. (...) Długi i Narcyz trzymali go za ręce, a Czesiek gorątkowo szukał po kieszeniach. – Oddaj forszę, draniu – mówił – oddaj forszę, bo marmolada z ciebie. – Jak Boga kocham, nie mam”⁴.

Wydana w 1998 roku „Ballada o Ślepym Maksie” Arnolda Mostowicza zapoczątkowuje literacką eksplorację tematu Menachema Borsztajna, szefa łódzkiej dintojry, Janosika z Bałut, odkrywając jednocześnie dla beletrystyki kryminalnej potencjał łódzkich dziejów.

OKRES PRL NIE WYKREOWAŁ Z ŁODZI ISTOTNEGO OŚRODKA NA MAPIE POLSKIEJ POWIEŚCI KRYMINALNEJ I SENSACYJNEJ.

Zmiany w tym zakresie zaczęły się pojawiać dopiero po transformacji 1989 roku, choć był to proces rozłożony w czasie. W 1990 roku Andrzej Makowiecki, autor na wskroś łódzki i zakochany w Łodzi, publikuje „Pięćdziesiąt melonów” – kryminalny dramat osadzony w realiach Łodzi czasu przełomu ustrojowego. Mamy tu galerię ciekawych postaci, ciekawe tło obyczajowe i tytułowe 50 milionów zrabowane podczas napadu na bank, który skądinąd naprawdę się wydarzył. W tym samym roku ukazują się „Szczury ze złego miasta” Jacka Indelaka – sugestywny portret półświatka łódzkiego międzywojnia. Wydana w 1998 roku „Ballada o Ślepym Maksie” Arnolda Mostowicza zapoczątkowuje literacką eksplorację tematu Menachema Borsztajna, szefa łódzkiej dintojry, Jano-

4 Tadeusz Papier, „Magdalena w nocy”, 1962

sika z Bałut, odkrywając jednocześnie dla beletrystyki kryminalnej potencjał łódzkich dziejów. Do postaci Maksa powracać później będą także inni autorzy: Piotrowski, Wolański, wspomniany Indelak i Lewandowski. Ten ostatni wprowadził Łódź w świat retrokryminu, odmiany, której rozwój i niezwykła popularność polska literatura zawdzięcza twórczości Marka Krajewskiego i Marcina Wrońskiego. W 2009 roku Lewandowski w czwartej części cyklu o komisarzu Drwęckim – „Perkalowy dybuk” – wysyłając śledczego na występy gościnne do Łodzi, przywołuje jej wielonarodowy charakter i całą plejadę postaci historycznych: od Tuwima po Ślepego Maksa właśnie. Z kolei Łódź przełomu XIX i XX wieku wziął na warsztat Krzysztof Beśka, który poświęcił jej swoją trylogię o detektywie Bergu. W trzech kolejnych częściach cyklu – „Trzeci brzeg Styksu” (2012), „Pozdrowienia z Londynu” (2014) i „Dolina popiołów” (2016) – sympatyczny, cokolwiek dandysowaty prywatny detektyw i miłośnik sztuki wyjaśnia, kto porwał syna łódzkiego fabrykanta, kto jest łódzkim Kubą Rozpruwaczem i dlaczego płoną podłódzkie dwory. Miasto jest w książkach Beśki bohaterem pierwszoplanowym: mamy tu pieczołowicie oddaną topografię, a także wielonarodowy klimat Łodzi w okresie jej największego rozkwitu i udany portret różnych grup społecznych wraz z galerią barwnych typów osobowościowych, a wszystko to rzucone na panoramę łódzkich dziejów. Zarówno czytelnicy, jak i krytycy podkreślają zgodnie, że właśnie sugestywny portret miasta jest szczególnie dużym atutem trylogii, co ciekawe – autora niepochodzącego z Łodzi. Niedawno z czasem i obrazem „złego miasta” zmierzyć się postanowił łódzianin Marcin Andrzejewski w kryminale osnutym wokół autentycznych wydarzeń rozgrywających się w rewolucyjnej Łodzi. Inni łódzcy autorzy sięgać będą po nowsze dzieje: Andrzej Bart pochyla się nad miastem doby okupacji („Śmierć głośna, śmierć cicha”, 2021), Andrzej Kwietniewski w dużo wcześniejszym rasowym kryminale „Blondynka z miasta Łodzi” (2008) przywołuje obraz Łodzi wczesnych lat siedemdziesiątych i początku XX wieku, Sylwia Gillis kreuje kryminalną opowieść wokół prawdziwych wydarzeń początku lat 80-tych. Wreszcie Piotr Sowiński osadza akcję swoich czarnych kryminałów w powojennej Łodzi przełomu marcowego („Marcowo”), stanu wojennego („Mecz o życie”), połowy lat osiemdziesiątych („Najniższy krąg piekieł”) czy początku lat dziewięćdziesiątych („Łowcy”), czerpiąc z autentycznych wydarzeń (m.in. afera łowców skór), wiernie oddając tło społeczne i obyczajowe oraz łódzką specyfikę, w tym tradycje piłkarskie. Wraz z modą na kryminał następuje także wysyp takich powieści rozgrywających się w łódzkich realiach współczesnych, ponownie zapoczątkowany przez dwie autorki niezwiązane z Łodzią – mowa

oczywiście o Katarzynie Bondzie i jej głośnych „Lampionach” oraz „Niebezpiecznej grze” Joanny Opiat-Bojarskiej. Sukces zwłaszcza tej pierwszej ośmielił łódzkich twórców. Czytelnik może przebierać w całych cyklach z dreszczykiem rozgrywających się w mieście Tuwima: mamy „Czarodziejkę”(2017), „Ogrodnika” i „Bigamistę” Agnieszki Płoszaj, „Osadzonego”, „Poryw” i „Spektakl” Kingi Wójcik, „Fazę REM”, „Panaceum” i „Efekt pominięcia” Agnieszki Sudomir w jej cyklu Ziemia Obiecana z komisarzem Blattnerem, mamy wreszcie łódzką trylogię kryminalną Krzysztofa Domaradzkiego („Detoks”, „Trans”, „Reset”). Do tego dochodzi warta uwagi twórczość Macieja Kaźmierczaka („Martwy ptak”, „Nikt”), udane debiuty nowych autorów (np. „Odwyk” Macieja Widderskiego), wreszcie ciekawe propozycje tych uznanych, jak np. „Szepoty zza grobu” Andrzeja Makowieckiego.

Wraz z modą na kryminał następuje także wysyp takich powieści rozgrywających się w łódzkich realiach współczesnych, ponownie zapoczątkowany przez dwie autorki niezwiązane z Łodzią – mowa oczywiście o Katarzynie Bondzie i jej głośnych „Lampionach” oraz „Niebezpiecznej grze” Joanny Opiat-Bojarskiej.

KRYMINALNIE MIŁOŚNICY ŁODZI MAJĄ ZATEM W CZYM WYBIERAĆ.

Czy i które z tych pozycji przejdą do kanonu, czy Łódź doczeka się wreszcie swojego Chandlera, dopiero się okaże. A jaki obraz miasta wyłania się z tego bogactwa? Ano, ponury. Większość autorów, zwłaszcza sytuujących akcję współcześnie, lubuje się w stylu nader noir i z upodobaniem eksploruje ciemne strony Łodzi, stroniąc od tych jasnych jak diabeł od święconej wody. Drogą prostych asocjacji makabryczne zbrodnie rzutują na równie mroczne, odpychające tło społeczne, a nawet architektoniczne, tym samym odzierając Łódź z jej różnorodności i kontrastów, które składają się na jej tożsamość. Nie umniejsza to jednak pietyzmu, jeśli idzie o oddanie topograficznych szczegółów i miłośnicy śledzenia lokacji współczesnych oraz historycznych mogą czuć

się usatysfakcjonowani. Szczególnie dobrze oddane jest „życie knajpiane” Łodzi różnych okresów (m.in. Esplanada, Łódź Kaliska, Lovre, Staromiejska, a nawet efemeryczny InsektBar) oraz jej zakazane rewiry: Wschodnia, Targowa, Nawrot (zdaniem Makowieckiego najbardziej kryminogenny punkt Łodzi), a przede wszystkim Bałuty, także te historyczne, które Mostowicz określa „ściekami Łodzi”, gdzie „ludzie jak wilki... tam i w dzień lepiej iść w kilku” („Wśród kąkol” W. Marene-Morzkowska).

Na koniec jest też i gratka dla miłośników zbrodni w ujęciu faktograficzno-publicystycznym: „Prawie pitawał” Jerzego Urbankiewicza (1973), opisujący poza głośnymi procesami międzywojnia i okresu powojennego (zabójstwo prezydenta Łodzi Cynarskiego, sprawa Łaniuchy, wampir z Gałkówka) sprawy, które nigdy do sądu nie trafiły albo dotyczyły nie zbrodni, a np. przemytu dzieł sztuki. W 2017 roku ukazał się „Pitawał łódzki. Głośne procesy karne od początku XX wieku do wybuchu II wojny światowej” Justyny Badziak i Kazimierza Badziaka – pierwsze kompleksowe opracowanie o charakterze pitawału zawierające opis trzynastu procesów karnych z pierwszej połowy XX wieku - od zabójstwa fabrykanta Juliusza Kunitzera (1905 r.) do sprawy Marii Zajdłowej (1938 r.).

Słowem, jakby powiedziała Joanna Chmielewska: im dalej w las, tym większy kryminał.

Milej lektury!



SPACERY NIE TYLKO Z ŁÓDZKIMI SPACEROWNIKAMI

Piotr Wesołowski

TV TOYA

RYSZARD BONISŁAWSKI



Łódź Juliana TUWIMA

ŁÓDZKIE KORZENIE POETY



OWA STUDZIEN "ARTEZYJSKICH"
MIECYSŁAW **BARSKI** JUV.
HYDROTECHNIK
ŁÓDŹ, KILIŃSKIEGO 195
TEL. 212 - 25.

PLIHALSKA

ka Wyrabów Trykotowych i Działanych

Łódź, ul. Krzemieniecka Nr. 10

Telefon: 214-30, 214-30, 217-48

Fabryka ogólnego Biela i. Kartona.

WADIA, WERNY, AKTAMIYY

Z MATERIAŁY MĘSKIE

Żerzy Restel

ŁÓDŹ: UL. PIOTRKOWSKA Nr. 103

KLISZE FOTO-LITRA

W SEKTORZE DRUKU
CENOWYCH PROJEKTÓW
WYKONAWCZYM I WYKONANIEM
WYKONAWCZYM I WYKONANIEM
WYKONAWCZYM I WYKONANIEM

102
OFFSET
i LITOGRAFIE

"STRAŻ NOCNA"

i Województwa łódzkiego
z informatorami

Warszawy
Kielecki
Poznański
z m. Gd



Mam dużą bibliotekę. Prawie osiem tysięcy książek. Wśród nich ponad 200, które w jakiś sposób dotyczą Łodzi. Po niektóre sięgam tylko, żeby je odkurzyć. Ale są takie, do których zaglądam bardzo często. Przypominam sobie wtedy wiele osób, zdarzeń i miejsc. I nie są to książki, które spełniałyby wymogi kanonu. Inne są te książki.

Na regałach z książkami o Łodzi literatura wysoka miesza się z rozrywkową, a podręczniki naukowe z popularnymi leksykonami. I jeszcze są albumy.

Najbardziej lubię takie nieoczywiste książki o Łodzi, które są quasi przewodnikami po mieście. Nic nie ujmując oczywiście „Ziemi obiecanej” czy „Kwiatom polskim”.

SZEMATYZM MIASTA ŁODZI

Po poprzednim właścicielu mojego mieszkania odziedziczyłem „Księgę adresową Miasta Łodzi. Rocznik 1937–1939”. Pięknie wydana, prawie niezniszczona. Sięgam po nią kilka razy w tygodniu nie tylko dlatego, że leży najbliżej biurka. Dlaczego zatem to robię? Na przykład, żeby sprawdzić, czy ktoś o nazwisku Zdanowska lub Zdanowski prowadził w Łodzi interesy lub sprawował jakąś ważną funkcję tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Zainteresowanych informuję, że były dwie takie osoby.

W „Księdze adresowej” jest mnóstwo nazwisk, których niestety już w Łodzi nie spotkamy. Tylko na pierwszej stronie wśród 120 osób najwięcej jest obywateli o nazwiskach takich jak Abbe (na przykład Aron Hersz był krawcem i mieszkał przy Brzezińskiej 25), Abersztejn (11 osób – Juda był grawerem i mieszkał przy Południowej, a sklepikarz Chaum-Herz przy Wolborskiej 10), Abfajer (Jankiel Icek był urzędnikiem z ulicy Pomorskiej 163), Abramowicz (ponad 100 nazwisk, Manes był kupcem i mieszkał przy Piotrkowskiej 141). Często jeżdżę rowerem po Łodzi z zapisanymi adresami i sprawdzam, czy domy lub kamienice, w których mieszkali, nadal istnieją.

Szukam też wymienionych w „Szematyzmie miasta Łodzi” adresów instytucji, których w większości już nie ma. Nie ma już żadnej z przedwojennych redakcji czasopism. Spośród czterdziestu tylko połowa ukazywała się po polsku.

Oryginalne są ich reklamy. Współczesne w konfrontacji z nimi rażą schematyzmem i zupełnym brakiem fantazji. „Kurjer Łódzki”, który miał redakcję przy ulicy Żwirki 2, tak się sam przedstawia: *Bezkonkurencyjny organ ogłoszeniowy bogato i w kolorach ilustrowany, odznaczony medalem srebrnym PWK za wysoki poziom kulturalny i zasługi historyczne. Egzystuje od 1899 roku.* Przepyszne.

Z lektury „Księgi adresowej” dowiedziałem się, że konsulatów było wtedy w Łodzi więcej niż teraz. Większość państw Europy, ale przy Piotrkowskiej 285 urzędował konsul Urugwaju. Magistrat znajdował się przy alei Kościuszki 12. Ciekawe, ilu łodzian o tym wie?

Szkół powszechnych było 162, a prywatnych 114. Wśród nich tak różne jak Jesodej Hatora nr 31 przy Głównej 31 i Niemieckie Stowarzyszenie Realno Gimnazjalne, szkoła żeńska przy Kościuszki 65 (po latach studiowałem tam polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim).

BAEDEKER? OCZYWIŚCIE

„Przewodnik literacki po Łodzi” Katarzyny Badowskiej i Karoliny Kołodziej to kolejna moja ulubiona książka z Łodzią jako głównym bohaterem. Z Katarzyną pracowałem w Gazecie Wyborczej i widziałem, jak przygotowywała się do pisanja przewodnika.

Autorki pytają, czy literatura piękna może pełnić rolę baedekera. Odpowiedź jest jednoznaczna – oczywiście. Skoro po Paryżu wędruje się śladami bohaterów Balzaca (choć teraz jest to chyba częściej „Kod Leonarda da Vinci” Dana Browna), a Londyn poznaje się z kieszonkowych wydań powieści Dickensa.

Pamiętając sentencje pisarza Tadeusza Chróścielewskiego, że *Są miasta z baedekera i miasta nie z baedekera. Te pierwsze fotogeniczne i dające szybko miłe złudzenie poznania. Łódź trzeba poznawać długo, z wielkim szacunkiem odnosząc się do pracy autorek „Przewodnika”.*

Badowska i Kołodziej przekonują, że gdyby – niczym w filmach kryminalnych – szpilkami pozaznaczać na planie miasta punkty znane z dzieł bądź powiązane z biografiami twórców, powstałaby zadziwiająca gęsta sieć. Łebki od szpilek upstrzyłyby każdą z dzielnic. W przewodniku jest wspomnianych ponad 100 książek prozatorskich, których akcja choć w części rozgrywa się w Łodzi. A przecież do tego dochodzą wiersze oraz wspomnienia o twórcach i wydarzeniach.

Z „Przewodnika literackiego po Łodzi” można dowiedzieć się, kim był wampir z Bałut, który łódzki budynek Katarzyna Bonda nazwała „brudasem”, kto porównał rzeźby na pałacu Poznańskiego do strachów na wróble oraz która ulica jest najbardziej kryminogenna.

Książka jest bogato udokumentowana cytatai, anegdotami, fotografiami oraz okładkami książek i ich autorów. I co dla miłośników literatury jest bardzo

istotne, pisarze i wydarzenia mają wyodrębnione graficznie fragmenty. Czasami to postacie już zapomniane jak Marian Gawlewicz, dramatopisarz i powieściopisarz, który na początku ubiegłego wieku był dyrektorem Teatru Wielkiego w Łodzi i partnerem Gabrieli Zapolskiej.

Przyznam się, że przed lekturą „Przewodnika” nic o nim nie wiedziałem, a Gawlewicz poświęcił Łodzi dwie powieści „Bez celu” i „Wir”.

Z wydarzeń ważnych dla miasta najczęściej przypomniana jest Rewolucja z 1905 roku. Od „Dziejów jednego pocisku” Andrzeja Struga (tego od ulicy) po współczesne „Rien ne va plus” Andrzeja Barta.

Z „Przewodnika literackiego po Łodzi” można dowiedzieć się, kim był wampir z Bałut, który łódzki budynek Katarzyna Bonda nazwała „brudasem”, kto porównał rzeźby na pałacu Poznańskiego do strachów na wróble oraz która ulica jest najbardziej kryminogenna.

Jeden z moich najbardziej ulubionych seriali „Daleko od szosy” miał także swój literacki pierwowzór. Leszek Górecki krąży po całej Łodzi i okolicach, bo bohater jest kierowcą autobusu. Pierwszego sylwestra spędził razem z Anią w klubie „Siódemki”. Ja też tam bawiłem się w noc sylwestrową tylko, że 30 lat później.

Wśród miejsc opisywanych przez pisarzy króluje oczywiście Piotrkowska. I co dla mnie jest szczególne miłe, to na tej ulicy pojawia się postać dziennikarza, który przypomina mnie do złudzenia. W literacką postać zamienił mnie Maciej Świerkocki w „Ziemi obiecanej raz jeszcze”.

Poza Piotrkowską, której poświęcono prawie jedną trzecią książki, najważniejsze literackie miejsca Łodzi to m.in. ulice Kościuszki, Narutowicza (tropem sensacji i kryminałów), Włókien-

Przed laty często zaglądałem do wypożyczalni książek przy ulicy Andrzeja Struga 5. Z pracy Bonisławskiego dowiedziałem się, że wypożyczał w niej książki także Julian Tuwim.

nicza (ulica meneli?), Bałuty (wampiryczne, arkadyjskie), Las Łagiewnicki (krasnoludki, upiory, jarmarki).

Doskonale opowiedziany jest łódzki szlak Tuwima. Ale w przypadku Tuwima sięgam po moją kolejną książkę, przewodnik po Łodzi.

BONISŁAWSKI SPACERUJE Z TUWIMEM

Niewielka książeczka Ryszarda Bonisławskiego „Łódź Juliana Tuwima. Łódzkie korzenie poety” to sentymentalna podróż w czasie i przestrzeni. Jeżdżąc na rowerze po Łodzi, wybieram miejsca i bardzo żałuję, że nie udało się skonstruować maszyny do przenoszenia się w przeszłość.

Tuwim przez całe życie powracał do lat dziecięcych i młodzieńczych, które spędził w Łodzi. Nie tylko w poezji i literackich wspomnieniach, także w radiowych felietonach i prywatnych rozmowach. Dlatego Bonisławski miał wiele tropów i poszlak wskazujących na łódzkie korzenie Juliana Tuwima. Nic dziwnego, że porusza się po Łodzi jak literacki i historyczny detektyw, a ja często podążam po mieście za nim śladami Tuwima.

Najważniejsze adresy, które wiele razy odwiedziłem, to oczywiście ulica Kilińskiego 46, aleja 1 Maja 5, Andrzeja Struga 42, aleja Kościuszki 27 i Traugutta 12 (Używam współczesnych nazw ulic i numeracji kamienic). Niejednokrotnie tam byłem, także na klatkach schodowych i przed drzwiami mieszkań, w których mieszkał Tuwim. Książka Bonisławskiego mnie tam zaprowadziła.

Podobnie jak na ulicę Sienkiewicza 46, gdzie Tuwim uczył się w Męskim Gimnazjum Rządowym. Gdy po latach miałem w tym budynku zajęcia ze studentami dziennikarstwa Społecznej Akademii Nauk, przypominałem sobie, że Tuwim nie był WYBITNYM uczniem i powtarzał nawet szóstą klasę (to także wiem z lektury książki Bonisławskiego). Za każdym razem, gdy byłem w obecnej siedzibie III Liceum Ogólnokształcącego, zastanawiałem się, czy w sali, w której mam zajęcia, sto lat wcześniej nie siedział NAJWYBITNIEJSZY łódzki poeta.

„Łódź Juliana Tuwima. Łódzkie korzenie poety” poza cytatami z utworów Tuwima oraz jego wspomnień uzupełniona jest mnóstwem fotografii, które zapewne trudno było zdobyć. Pomogła m.in. Ewa Tuwim-Woźniak (córka poety), Archiwum Państwowe w Łodzi, Muzeum Miasta Łodzi, Stefan Sztromajer, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Oficyna Bibliofilów Marka Szukalaka. Warto było się o nie postarać, bo zdjęcia są w tej publikacji tak samo ważne, jak tekst. Dlatego czasami ją czytam i oglądam, a czasami tylko oglądam fotografie. Na przykład nieistniejącą synagogę, miejsce ślubu Stefanii i Juliana Tuwim.

Przed laty często zaglądałem do wypożyczalni książek przy ulicy Andrzeja Struga 5. Z pracy Bonisławskiego dowiedziałem się, że wypożyczał w niej książki także Julian Tuwim.

Kolejny ważny adres na łódzkiej mapie Tuwima – Kopernika 22. W latach młodości poety ulica nazywała się Milsza i powstała tam wówczas nowocześnie urządzona lecznica dla zwierząt. Ozdobą i jednocześnie reklamą był naturalnej wielkości koń. Czytałem o nim w liceum, kiedy nie wiedziałem, że za kilka lat zamieszkam w Łodzi. Nie wiem dlaczego, ale tego fragmentu nauczyłem się na pamięć.

„Z okna widać było konia
Metalowego. Stał bez jeźdźca
I dawno nęcił mnie, wałkoniał
By wskoczyć i galopem z miejsca

(...) Więc się zbuntujmy i ożyjemy,
Rumaku weterynaryjny,
I wlećmy na ten Kominogród.

Gdy przyjechałem do Łodzi zdawać egzaminy wstępne na Uniwersytet Łódzki, to tramwaj z Dworca Kaliskiego na Lumumbowo mijał lecznicę. I stał na niej koń. Czytałem o nim wiele razy, ale wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Bonisławski przypomina najważniejsze budynki, które powstały w Łodzi, gdy mieszkał w niej jeszcze Julian Tuwim. Na przykład najwyższy wtedy w Polsce hotel Savoy. Drapacz chmur liczył aż siedem pięter. Józef Roth zatrzymał się w nim i napisał powieść „Hotel Savoy”. Kilka lat temu miałem przyjemność uczestniczyć z ambasadorem Austrii i konsulem honorowym Austrii w uroczystościach odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej Rothowi. Ambasadador wiedział, że był taki słynny łódzki poeta – Julian Tuwim.

Dzięki Tuwimowi i Bonisławskiemu często odwiedzałem podwórko przy Piotrkowskiej 67, gdzie mieścił się Teatr Victoria, a wiele lat później kino Polonia, czyli pierwszy łódzki mini multiplex.

W każdy pierwszy piątek miesiąca w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku razem z kolegami oglądaliśmy tam światowe premiery filmowe i biesiadowaliśmy potem w kinie do rana.

Na Piotrkowskiej 63 znajdowała się cukiernia B. Komara, której gościem bywał Tuwim. Teraz mieści się tam sym-

patyczna kawiarnia. Często można spotkać w niej historyka Andrzeja Kompę z zapamiętanym wystukującym teksty na laptopie. Muszę zapytać Andrzeja, czy wie, że zastąpił na stanowisku Tuwima.

Gdy przyjechałem do Łodzi zdawać egzaminy wstępne na Uniwersytet Łódzki, to tramwaj z Dworca Kaliskiego na Lumumbowo mijał lecznicę. I stał na niej koń. Czytałem o nim wiele razy, ale wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

ŁÓDŹ FILMOWA

Do tej książki mam wielki sentyment, bo napisała ją dwójka moich dobrych znajomych, Joanna Podolska i Jakub Wiewiórski. „Spacerownik Łódź Filmowa” ukazał się w Bibliotece Gazety Wyborczej w 2010 roku. Joasię znałem jeszcze ze studiów, Kubę spotkałem w redakcji „Wyborczej”. Obserwowałem, jak powstawał spacerownik, jak był adiustowany, a potem bardzo skutecznie promowany. Wtedy powstała moja kolejna mapa miejsc ważnych w Łodzi, które lepiej poznałem lub odkryłem dzięki jego lekturze.

Praca nad książką wymagała olbrzymiego wysiłku i wielu kontaktów. Jej autorzy o pomoc, radę lub zdjęcia prosili Ryszarda Bonisławskiego, Henryka Dederko, Piotra Dziecioła, Roberta Glińskiego, Jacka Gwizdałę, Jerzego Woźniaka, Bronisława Wrocławskiego i jeszcze z pół setki osób i instytucji.

Joasia i Kuba przesuwali termin wydania książki kilka razy, aby przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę, aby jeszcze coś sprawdzić. Przyznawali, że zapewne nie uchroni ich to od błędów, bo rozmówcy te same wydarzenia pamiętali zgoła odmiennie. Albo inaczej kojarzyli fakty i miejsca. *Dlatego gorąco prosimy o uwagi, uzupełnienia, sprostowania i listy, maile i fotografie* – napisali we wstępie.

Po dwunastu latach od ukazania się mojej ulubionej książki filmowej o Łodzi z pewną nie-

Wśród miejsc opisywanych przez pisarzy króluje oczywiście Piotrkowska. I co dla mnie jest szczególne miłe, to na tej ulicy pojawia się postać dziennikarza, który przypomina mnie do złudzenia. W literacką postać zamienił mnie Maciej Świerkocki w „Ziemi obiecanej raz jeszcze”.

śmiałością zwracam autorom uwagę, że w rozdziale „L jak 10 Lutego” zdjęcie z filmu „Zero” Pawła Borowskiego pochodzi z innej ulicy. Wiem to na pewno, bo mieszkam przy 10 Lutego, a ulica ma mniej niż 200 merów. Poza tym żadnych błędów nie znalazłem, a za to wiele pięknych cytatów, jak na przykład: *Przyjechałem przed laty do Łodzi, bo była mekką aktorów – Leon Niemczyk, Łódź to znaczyło film* – Roman Polański.

Już pierwsze dwa zdania „Spacerownika” brzmią słodko w uszach tych, którzy kochają Łódź. W *Spacerowniku Łódź Filmowa chcemy pokazać, jak znaczące było miejsce kina w historii miasta. I jak znaczące było miejsce Łodzi w historii kina.*

Autorzy przypominają setki filmów, które powstały w łódzkich plenerach, pałacach, fabrykach, na ulicach czy w halach Wytwórni Filmów Fabularnych przy ulicy Łąkowej. Ja mam największy sentyment do tego ostatniego miejsca, bo od wielu lat pojawiaam się w jej dawnych budynkach, w których teraz działa Telewizja Toya.

Najwięcej uwagi poświęcono jednak spacerowi po „Ziemi obiecanej”. Nic dziwnego, bo w filmie Andrzeja Wajdy zagrało prawie 100 miejsc. Jednocześnie pracowały dwie, a nawet trzy ekipy. W sumie było 86 dni zdjęciowych. Dopiero z lektury „Spacerownika” dowiedziałem się, że pejzaż z kominami, który wielokrotnie powraca w „Ziemi obiecanej” to kompilacja ze zdjęciami zrobionymi na Śląsku. W Łodzi w 1974 roku już nie było tak wielu kominów jak w końcu XIX stulecia, a reżyser chciał pokazać miasto jako potężną fabrykę.

Z filmowych instytucji swoje rozdziały mają poza Wytwórnią przy Łąkowej, Szkoła Filmowa i Muzeum Kinematografii. Najdłuższy spacer to oczywiście wyprawa na ulicę Piotrkowską. Potem są łódzkie cmentarze, dworce, Księży Młyn, ulice Narutowicza i Moniuszki. Poza tym, że Łódź grała siebie, także była w filmach między innymi Gdańskiem, Stambułem, Paryżem, Kolonią i Warszawą.

MARIAN PIECHAL – PIEWCA MOJEGO MIASTA

Dorota Ceran



Jakże bliskie są mi słowa Mariana Piechala „Cóż mi więcej pięknego nad miasto przedstawiś?”. Miasto w rozumieniu ogólnym, miasto – zjawisko, miasto – przestrzeń, miasto – sposób na życie. Zgiełkliwe, pełne kakofonii dźwięków, barw, zapachów. To moje naturalne środowisko, w którym czuję się u siebie, gdzie potrafię się poruszać, wiem czego się mogę spodziewać, a na co nie sposób liczyć. Łódzkie ulice grają mi pod stopami szczególnie wyraźnie. Każda z nich ma swoją melodię i wysokość tonu. I barwę wierszy Mariana Piechala.

Cóż mi więcej pięknego nad miasto przedstawiś?
Ulica gra pod stopą
jak struna zadrgawszy,
i bruku każdy kwadrat potrafi jak klawisz dać tony.
Nogami trącam struny,
oburącz ukochawszy miasto,
instrument natchniony.

...pisał Marian Piechal w tomiku „Krzyk z miasta”.

Ten poeta jest nieco zapomniany, nieco odsunięty w cień, postrzegany przez wielu, którzy go w ogóle pamiętają, jako literat czasu PRL, członek PZPR. A tymczasem jego biografia, jakże charakterystyczna dla czasów wojny i powojnia, zadaje kłam prostym ocenom i niesprawiedliwym sądom.

Marian Piechal ukończył III Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki w Łodzi, mieszczące się w tym samym budynku, gdzie w latach 1904–1914 Julian Tuwim uczęszczał do Męskiego Gimnazjum Rządowego.

W roku 1929 ukazał się jego debiutancki zbiór wierszy „Krzyk z miasta”, który Tuwim pomógł mu wydać. Łódź stała się wówczas jego

Ten poeta jest nieco zapomniany, nieco odsunięty w cień, postrzegany przez wielu, którzy go w ogóle pamiętają jako literata czasu PRL, członka PZPR. A tymczasem jego biografia, jakże charakterystyczna dla czasów wojny i powojnia, zadaje kłam prostym ocenom i niesprawiedliwym sądom.

„Gdyby istniał polski leksykon tematów literackich, to w artykule pod hasłem Łódź figurowałoby na najbardziej poczesnym miejscu nazwisko Mariana Piechala obok takich nazwisk jak: Gliszczyński, Bartkiewicz, Reymont, a przede wszystkim Tuwim”.

pierwszym tematem, pierwszą muzą. Podczas II wojny światowej walczył w kampanii wrześniowej, dostał się do obozu jenieckiego pod Magdeburgiem, skąd udało mu się uciec. Do końca wojny się ukrywał, działał w tajnych kompletach, był żołnierzem Armii Krajowej. Po zakończeniu wojny wrócił do Łodzi, gdzie został redaktorem naczelnym pisma „Kronika” i prezesem łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich.

W roku 1945 podjął współpracę z „Dziennikiem Łódzkim”, a od roku 1958 współpracował z czasopismem „Odgłosy”, w latach 1960–1966 był członkiem zespołu redakcyjnego tego pisma. Prowadził tu rubrykę „Sedno rzeczy”. Zbiór felietonów ukazujących się w tej rubryce wydało Wydawnictwo Łódzkie w publikacji pod tytułem „Pelagia, uczennica diabła: czyli sedno rzeczy”. Sam rekomendował zbiór tymi słowami:

Różnymi czasy pisywałem różne felietony. Literackie. Także cotygodniowe. Przeważnie w łódzkich „Odgłosach” i również gdzie indziej. Wybrałem z nich te, o których jestem przekonany, że gdybym je pisał dzisiaj, napisałbym tak samo. Może gdzieś jakieś słówko dodałbym lub ujął, zdanie inaczej przełamał, argument nowy dorzucił, dowcip zaostrzył, myśl uzupełnił, wywód rozwinął, całość lepiej dopracował. Ale istotę zagadnień zostawiłbym nienaruszoną. Nie dlatego, żeby się ona nie zmieniała. Tylko z nią jest tak jak z kołem w ru-

chu. Najszybciej obraca się obwód zewnętrzny, najwolniej tuż przy osi. A sama oś? No, właśnie. Stąd podtytuł: sedno rzeczy¹.

W latach 1966–1969 pracował jako kierownik literacki Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi oraz jako redaktor naczelny pisma „Osnowa”. W roku 1969 przeprowadził się do Warszawy, gdzie do 1972 był zastępcą redaktora naczelnego pisma „Poezja”. Ale Łódź zawsze była na pierwszym miejscu, do końca był jej wierny jako człowiek i jako artysta. Píše o tym wybitna uczona, łodzianka – Stefania Skwarczyńska we wstępie do tomu poezji Piechala pt. „Miasta Nadziei”:

Gdyby istniał polski leksykon tematów literackich, to w artykule pod hasłem Łódź figurowałoby na najbardziej poczesnym miejscu nazwisko Mariana Piechala obok takich nazwisk jak: Gliszczyński, Bartkiewicz, Reymont, a przede wszystkim Tuwim. Jednakowoż pozycja, jaką zajmuje Marian Piechal jako poeta Łodzi, zarysowałaby się na tle tego znakomitego szeregu nazwisk, jako pozycja zupełnie odrębna i swoista².

Miasto Piechala fascynowało, a Łódź postrzegał jako jego kwintesencję. Była obecna na kartach tomów jego poezji niemal namacalnie. Wierzył, że karty te przetrwają pisząc:

Łódź
Od śródmieścia rośnie jak w drzewie słój wokół słoja –
była Reymonta,
była Tuwima,
teraz jest moja!³

1 <https://www.olx.pl/d/oferta/pelagia-uczennica-diabla-czyli-sedno-rzeczy-marian-piechal-CID751-IDJ6CTI.html>

2 <https://sp35lodz.edu.pl/o-szkole/patron-szkoly/>.

3 <https://sp35lodz.edu.pl/o-szkole/patron-szkoly/>

***** MARIAN
PIECHAL
POEZJA
i coś więcej**

SPOSÓB NA NUDE WEDŁUG JULIANA TUWIMA

Dorota Ceran



„Żyj tak, by ludziom zrobiło się nudno, kiedy umrzesz” napisał kiedyś Julian Tuwim. I 27 grudnia 1953 roku wszystkim, którzy go znali lub tylko z daleka podziwiali zrobiło się nie tylko smutno i pusto, ale też nieskończenie nudno. Bo odszedł przedwcześnie (miał tylko 59 lat!) nie tylko fantastyczny poeta, ale i niezwykły, pełen niespodzianek człowiek. Był zarazem do łez zabawny, jak i do bólu tragiczny, potrafił być uroczy i ujmujący ale też boleśnie złośliwy i bezlitośnie kąśliwy, szarmancki a zarazem uszczypliwy do granic dobrego smaku. Po prostu – wielki artysta, wybitny poeta i pisarz, który nie był spiżowym pomnikiem lecz Człowiekiem Pełnym, ze wszystkimi blaskami i cieniami swojego człowieczeństwa. I w sposób gwarantowany – nie był człowiekiem nudnym.

W Łodzi nie mieszkał długo, bo tylko do osiemnastego roku życia. Wyjechał do Warszawy na studia prawnicze, by nigdy już nie powrócić do rodzinnych stron. Studiów też nigdy nie ukończył. Już na pierwszym roku stwierdził, że raczej poczeka, aż dadzą mu doktorat honoris causa. I dali. W Łodzi właśnie.

Łódź utkwiła w Tuwimie już na zawsze, mimo że ostatnia jego wizyta w mieście miała miejsce w 1947 roku, kiedy przybył, by złożyć na cmentarzu przy Brackiej szczątki swojej matki zamordowanej przez hitlerowców w Otwocku.

Był daleko, ale zawsze pozostał „stąd”. I zrobił miejsce dla Łodzi w swoim poetyckim świecie.

Łódź pozowała Tuwimowi wszędzie tam, gdzie pojawiał się portret miasta jako idei, jako szczególnej przestrzeni. I często, jak w „Chrystusie miasta”, („...żebracy, ladacznice, wariaci, chytne szpicle, tańczyły tan ulice, latarnie, szubienice”) pojawia się tam makabra, smutek, dziwaczne postaci, niektóre złe, inne skrzywdzone – wszystkie pokraczne.

***Żyj tak, by ludziom
zrobiło się nudno,
kiedy umrzesz.***

Bałuckie limfatyczne dzieci
Z wyostrzonymi twarzyczkami [...]
Upiorki znad cuchnącej Łódki,
Z zapadłą piersią, starym wzrokiem,
Siadając w kucki nad rynsztokiem,
Puszczają papierowe łódki,
Na ścieki, tęczujące tłusto¹

¹ „Kwiaty polskie”, Julian Tuwim

I wszędzie tam, gdzie wiosenny wiatr niesie
nadzieję na odrodzenie łagodności, piękna i do-
bra:

A jak sobie wieczorem po ulicy chodzę,
Z podniesionym kołnierzem przy wytartym palcie,
Jak wiem, że nie masz celu mej codziennej drodze,
Chyba: podeszwy zdzierać na szorstkim asfalcie;

Jak sobie naprzód idę, młody i wspaniały,
Jak wsadzę do kieszeni twarde, suche pięście,
– To, jakbym brzemię dźwigał, przewalam się cały:
We mnie to się przewala me pijane szczęście!²

... i jeszcze:

Ach, i to także było w Łodzi,
Pod nocną burzą drzew szumiejących!
Od wolnych ptaków i od włóczęg
Radosnej się mądrości uczę,
Bez celu idę w świat, jak oni,
Przyszłość wesołym witam krzykiem.



GRÓB RODZICÓW TUWIMA
NA CMENTARZU PRZY ULICY
BRACKIEJ
FOT. D. CERAN

Bo wspaniała kontrastowość Łodzi zachwy-
cała poetę, urzekła go, opłatała swoim nieba-
nalnym urokiem. Warszawskie pejzaże, pejzaże
Paryża i Rio de Janeiro na jej tle wypadały blade,
pozbawione były tego niezwykłego kolorytu,
pazura, drapieżnego piękna. I pewnie dlatego,
będąc w Nowym Yorku i będąc w Rio zdawał się
Tuwim nie dostrzegać ich niezwykłości i wołał
wrócić pamięcią do Łodzi. I stworzyć najpiękniej-
szy poemat o mieście – „Kwiaty polskie”.

Nie miałem serca dla Warszawy,
Gdy opuszczałem miasto Łódź,
Polami sunął zmierzch zmurszały,
Pogrzebem w mgłę się pociąg włókł,
Drogę mą w przyszłość zawieszały
Kotary ciężkich, starych dum,

2 A jak sobie wieczorem” w: Czyhanie na Boga, Julian Tuwim

Strach stukał we krwi, przemieszany,
Z usypiającym stukiem kół,
A powróż wspomnień mokry, szary,
Taszczył za sobą miasto Łódź [...]
Kamienie lepiej w Łodzi tłuc,
I po co jechać do Warszawy?³

Opuszczał Łódź a wraz z nią – ukochaną ulicę Piotrkowską. Ulicę – symbol, ulicę – historię. Była w jego życiu od początku. Kiedy miał 11 lat był tu świadkiem rozruchów robotniczych rewolucji 1905 roku. Bo właśnie w Łodzi wszystko się zaczęło. Powstanie łódzkie było pierwszym zrywem rewolucyjnym w Imperium Rosyjskim, pierwszym powstaniem zbrojnym robotników w trakcie rewolucji, które dało jej początek w całym Królestwie Polskim. A sceną tych początków była Piotrkowska:

***Wspaniała kontrastowość
Łodzi zachwycała poetę,
urzekła go, opłatała swoim
niebanalnym urokiem.***

Piotrkowska, w stronę Grand Hotelu,
Jak wymieciona. Przed tramwajem
Beczki i skrzynie, a za nimi,
Z browningiem w ręku, przyczajeni
Kłęczą bojowcy patrząc w szarą,
Bezludną przestrzeń trotuaru
I pustą jezdnię. Nic. Martwota.
Cisza i tam – bo z morza tłumy
Nic nie usłyszysz prócz poszumu
Przybywających gromad ludzkich,
Co napływają od Widzewa,
Żeby na rynek iść bałucki:
Z Głównej, Nawrotu i Przejazdu
Strugami się w Piotrkowską wlewa
Burzliwy za przewalem przewał,
Zmierzając ku Staremu Miastu;
Ale się mało kto przepycha
Pod Meisterhaus i pod Ulricha,

3 „Kwiaty polskie” Julian Tuwim



Dawny „Grand Hotel“



Bo stamtąd, aż po barykadę,
W jednej się szczelną zbił gromadę
Milczący tłum, przy głowie głowa,
Jakby głowami wybrukował...⁴

Grand Hotel, wówczas najwytworniejszy w mieście, został oddany do użytku 9 października 1887 roku po zaadaptowaniu na ten cel fabryki Edward Haentschela. Ludzkie gromady, jak pisze Tuwim, napływały w kierunku Piotrkowskiej i hotelu od strony Widzewa, dzielnicy Łodzi, która w 1905 roku jeszcze pozostawała wsią. Dopiero w rok po rewolucji część tego terenu została włączona do granic administracyjnych miasta. Ludzie zmierzają na rynek. Bałucki Rynek – najstarsze łódzkie targowisko, powstałe w 1850 roku, w kierunku którego zbiegały się trakty zgierski i łagiewnicki oraz szosa Aleksandrowska. Tędy wła-

⁴ „Kwiaty polskie” Julian Tuwim

śnie napływały tłumy, o których wspomina Tuwim. „Z Główniej, Nawrotu i Przejazdu”... Dzisiaj już tylko ulica Nawrot zachowała ówczesną nazwę. Główna to obecnie aleje Mickiewicza i Piłsudskiego, a ulica Przejazd – nosi nazwę... Juliana Tuwima. Dalej ludzie suną ku Staremu Miastu, czyli w kierunku centrum średniowiecznej osady miejskiej – miasteczka Łódź.

„Ale się mało kto przepycha / Pod Meisterhaus...”, czyli pod budynek Zgromadzenia Majstrów Tkackich, którzy spotykali się tu podczas rozmaitych zebrań. Ówczesna lokalizacja to Piotrkowska 89/90, dzisiaj – Piotrkowska 100. „... i pod Urlicha” – czyli pod Piotrkowską 97, gdzie mieściła się Fabryka Czekolady Manfreda Ulrichsa.

Opuszczał Łódź a wraz z nią – ukochaną ulicę Piotrkowską. Ulicę – symbol, ulicę – historię.

Poemat Tuwima to, jak widać, nie tylko zapis pamięci wrażeń i uczuć, ale także spora garść informacji historycznych. Bo o ile Piotrkowska, Grand Hotel czy Rynek Bałucki są z nami, to kto dzisiaj pamiętałby na przykład o fabryce Urlicha, gdyby nie wzmianka w „Kwiatach polskich?”

A nasz łódzki, piękny rumak? „Tuwimowski koń”? Każdy łódzianin go doskonale zna, bo:

(...) Z okna widać było konia
Metalowego. Stał bez jeźdźca
I dawno nęcił mnie, wałkoniał,
By wskoczyć – i galopem z miejsca.
A był to także czas zapatrzeń
W dym, szarość, nudę, czad ponury
I w gwiazdy, słabsze wciąż i rzadsze...
Więc się zbuntujmy i ożyjmy,
Rumaku weterynaryjny,
I wlećmy nad ten Kominogród(...)



DOM ZGROMADZENIA MAJSTRÓW TKACKICH
ŹRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA



RYNEK BAŁUCKI
ŹRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA

Dlaczego „weterynaryjny”? Ponieważ stał wówczas i stoi do dzisiaj przy ulicy Kopernika 22 na dachu najstarszej polskiej lecznicy dla zwierząt. Lecznicę wybudowali w 1891 roku Hugo Warrikoff i Albert Kwaśniewski. Tu działał także pierwszy w Polsce szpital dla zwierząt. W 1955 roku koń wraz z budynkiem został wpisany na listę zabytków, czego Tuwim domagał się w „Kwiatach”:

(...) Do Prześwietnego Magistratu
Miasta Bagdadu, czyli Łodzi...(...)
Niżej podpisany
Tamtejszy uczeń, pętaś, mikrus,
Znany obibok i drapichrust,
Zawalidroga i łachmytek,
Ma zaszczyt prosić, żeby oną
Cudowną szkapę uskrzydloną
Uznało miasto za zabytek. (...)

I jeszcze:

Niech zawsze ma swój obrok gwiezdny,
Kastalską wodę z rzeki Łódki,
A jeszcze lepiej wiadro wódki⁵.

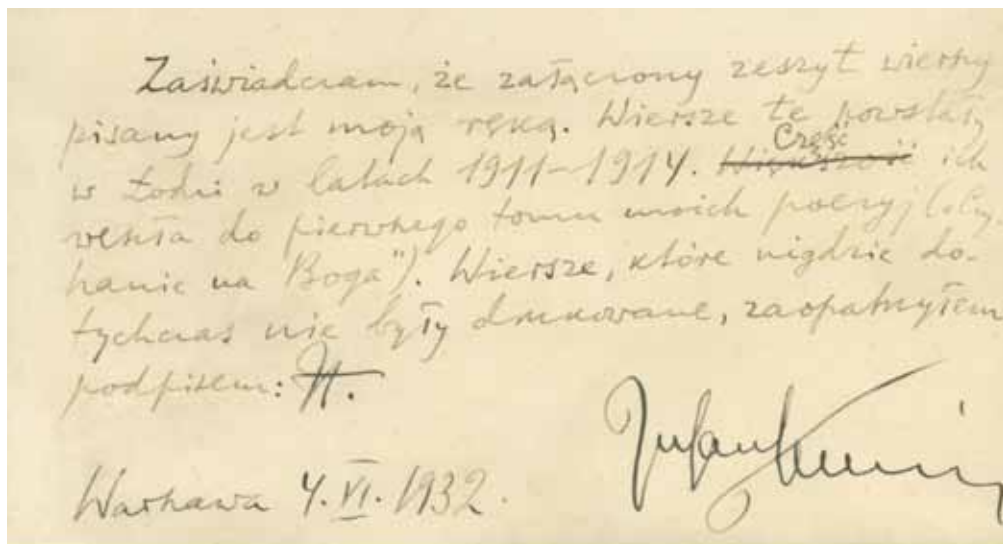


STARY RYNEK
ŹRÓDŁO: DOMENA PUBLICZNA

Spełnienie tej prośby może już darujemy „Prześwietnemu Magistratowi”?

Nigdy nie uczyłam się wierszy na pamięć, a jednak wiele tekstów Tuwima wryło mi się w nią na zawsze. „Modlę się Panie, ale się nie korzę...”, „Nauczyli mnie mnóstwa mądrości, logarytmów, wzorów i formułek...”, „Oddać ci wszystko, każdy sen i drgnienie...” – i wiele innych – od początku do końca. Przykleiły mi się dawno temu do mózgu i już tam zostały. Ale najbardziej wzrusza mnie zawsze ten:

⁵ „Kwiaty polskie” Julian Tuwim



Gdy kiedyś czołem dosięgnę gwiazd
I przyjdzie chwały mej era,
Gdy będzie o mnie kilkaset miast
Sprzeczać się, jak o Homera,

Gdy w Polsce będzie pomników mych
Więcej niż grzybów po deszczu,
I w każdym mieście zacnie się krzyk:
„Ja Ciebie wydałem, wieszczu!” –

**„Więc się zbuntujmy
i ożyjmy,
Rumaku weterynaryjny”.**

Niechaj potomni przestaną snuć
Domysły „w sprawie Tuwima”,
Bo sam oświadczam: mój gród – to
Łódź,
To moja kolebka rodzima!

Niech sobie Ganges, Sorrento, Krym
Pod niebo inni wynoszą,
A ja Łódź wolę! Jej brud i dym
Szczęściem mi są i rozkoszą!

Tu, jako tyci od ziemi brzdąc,
Zdzierałem portki i buty,

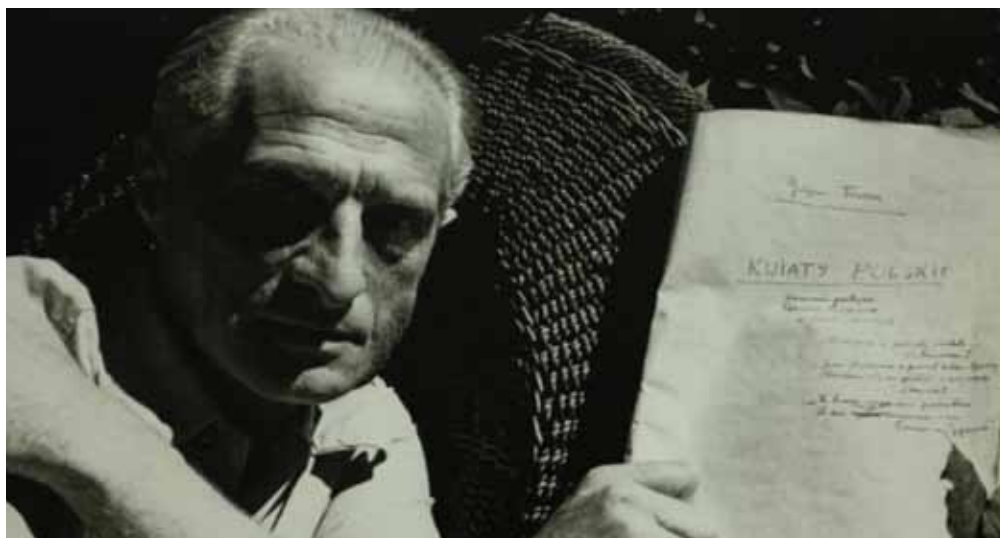
Tu belfer, na czym świat stoi klnąc,
Krzyczał: „Ty leniu zakuty!”

Tu usłyszałem burz pierwszych grom
I pierwsze muzy szelesty!
(Do dzisiaj stoi ten słynny dom:
Andrzeja, numer czterdziesty.)

Tu przez lat dziesięć, co drugi dzień,
Chodziłem smętnie do budy,
Gdzie jako łobuz, pijak i leń
Słyszałem, ziewając z nudy.

I tu mi serce na wieczność skradł
Ktoś cichy i modro-złocisty,
I tu przez siedem ogromnych lat
Pisałem wiersze i listy.

Nawet mizerne wiersze me
Łódź oceniła najpierwsza,
Bo jakiś Książek drukował mnie
Po dwie kopiejki od wiersza.



FOT. EAST NEWS, KULTURA.ONET.PL

Więc kocham twą „urodę złą”,
Jak matkę niedobrą – dziecię,
Kocham twych ulic szarzyznę mdłą,
Najdroższe miasto na świecie!

Zaszwargotanych zaułków twych
Kurz, zaduch, błoto i gwary
Piękniejsze są mi niż stolic szych
I niż paryskie bulwary!

Śmieszność twa łzami przyprósza mi wzrok,
Martwota okien twych ślepych
I czarnych ulic handlarski tłok,
I uszargany twój przepych.

I ten sterczący głupio „Savoy”,
I wyfloczone przekupki
I szyld odwieczny: „Mużskij portnoj,
On-że madam i pszerupki”⁶.

Strasznie byłoby bez Pana nudno, Mistrzu...

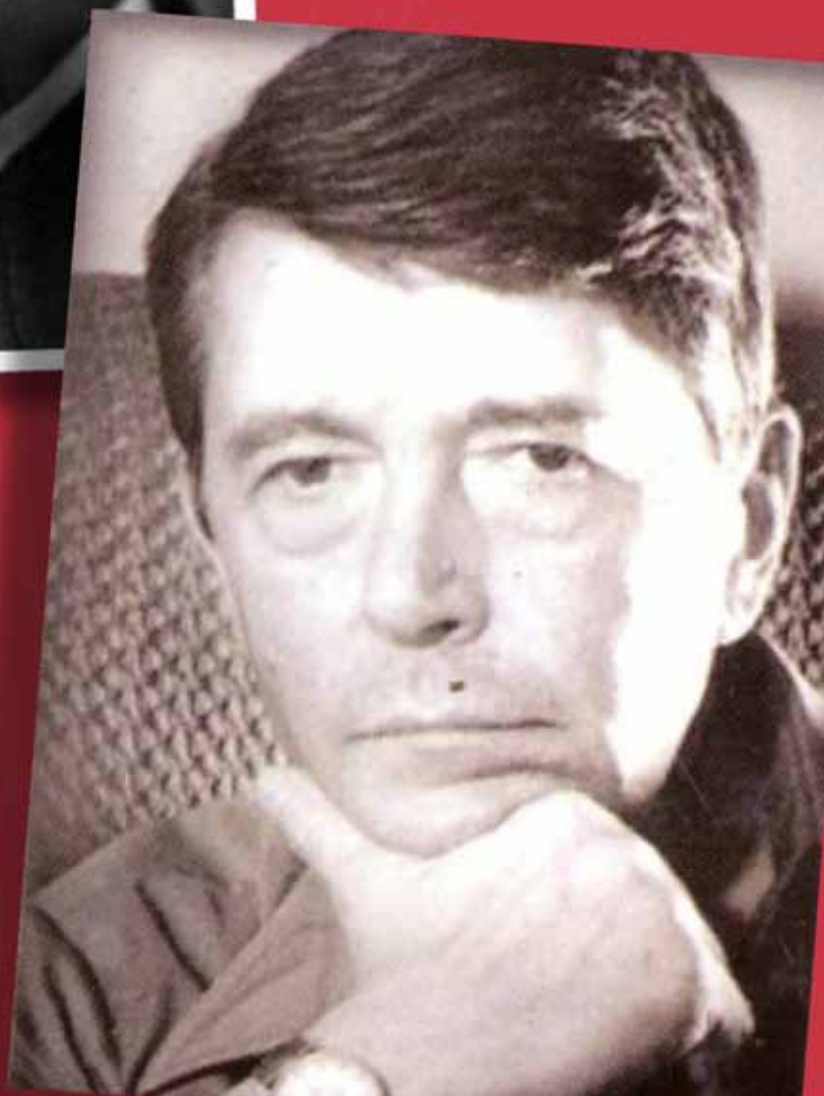


6 „Łódź”, Julian Tuwim

ZIEMIA OBIECANA ZIEMIA NAWRÓCONA – INSPIRACJE, CZYLI OD REYMONTA DO MAKOWIECKIEGO*

Ewa Ceran

* Fragment pracy pt. „Obraz Łodzi w ZIEMI NAWRÓCONEJ Andrzeja Makowieckiego” – przedruk za zgodą Autorki



Na początku dziewiętnastego wieku, między Piotrkowem Trybunalskim a Królewską Łęczycą, mieściła się niewielka osada — Łódź. Mimo że od 1423 roku mogła chlubić się prawami miejskimi, nie miała tak naprawdę większego znaczenia w życiu Rzeczypospolitej szlacheckiej. Wszystko się zmieniło, kiedy miasto zaliczono do grona osad fabrycznych w 1821 roku. W błyskawicznym tempie stała się nie tylko na ziemiach polskich, ale i w Europie jednym z największych ośrodków przemysłowych.

„Nie mamy w całym kraju miasta, które by tyle co Łódź zawdzięczało przemysłowi – miasta, które by przez przemysł z zupełnego zapomnienia, z zupełnej nicości podniosło się na ten stopień zamożności i rozwoju; miasta, w którym by wydatniej przejawiało się życie fabryczne – słowem, miasta więcej typowo fabrycznego”¹.

Łódź była przyrównywana pod względem dynamicznego rozwoju jak i wynikających z tego konsekwencji (jak na przykład brak przeszłości, tradycji) do miast amerykańskich, które podobnie jak łódzka metropolia były zbudowane w szczerym polu². Antoni Sygietyński przyrównuje Łódź do amerykańskiego miasta Klondike, którego udziałem również był gwałtowny rozwój. Oba miasta przeżyły ogromny przyrost mieszkańców, w Klondike z powodu tzw. gorączki złota (w latach 1897–1899 przybyło około trzydziestu tysięcy osób), w Łodzi z powodu szybkiego rozwoju przemysłu (w latach 1872–1876 miasto podwoiło liczbę mieszkańców z pięćdziesięciu do stu tysięcy, następnie w latach 1893–1897 ze stu pięćdziesięciu tysięcy do trzystu czterestu tysięcy).

Do Łodzi Ignęli ludzie różnych narodowości, wiary i stanu – jednak bez względu na to, kim byli, przede wszystkim chcieli tworzyć coś nowego – coś, na czym można przede wszystkim dobrze zarobić. Mimo niezwyklej różno-

rodności narodowościowej, wyznaniowej i kulturowej można było w Łodzi zaobserwować swoistą tolerancję wynikającą nie tyle z prawdziwego szacunku

Do Łodzi Ignęli ludzie różnych narodowości, wiary i stanu – jednak bez względu na to, kim byli, przede wszystkim chcieli tworzyć coś nowego – coś, na czym można przede wszystkim dobrze zarobić.

1 O. Flatt, „Opis miasta Łodzi” pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym, Warszawa 1853, s. 6; za: H. Karwacka, Opis miasta Łodzi Oskara Flatta początkiem piśmiennictwa przemysłowego miasta, „Prace Polonistyczne” 1976, s. 251.

2 A. Sygietyński, Znasz-li ten kraj? „Kurier Warszawski” 1898/1899 nr 6, s. 3.

Makowiecki uważa, że to właśnie za „Ziemie obiecane”, a nie za „Chłopów” Reymont powinien dostać nagrodę Nobla.

i akceptacji „innych”, ale z konieczności prowadzenia wspólnych przedsięwzięć finansowych. Żydzi, Niemcy, Rosjanie, Polacy a nawet niewielkie grupy Francuzów, Szwajcarów, Czechów, Austriaków, Anglików stanowiły prawdziwy tygiel etniczny, który okazał się środowiskiem bardzo sprzyjającym rozwojowi przemysłu, finansjery, handlu a także, choć na początku w znacznie mniejszym stopniu – kultury. Była to jednak społeczność powstała w sposób nie-naturalny. Nikt prawie nie był „tutejszy”. Trzon miasta stanowiła ludność napływowa – od finansowych rekinów po małe, robotnicze płotki. Jedni szukali tu możliwości wzbogacenia się, drudzy – kawałka codziennego chleba. I na ogół – z sukcesem. W chwili największego rozwoju miasta, na przełomie wieków XIX i XX, mieszkańcy Łodzi już nie tylko czuli się Niemcami, Żydami czy Polakami.

Czuli się łodzianami, identyfikując się bardzo z miejscem swojego sukcesu. Powstało wówczas pojęcie *lodzermensch* (niem. *lodzer* – łódzki, *Mensch* – człowiek). Był to człowiek przedsiębiorczy, zaradny, wytrwały, potrafiący wykorzystać swoje umiejętności i okazje. Jego celem jest podbić, zawładnąć, opanować Łódź. Określenie to wprowadził po raz pierwszy Wincenty Kosiakiewicz w powieści *Bawełna*, którą mylnie określa się jako pierwszą powieść o Łodzi (książka Walerii Marrene-Morzkowskiej *Wśród kłkolu* jest o pięć lat młodsza). Epitet ten jednak rozpowszechnił dopiero Władysław Reymont w najsłynniejszym dziele dotyczącym miasta Łodzi, w *Ziemi obiecanej*.

„Medium piszące”, jak nazywano Reymonta, przedstawiło Łódź jako miejsce, które doprowadzi każdego do upadku moralnego, zepsucia, odwrócenia się od wartości, tradycji rodzinnych na rzecz nowego bożka — szybkiego pieniądza.

„Udowodnił Reymont w «Ziemi obiecanej», że wśród wszelkich innych interesów istnieje jeszcze coś takiego jak interes wykonany po łódzku — ubezpieczyć się wysoko i podpał; pożycz dużo, lecz oddawaj po trochu, ożeń się brzydko, lecz posażnie z córką pryncypała i odstaw go na drugi tor”³.

Jednak w momencie publikacji w „Kurierze Codziennym” *Ziemi obiecanej* w latach 1897–1898, wiele osób zarzucało autorowi nieznamość prawdziwych stosunków w mieście oraz, że opisywał tak naprawdę to, co znał z saloonów warszawskich. Doszło nawet do burzliwej dyskusji na łamach gazet „Rozwój” i „Goniec Łódzki” w ramach obrony dobrego imienia Łodzi.

W drugiej połowie XX wieku polemiki z Reymontem podjął się m.in. Andrzej Makowiecki w dwutomowej *Ziemi nawróconej*, która początkowo ukazywała się w odcinkach w „Expresie Ilustrowanym”. Jednak, jak sam mówi:

„Autor, który pisze tę barwną, jakże prawdziwą historię o mieście, które w oczach współczesnych zdobyło sobie raczej podły wizerunek, zastanawiał się poważnie, czy nie poświęcić jej Reymontowi, ba! był o krok, aby wyznać wstępnie, iż jest ona reminiscencją głośniejszej «Ziemi obiecanej», co mijałoby się z prawdą i byłoby krzywdzące zarówno dla wielkiego pisarza, jak i dla skromnego literata, który u schyłku dwudziestego wieku wziął na swoje wątłe ramiona trud sportretowania Łodzi”⁴.

Andrzej Makowiecki odnosi się do Reymonta, a raczej samej *Ziemi obiecanej* w najróżniejszych formach, od dosłownego sporu z autorem w publicystycznych rozdziałach-felietonach, po samą konstrukcję utworu. Już nawet sam tytuł jednego z rozdziałów — felietonów *Czwarty wspólnik* odnosi się do trzech przyjaciół, a zarazem wspólników, którzy nie mieli nic, ale razem właśnie tyle, by założyć fabrykę⁵.

W rozdziale tym pisarz zwraca się między innymi bezpośrednio do Reymonta, który według niego przyniósł jego ukochanemu miastu wiele złej sławy, lecz jednocześnie zachwycą się jego kunsztem pisarskim. Jedynie Balzak może

3 A. Makowiecki, *Ziemia nawrócona*, „Express Ilustrowany”, Łódź 1997, s. 81.

4 A. Makowiecki, dz. cyt., s. 77.

5 W. Reymont, *Ziemia obiecana*, Kraków 1899, s. 6.

według niego konkurować z fantastycznie wykreowanymi postaciami, a nawet „niejednokrotnie zresztą zadając francuskiemu olbrzymowi cios, są bowiem, parafrazując Hemingwaya, rzeczywistże od rzeczywistości [...]”⁶.

Andrzej Makowiecki odnosi się do Reymonta, a raczej samej „Ziemi obiecanej” w najróżniejszych formach, od dosłownego sporu z autorem w publicystycznych rozdziałach-felietonach, po samą konstrukcję utworu.

Makowiecki uważa również, że to właśnie za *Ziemię obiecaną*, a nie za *Chłopów* Reymont powinien dostać nagrodę Nobla. Nagrodzona powieść jest – jego zdaniem – nudna dla współczesnego czytelnika, co więcej, jej manieryzm językowy sprawia, że jest trudna do przeczytania.

Z drugiej jednak strony Makowiecki zarzuca Reymontowi, tak jak inni współcześni mu krytycy, że przekłamuje obraz Łodzi. W powieściach Reymonta miasto jest ciągle unurzane w błocie, brudzie, nędzy oraz mgłę, która prawie nigdy nie ustępuje. Wszystko jest tu koślawe, ułomne, biedne, a nad obrazem tym górują bezlitosne fabryki, których dachy przyrównuje do mięsa obdartego ze skóry. Ciągłe słyszeć dźwięk dzwonków, które wzywają ponuro robotników do pracy. Robotnicy, podobnie jak miasto, są szarzy i smutni. Wszędzie słyszeć płacz kobiet i chudych, zaniedbanych dzieci, którym fabryka pozabierała mężów i ojców. A wszystkiemu temu winni są chciwi, bezwzględni i na dodatek prostacy milionerzy, którzy chcą tylko więcej i więcej.

Co ciekawe, podobny, ponury obraz możemy zobaczyć właśnie w *Ziemi nawróconej*, lecz An-

⁶ A. Makowiecki, dz. cyt., s. 77.

drzej Makowiecki widzi w tym swoisty romantyzm. Odnosi się wrażenie, że to właśnie brzydota pewnych miejsc jest dla niego najpiękniejsza. Widać, że Makowiecki, w przeciwieństwie do Reymonta, kocha Łódź całym sercem. Nie może ścierpieć ciągłej krytyki ukochanego miasta, jego obrzydzania i upodlenia w powieściach, filmach, relacjach dziennikarskich i poetyckich. Nie daruje nawet Tuwimowi, który jest znany ze swej miłości do Łodzi. Makowiecki uważa bowiem, że słynny poeta rzucił miastu ochłap kulałego komplementu⁷, a następnie szybko je opuścił. Twierdzi też, że Łódź ma nieodparty urok, z którym nie mogą się równać Kraków czy Warszawa. Co więcej, przyrównuje ją do Nowego Jorku, a Piotrkowską do Piątej Alei.

Czasami sami bohaterowie Makowieckiego odnoszą się do dzieła Reymonta, albo nawet są z niektórymi postaciami spokrewnieni, jak na przykład Szaja Mruk, który jest prawnuczką Szai Mendelshona, czyli jednego z fabrykantów z *Ziemi obiecanej* (najprawdopodobniej pod tą postacią Reymont ukrył Izraela Poznańskiego).

Podobnie jak biblijna przystań, miasto pociąga, hipnotyzuje ludzi, a dla niektórych staje się nawet swojego rodzaju namiętnością.

Wśród fabrykantów będących inspiracjami dla bohaterów *Ziemi obiecanej* wybucha niezadowolenie i Reymont zaczyna nawet dostawać od nich listy z pogrózkami. Początkowo całą sytuację traktuje raczej z przymrużeniem oka, jednak z czasem zaczyna odczuwać realne zagrożenie:

„Koło jesieni, jeśli mi zagwarantują bezpieczeństwo, to będąc w kraju zajrzę do Łodzi, ale jeśli mi za-

⁷ Tamże, s. 78.

gwarantują, bo się boję, że skoro całą powieść przeczytają, to wielcy wyślą zbirów do mnie”⁸.

Sam jednak autor nigdy otwarcie nie przyznał się, aby pierwowzorami jego postaci byli konkretni łódzcy fabrykanci. Jednakże krytycy zauważają pewne podobieństwa między Hermanem Bucholcem a Karolem Scheiblerem czy Oskarem baronem Meyerem a Juliuszem Heinzelem. Podobny zabieg stosuje Andrzej Makowiecki w *Ziemi nawróconej*, gdzie portrety wielkich łódzkich biznesmenów, choć nie tylko ich, także były wzorowane na osobach rzeczywistych. Pod postacią barona Bartosza Welca, najbogatszego człowieka w Łodzi oraz wielkiego miłośnika i sponsora piłki nożnej, kryje się Andrzej Pawelec. Natomiast Andrzej Jaskółczyn to nie kto inny, jak kontrowersyjny Antoni Ptak, również wielki fan futbolu. Jednak, jak wcześniej wspomniałam, nie tylko łódzcy biznesmeni pojawiają się na kartach powieści. Między nimi znalazł się również łódzki dziennikarz, znany przede wszystkim z głośnych programów kryminalnych, Michał Fajbusiewicz, czy nawet wymieniony wprost, z nazwiska, dyrektor łódzkiego ośrodka TVP – Jerzy Woźniak.

Makowiecki na łamach powieści kilkakrotnie nawiązuje również do konkretnych sytuacji, jednak dostrzegalnych tylko dla czytelników *Ziemi obiecanej*. Między innymi wówczas, gdy Igor Karczyński, podobnie jak Karol Borowiecki, podczas uroczystości jest informowany o statusie materialnym zebranych tam pań. Natomiast jedna z pierwszych scen *Ziemi nawróconej*, w której rozchodzi się informacja o tym, że „Bachor zamknął dolary [...], nie sprzedaje żadnych zachodnich walut, ani marek, ani funtów, ani franków, chętnie je natomiast skupuje”⁹ – do złudzenia przypomina scenę z *Ziemi obiecanej*, w której podczas spektaklu roznosi się wieść o podniesieniu ceny bawełny. Podobnie pogrzeb Patamaji pod koniec pierwszego tomu *Ziemi nawróconej* przypomina pogrzeb Bucholca pod koniec pierwszego tomu *Ziemi obiecanej*. Oba utwory kończą się ślubem jednego z bohaterów. Podobieństwo można również dostrzec w postaci Józefa Szwejo, który, jak Szaja Mendelshon, doznaje wstrząsu, gdy uświadamia sobie, że pieniądze nie zapewniają szacunku. Obaj chcą bowiem, by Łódź padła przed nimi wreszcie na kolana. Również sama postać wcześniej wspomnianego Igora Karczyńskiego, który z czasem zmienia się w bezwzględного biznesmena, przywołuje obraz Karola Borowieckiego. Obaj bohaterowie są przystojnymi blondynami z szarymi oczami, o niewysłownym wdzięku.

8 List do W. Rowińskiego z 22 II 1897. Cytat za: B. Kocówna, *O „Ziemi obiecanej” Reymonta*, Warszawa 1990, s. 14.

9 A. Makowiecki, *Ziemia nawrócona*, „Express ilustrowany”, Łódź 1997, s. 17.

Kobiety za nimi wprost szaleją, a oni to z premedytacją wykorzystują. Obaj także mają wspólników, z którymi planują ogromne przedsięwzięcia biznesowe, mające przynieść im ogromne bogactwo. Obaj ostatecznie żenią się z córkami wielkich biznesmenów. Mimo tych licznych podobieństw bohaterowie Ci jednak bardzo się od siebie różnią. W przeciwieństwie do Karola Borowieckiego postać Igora Karczyńskiego jest prowadzona konsekwentnie i nie ma tylu wewnętrznych sprzeczności. W mniemaniu bohaterów *Ziemi obiecanej* Karol Borowiecki jest „największym *lodzermenschem* w Łodzi”, jednak ta storna jego charakteru jest w niewielkim stopniu uwypuklona. Wyłania nam się raczej obraz znudzonego kochanka. Karczyński natomiast jest robiącym błyskotliwą karierę człowiekiem interesu. I to właśnie ta cecha jego charakteru jest wysunięta na plan pierwszy. Odnosi się wrażenie, że Andrzej Makowiecki próbował „naprawić” Borowieckiego poprzez swojego bohatera. Stworzył idealnego *lodzermenscha*, takiego jakim powinien być właśnie Karol Borowiecki. Bo przecież także motywy działań bohaterów są różne. Karol Borowiecki chce być wolny i tę wolność może przynieść mu tylko jego własna fabryka. Staje się ona jego ziemią obiecaną, w której może zostać zawarty kompromis między jego szlachecką przeszłością, a fabryczną teraźniejszością. Zupełnie inny motyw przyświeca Igorowi Karczyńskiemu. Jest to miłość od pierwszego „spojrzenia” do Bożeny Podolińskiej i to ona jest motorem jego działań, przynajmniej na początku. Jak wspomniałam, obaj bohaterowie w końcu żenią się z córkami potężnych łódzkich biznesmenów. Dla Borowieckiego ślub z Madą Muller jest swego rodzaju tragedią, natomiast dla Karczyńskiego ślub z Moniką Welc stanowi pomyślne rozwiązanie jego losów (pod koniec powieści zakochuje się w niej, a miłość do Bożeny po prostu wygasa).

Podobieństwo można dostrzec także w kompozycji obu utworów. *Ziemia nawrócona*, jak i *Ziemia obiecana*, skonstruowane są w taki sposób, by jak najdokładniej zobrazować głównego bohatera powieści – miasto Łódź. Oba dzieła charakteryzuje brak pierwszoplanowej postaci, wokół której skupiałaby się konkretnie zarysowana fabuła. Dzieje Borowieckiego jak i Karczyńskiego zajmują ważne miejsce na kartach powieści, lecz tak naprawdę należą jedynie do jej licznych wątków. Obaj autorzy tworzą obraz miasta oraz jego mieszkańców przy pomocy licznych scen obyczajowych, mających miejsce w najróżniejszych wnętrzach i środowiskach. W obu książkach aż roi się od bohaterów charakterystycznych. Mamy tych, którym się udało, tych, dla których los nie był tak łaskawy oraz tych, którzy dopiero zaczynają swoją przygodę z miastem. Jednak każda z postaci rzuca miastu wyzwanie.

„Ziemia nawrócona” jak i „Ziemia obiecana”, skonstruowane są w taki sposób, by jak najdokładniej zobrazować głównego bohatera powieści - miasto Łódź.

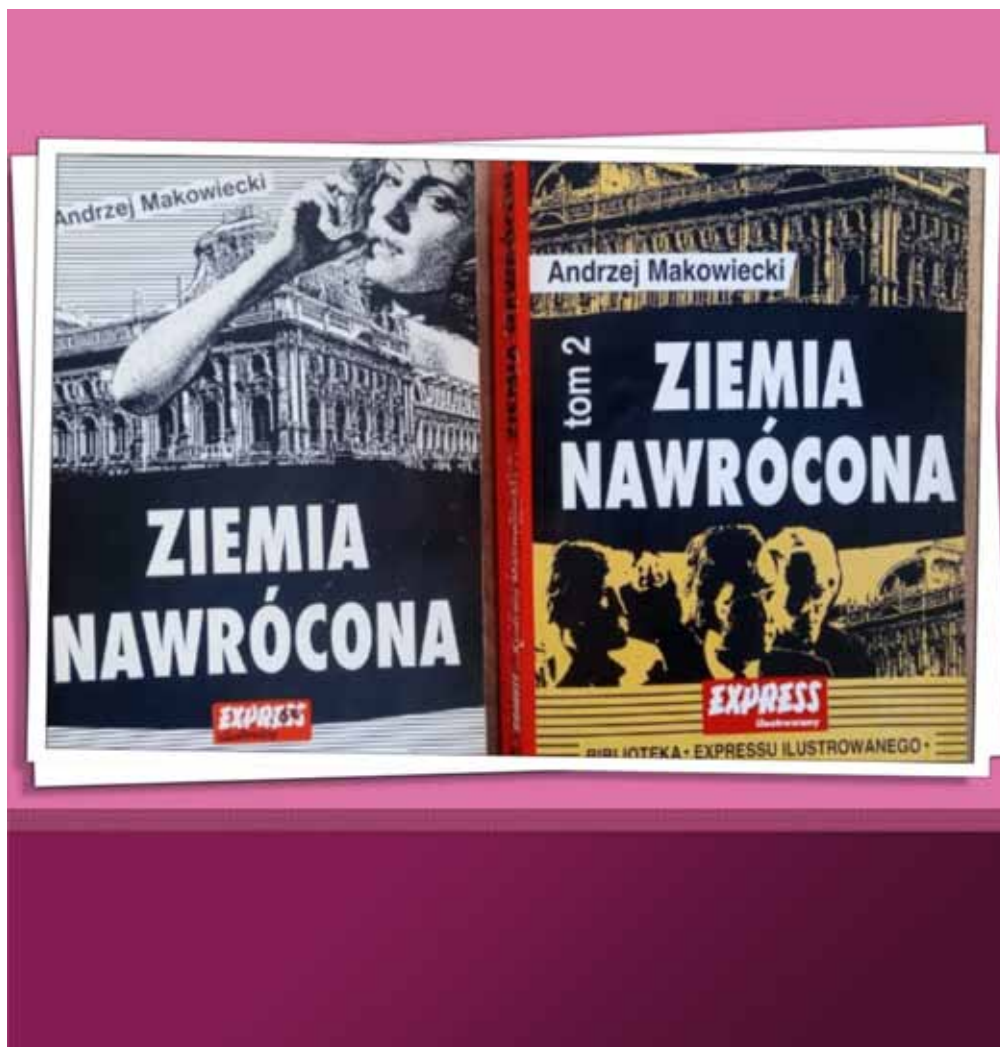
Za sprawą samego tytułu powieści Makowieckiego czytelnik z miejsca może domyśleć się, że autor w jakiś sposób będzie nawiązywał do wielkiego dzieła. *Ziemia obiecana* tytułem odnosi się oczywiście do biblijnej ziemi obiecanej, czyli miejsca, które jest darem od Boga, które zapewni spokój i bezpieczeństwo wybranym. Łódź w utworze Reymonta nie spełnia tego warunku, wręcz przeciwnie. Łatwo więc za-

uważyć, że tytuł jest ironiczny.

Jednak, podobnie jak biblijna przystań, miasto pociąga, hipnotyzuje ludzi, a dla niektórych staje się nawet swojego rodzaju namiętnością. Z czasem jednak określenie Łodzi jako ziemi obiecanej straciło pejoratywny wydźwięk i dziś ma ono cha-

rakter bardziej publicystyczny. Natomiast zawarte w tytule powieści Makowieckiego słowo *nawrócona* symbolizuje przemianę. Książka opowiada o ludziach, którzy próbują odnaleźć się w nowej gospodarczej rzeczywistości. Po roku 1989 Polska odeszła od gospodarki socjalistycznej, a powróciła do wolnorynkowej – czyli mamy tutaj nawrócenie jako przemianę świadomości rynkowej.

Sformułowanie „nawrócić się” można rozumieć również jako proces odkrywania jakiejś wiedzy o sobie, o czymś, czego nie wiemy, a co towarzyszy nam od narodzin. W tym przypadku nawrócenie byłoby odkryciem smykałki do interesów – a może nawet odnalezieniem w sobie *lodzermenscha*.



Tak jest w przypadku Igora Karczyńskiego, który z czasem uświadamia sobie, że ma nie tylko talent do interesów, ale potrafi również świetnie wykorzystywać okazje. Niestety, również dla tych interesów jest w stanie robić rzeczy, o które sam nigdy by się nie podejrzewał.

Odniesienia powieści Makowieckiego do utworu Reymonta widać również w mniej dosłownej formie. Mimo że akcje powieści rozgrywają się w różnych czasach, (w *Ziemi obiecanej* jest to przełom XIX i XX wieku, a w *Ziemi nawróconej* koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku) w obu utworach zobrazowano czasy pionierskiego, a czasami wręcz odrażającego w swej istocie kapitalizmu – okresy bardzo znaczące dla rozwoju Łodzi.

AMERYKAŃSKIE OBLICZE MIASTA

Piotr Wesołowski (TV TOYA)
w rozmowie z Ryszardem Bonisławskim,
pisarzem, przewodnikiem,
senatorem RP VIII i IX kadencji



Reymont po prostu Łodzi nie lubił. Był wychowany w tradycjach parafialnych, dlatego bliżej mu było do narodowców. Miejsce, w którym żyli obok siebie ludzie różnych wyznań, bardzo go mierziło. Poza tym w Łodzi zdawał egzaminy do szkoły, ale bez powodzenia – mówi Ryszard Bonisławski¹, znawca Łodzi.

Piotr Wesołowski: Pana ulubiona książka o Łodzi to „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima? Tak wynika z listy, którą mi Pan wysłał.

Ryszard Bonisławski: Tak. To nie tylko poemat, ale i praktyczny przewodnik po mieście.

Jest Pan najbardziej znanym łódzkim przewodnikiem. Stąd nie dziwi pozdwi dla dzieła Tuwima. Kiedy się Pan zainteresował „Kwiatami polskimi”?

W drugiej połowie latach sześćdziesiątych. Byłem studentem polonistyki i miałem przeprowadzić analizę językową „Kwiatów polskich”. Zadanie wykonałem. Tak mnie to jednak wciągnęło, że zacząłem chodzić po Łodzi z tekstem. Właśnie od lektury Tuwima rozpocząłem penetrację miasta.

Z książką Pan chodził?

Nie. Przepisywałem fragmenty i później robiłem fiszki, bo mam do dzisiaj taki zwyczaj dokumentowania pracy. Szukałem miejsc, które Tuwim opisywał. To niełatwe, bo wówczas nie było zbyt dużo książek o Łodzi. Pomógł mi dziadek, który doskonale znał miasto, żył 90 lat i wiele się od niego dowiedziałem.

Coś Pana zaskoczyło w tych spacerach z Tuwimem?

Najbardziej nieścisłości. Na przykład okazało się, że w Hotelu Klukas, który był na Jaracza, nie mógł umrzeć aktor Ira Aldridge. Bo wtedy jeszcze tego hotelu nie było. On mieszkał i zmarł w „Paradyzie”.

Tuwim trochę zmyślał?

¹ Ryszard Bonisławski – absolwent polonistyki na Uniwersytecie Łódzkim. Od lat opisuje fabrykancką przeszłość miasta, a także jego tradycje. W 1994 zaczął prowadzić kultową „Filmową encyklopedię Łodzi” (red. Jadwiga Wileńska) w TVP Łódź. Autor i współautor kilkunastu książek oraz przewodników. W 1999 objął funkcję prezesa Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. Były radny sejmiku łódzkiego i dwukrotnie senator z list Platformy Obywatelskiej.

Dopasowywał miejsca i historie, bo na przykład nazwy mu się podobały. Miał do tego prawo. Po latach, w 1994 roku, wygrzebałem moje fiszki i napisałem książkę „Śladami Tuwima po Łodzi”. Poodzukiwałem adresy rodzinne, odkryłem jego pokrewieństwa. Chociażby z Lopkiem Krukowskim, który był kuzynem poety.

W tym podwórku (od red. rozmawiamy w kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej 88) mały Julian Tuwim z balkonu w mieszkaniu wujka obserwował miasto. Pewnego razu, gdy matka zorientowała się, że na ulicy strzelają, chwyciła go za kołnierz i wciągnęła do pokoju.

W książce Flatta po raz pierwszy można było obejrzeć widoki Łodzi.

Dla mnie książką, która pokazuje Łódź w najgorszym świetle jest „Ziemia obiecana”. Pan wymienił ją jednak wśród swoich pięciu najważniejszych książek z Łodzią w tle.

Zgadzam się z panem, że to książka antyłódzka. Niemniej bardzo ważna, podobnie jak film Andrzeja Wajdy. Powiedzmy sobie wprost, że Reymont po prostu Łodzi nie lubił. Był wychowany w tradycjach parafialnych, dlatego bliżej mu było do narodowców. Miejsce, w którym żyli obok siebie ludzie różnych wyznań, bardzo go mierzilo.

Poza tym zdawał w Łodzi egzaminy do szkoły, ale bez powodzenia. Nauka w szkółce parafialnej czy na kolanach wuja księdza niewiele mu dała. Zapewne także z powodu obłanych egzaminów nie lubił Łodzi. Miał kompleks tego miasta. Kiedy dziennikarze polubili Łódź, bo gwałtownie się rozwijała, to on również tu przyjechał i zbierał materiały do „Ziemi obiecanej”. Najczęściej siedział w cukierni u Roszkowskiego na rogu obecnej Moniuszki i Piotrkowskiej. Tam były aktywnie ze sobą dyskutujące grupy adwokatów, dziennikarzy, aktorów. Reymont przysiadł się i podsłuchiwał. Czytał też bardzo uważnie lokalne gazety.

W „Ziemi obiecanej” główni bohaterowie są szalenie antypatyczni.

To prawda. Reymont pisał, że Łódź to tygiel, w którym spala się pierwiastek narodowy. Stąd postać Karola Borowieckiego, który wyrósł w rodzinie szlacheckiej, a w Łodzi odrzucił wszelkie ideały, w oczach pisarza skundlił się, jak wielu innych.

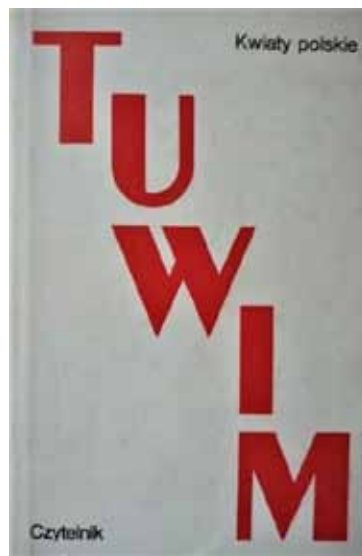
Pochwalmy może jednak za coś Władysława Reymonta.

Ta powieść pokazała Łódź w sposób romantyczny i sensacyjny. Sporo jest tam elementów dowcipnych. Reymont wzbogacił Łódź o solidną powieść. „Ziemia obiecana” jest bardzo żywo napisana.

Kolejna wskazana przez Pana książka to „Opis miasta Łodzi”.

Oskar Flatt, który był dziennikarzem, napisał ją w 1853 roku. To pierwsza książka o mieście, a Łódź była już wtedy drugim pod względem liczby mieszkańców polskim miastem. Flatt opisał zresztą też Piotrków Trybunalski.

W książce Flatta po raz pierwszy można było obejrzeć widoki Łodzi. To jeszcze nie były zdjęcia, tylko obrazki młodego rysownika Walkiewicza. Zrobił siedem obrazków, pokazał między innymi ratusz i kościół ewangelicki, fabryki i park miejski. Flatt opisał przemysłowców, ale także legendy. Na przykład kolumnę osieroconego Janka z Chojen, który adoptowany przez krakowską rodzinę, w końcu się dorobił. Potem ilekroć tu przyjeżdżał, to zawsze coś po so-



bie zostawiał. A ta kolumna była zbudowana 10 lat przed warszawską kolumną Zygmunta. Stała przy obecnej ulicy Kolumny. Niestety, Niemcy ją zniszczyli.

Co jeszcze opisywał Flatt?

Na przykład pierwszy klub sportowy czyli Łódzkie Towarzystwo Strzeleckie. W tekst są wplecione wszelakie dane statystyczne. Są także różne rozporządzenia m.in. ustawa o nadaniu Łodzi praw miasta przemysłowego. Jest tam pierwszy plan Łodzi, raptem kilkadziesiąt ulic. I co ważne dla mnie, tam między wierszami, spotyka się różne ciekawostki. W pewnym miejscu Oskar Flatt pisze, że Łódź to najbardziej amerykańskie miasto Europy. I koniec. Nie wyjaśnia, dlaczego Łódź jest taka amerykańska.

Chodziło mu o układ ulic?

Nie. O to, że to miasto wielonarodowe, wielokulturowe, którego mieszkańcy wspólnie tworzą dobro i Łódź się dzięki nim rozwija. Przecież to do Łodzi przyjechali baptyści, których ewangelicy luterkańscy prześladowali na Mazowszu. A w Łodzi luteranie im pomogli i nawet udostępniali kaplice. Takie amerykańskie oblicze miasta do II wojny światowej było czymś normalnym.

Teraz czas na „Nekropolię w Łodzi wielkoprzemysłowej” Jana Dominikowskiego. Także lubię tę książkę.

Poświęciłem jej bardzo dużo czasu. Na prośbę wydawców robiłem pięciokrotnie korektę.

Dlaczego aż pięć razy?

Wczytałem się w tekst, ale Janek Dominikowski ciągle coś nowego dopisywał. Niestety, nie było



zaznaczone, co już wcześniej poprawiłem. Bo on nie używał komputera, tylko komuś dyktował. Musiałem ciągle od nowa wszystko czytać. Jak oddałem piątą korektę, to powiedziałem – Dość. Kiedy Janek na cmentarzu mi ją wręczał, bo premiera była podczas kwesty, to napisał, że dziękuje. I dodał, że gdyby miał jeszcze 8 lat na pracę, to książka byłaby świetna.

I tak jest bardzo dobra.

To najlepsza w Polsce książka tematycznie związana z cmentarzem. Janek był kopalnią wiedzy, człowiekiem wielu talentów. Robił witraże, śpiewał, bo ukończył klasę śpiewu, był historykiem sztuki. Znał się na wszystkim i niestety uwierzył, że nie ma COVID-u. Zmarł w grudniu zeszłego roku. Pozostawił po sobie wiele niedokończonych tematów. Zawsze mnie zastanawiało, gdy patrzyłem na jego prace, ile można zrobić, w tak krótkim czasie.

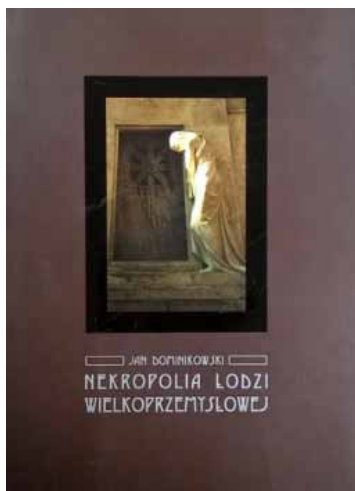
Tej ostatniej zaproponowanej przez Pana książki nie znam. „Dwa lwy i teatr”. Autorzy to Piotr Jarmołowicz i Jacek Kusiński.

Jacek przyszedł do mnie i powiedział, że jestem w tej książce opisany, jako senator Żeliński, który rozwiązuje zagadkę kryminalną.

Książka sensacyjna. Napisała ją moi dwaj koledzy. Piotr prowadził księgarnię „Świat Książki” przy Piotrkowskiej. Z Jackiem napisałem „Księgę fabryk”. On ma wydawnictwo, w którym ukazało się już około 40 tytułów. Jego ulubioną książką, którą wydał jest „Recepta na miliony” Bolesława Lesmana. To książka o Oskarze Konie, właścicielu widzewskiej Manufaktury. Była pisana w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Wtedy powinno się fabrykantom dokładać, na szczęście Lesman zrobił z niej bardzo ciekawą rodzinną historię.

Wróćmy do „Dwóch lwów i teatru”.

Jacek przyszedł do mnie i powiedział, że jestem w tej książce opisany, jako senator Żeliśławski, który rozwiązuje zagadkę kryminalną. Pomaga mi emerytowany policjant, a trzeba wiedzieć, że moja żona była kiedyś wicekomendantem policji. Jacek u nas w domu bywał, wszystkie realia zostały zachowane. Tam są autentyczne łódzkie nazwiska tylko zamienione, np. Spodenkiewicz to Portkiewicz. Mój przyjaciel Barański z księgarni Nike to Kozłowski. On jest bohaterem do szóstej strony, na której ginie. I wtedy jego żona dzwoni do Żeliśławskiego i prosi, żeby rozwikłał zagadkę zabójstwa. Cała fabuła oparta jest na historii miasta. Jest dosyć gruba, ale czyta się świetnie. Mnie jej lektura zajęła dwa wieczory.



Skąd w tytule lwy? Na dodatek, aż dwa.

Jak pan pójdzie na róg Więckowskiego i Zachodniej, to tam u góry są dwa lwy. Symbole widzewskiej Manufaktury, a z tyłu Teatr Nowy.

Pana postać w książce jest sympatyczna?

Tak. Są też moi koledzy z Abramowskiego, bo ja stamtąd pochodzę. Oni pomagają mi w pewnych sprawach. No bo dużo lepiej ode mnie znają świat kryminalny.